

562

KSIĘGI HUMORU POLSKIEGO

ZBIERALA, UŁOŻYŁ I OPASNIŁ

KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ

Wydanie ozdobione portretami i fotografiami
humorystów i satyryków polskich

TOM IV

PETERSBURG

NAKLADEM KSIĘDARNI K. GRENDSZYŃSKIEGO

1897





Czytelniku! chciej łaskawie
pamiętać, że książki Czytelni
bezpłatną są własnością ogółu!



~~N^o 3096 IV.~~

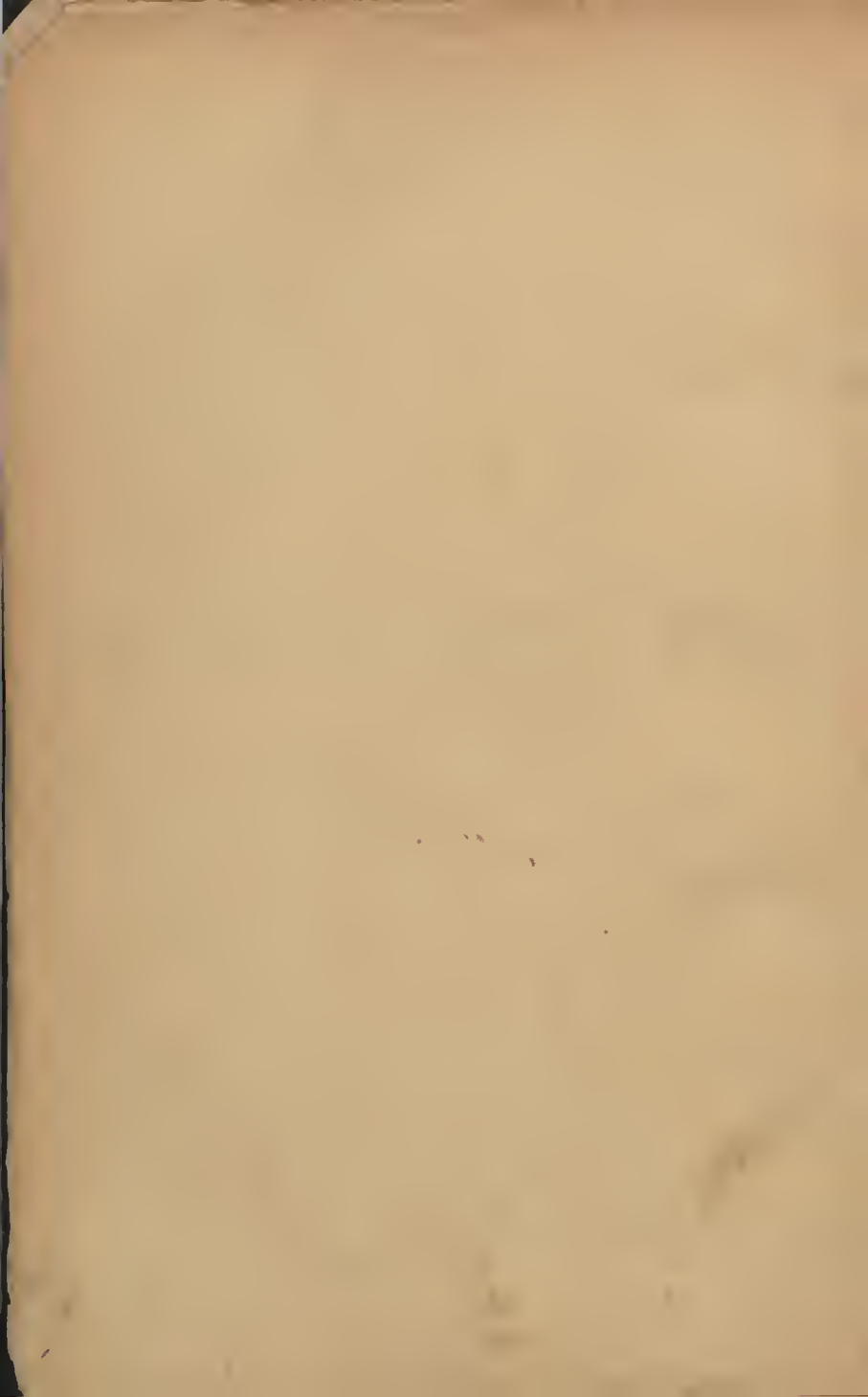




KSIĘGI HUMORU POLSKIEGO.



N^o 3096 IV



9
B H

KSIEGI HUMORU POLSKIEGO

ZEBRAŁ, UŁOŻYŁ I OBJAŚNIŁ

KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ



WYDANIE OZDOBIŁONE PORTRETAMI I AUTOGRAFIAMI HUMORYSTÓW
I SATYRYKÓW POLSKICH.

№ 3096 IV



PETERSBURG.

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. GRENDYSZYŃSKIEGO.

1897.

K. 647.

MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Radomiu

~~P. 24562~~



8-8
Bar
Ksie
24561/IV

10974
884-1(082.2)

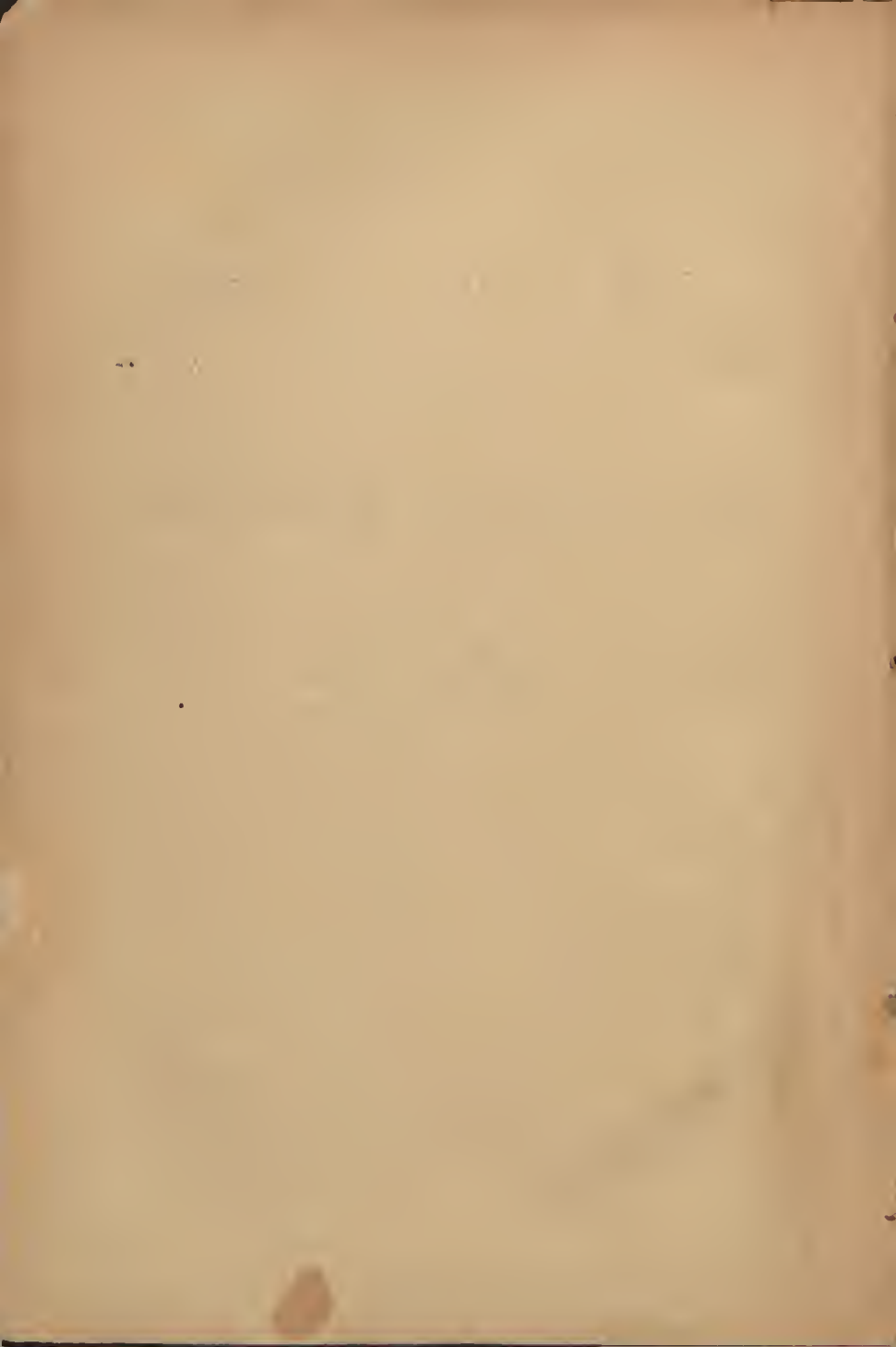
N^o 3096 IV

KSIĘGI HUMORU POLSKIEGO



★ WIEK XIX. ★







N^o 3096 IV.



Dopiero podczas druku „Ksiąg humoru polskiego“ okazało się, że zakreślone im rozmiary są niewystarczające, że chcąc pomieścić to wszystko, co prospekt zapowiedział, trzeba by nie czterech, ale przynajmniej ośmiu tomów. Wiek XVI. i XVII. dały się pomieścić w jednym tomie, ale już wiek XVIII. miałby prawo żądać dla siebie, gdyby wydawca chciał się ściśle zastosować do programu, przynajmniej dwóch tomów. A cóż dopiero mówić o wieku XIX. Toż w trzecim tomie „Ksiąg“ weszliśmy zaledwie w trzeci dziesiątek lat wieku bieżącego. Wprawdzie humor i satyra przycichły nieco po r. 1831, ale już po r. 1840 wzmogły się potężnie wraz ze wzrostem ogólnej naszej produkcji literackiej. Nie było prawie jednego pisarza, pracującego na polu literatury pięknej, któryby nie pracował i na polu humorystyki i satyry. Co więcej pojawili się liczni pisarze, którzy (co dawniej należało do rzadkich wyjątków) wyłącznie na tem polu pracowali. Ukazywały się wreszcie coraz częściej pisma peryodyczne poświęcone jedynie humorowi. Gdyby ułożyć spis bibliograficzny utworów humorystycznych z kilkudziesięciu lat ostatnich, to, nawet pomijając rzeczy słabe, pomieściłoby go można zaledwie na kilku arkuszach druku.

I co wobec tego wypadło uczynić wydawcy? Przysłowie „według stawu grobla“ musiało tu znaleźć zastosowanie.

Dlatego też opuściłem już w wieku XVIII. przysłowia, anegdoty, utwory zostające w rękopisach; a co do wieku XIX. musiałem zakresłony program przynajmniej do połowy ograniczyć.

Postanowiłem więc naprzód wykluczyć z „Ksiąg“ literaturę ludową, oraz utwory autorów żyjących i wogóle nie posunąć się poza rok 1860. Jedyne wyjątek uczyniłem dla Bartelsa, raz dlatego, że już przed r. 1860 zaczął pisać swoje piosenki i satyry, a powtóre, że był to pierwszy u nas prawdziwy piosenkarz-humorysta, który wprowadził nowy rodzaj do literatury, a uprawiał go wyłącznie, przytem oryginalnie, i zawsze z myślą rzucania zdrowych ziarn społeczeństwu.

Jeszcze na jedno muszę zwrócić uwagę. Już przy układaniu „Ksiąg“ wieku XVIII. dawałem pierwszeństwo utworom ogólnie mniej znanym — tę samą metodę w szerszym jeszcze zakresie zastosowałem do wieku XIX. Naturalnie nie zawsze dało to się uczynić; czyż można było np. pominąć Mickiewicza, a któreż jego utwory są mniej znane? Ale już przy Fredrze mogłem zastosować moje zapatrywanie: zamiast wyjątków z komedyj, które zna przecież nawet mało studyjujący literaturę czytelnik, dałem jego rymowaną humoreskę: „Szewc i dyabeł“ i kilka ułotnych wierszy mało znanych, bo pomieszczonych w jedynym 13-to tomowem wydaniu, niedostępnem dla szerszej publiczności. Jak tu było nie dać „Dziada i baby“, areydziała w swym rodzaju Kraszewskiego, ale co za cel byłby dawać, choćby najbardziej dowcipne, ale nie tworzące żadnej całości ustępy z jego powieści. Wolałem więc dać przedruk jego „Plotek“ z „Bałamuta“ petersburskiego: rzecz to słaba, ale pierwsza Kraszewskiego i zdaje mi się nigdzie nieprzedrukowana, a więc można powiedzieć całkiem nieznaną.

Czy metoda ta właściwa — nie mnie sądzić. To tylko pewna, że wprowadzając ją, dobrowolnie zadałem sobie dwa razy więcej pracy, niżby jej miał ten, co zapełniłby cztery tomy „Ksiąg“ powszechnie znanymi utworami humorysty-

czynymi i wyjątkami z również powszechnie znanych poematów, komedyj i powieści.

Wogóle muszę zaznaczyć, że „Księgi“ układałem prze-ważnie dla czytelników z warstw inteligentniejszych, obeznanych już z literaturą. Dlatego też oszczędzałem sobie przypisków i objaśnień bio- i bibliograficznych przy pisarzach i utworach, cieszących się większym rozgłosem.

K. B.







Z akwareli J. de Viviena z r. 1824.

ADAM MICKIEWICZ

(ur. 1798 † 1855).

I.

PANI TWARDOWSKA.

Jedzą, piją, lulki palą.
Tańce, hulanka, swawola:
Ledwie karczmy nie rozwałą,
Cha cha, chi chi, hejża, hola!

Twardowski siadł w końcu stoła,
Podparł się w boki jak basza:
Hulaj dusza! hulaj! woła.
Śmiesz, tunani, przestrasza.

Żołnierzowi, co grał zucha.
Wszystkich łaje i potrąca,
Świsnął szablą koło ucha:
Już z żołnierza masz zająca.

Na patrona z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel.
Zadzwonił kieską pomału:
Z patrona robi się kondel.

Szewcu w nos wyciął trzy szeszutki,
Do lba przymknął trzy rureczki.
Cmoknął: cmok i gdańskiej wódki
Wytoczył ze lba pół beczki.

Wtem, gdy wódkę pił z kielicha,
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno — co u licha.
„Po coś tu kumie zawitał?”

Dyablik to był w wódce na dnie:
Istny Niemiec, sztuczka kusa:
Sklonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę,
I krogulcze ma paznogie.

„A, Twardowski... witam bracie!”
To mówiąc bieży obcesem:
„Cóż to, czyliż mnie nie znacie?
Jestem Melistofelesem.

„Wszak zemnąś na Łysej Górze
Robił o duszę zapisy:
Cyrograf na byczej skórze
Podpisałś ty, i bisy

„Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiegą,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.

„Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy;
Ty czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.

„Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci:
Ta karczma Rzym się nazywa...
Kładę arest na waszeci“.

Twardowski ku drzwiom się kwapił
Na takie *dictum acerbum*;
Dyabeł za kontusz ukąpił.
„A gdzie jest *nobile verbum*?“

Co tu począć? kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głowę...
Twardowski na koncept wpada
I zadaje trudność nową.

„Patrz w kontrakt, Mefistofilu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdiesz brać duszę moją,

„Będę miał prawo trzy razy
Zaprządz cię do roboty,
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.

Patrz, oto jest karczmy godło.
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.

„Skręć mi przytem biczek z piasku,
Żebym miał czem konia chłostać;
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać.”

„Gmach będzie z ziarenek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku,
Z bród żydowskich ma być strzecha
Pobita nasieniem z maku.

„Patrz, oto na miarę ćwieczek,
Cał gruby, długi trzy cale:
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi takie trzy bratnale“.

Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potem bież z piasku utoczy,
I już w gotowości stoi.

Twardowski dosiadł biegusa,
Probuje podskoków, zwrotów.
Stępa, galopuje, kłusa —
Patrzy, aż i gmach już gotów.

„No! wygrałeś panie bisie:
Lecz druga rzecz nieskończona.
Trzeba kąpać się w tej misie —
A to jest woda święcona“.

Dyabeł kureczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije;
Lecz pan każe, sługa musi,
Skapał się biedak po szyję.

Wyleciał potem jak z procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie:
„Teraz już w naszej mocy,
Najgorętszą odbył łaźnię“.

„Jeszcze jedno, będzie kwita,
— Zaraz pęknie moc czartowska! —
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka, Twardowska.

„Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie;
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą, jak z mężem zostanie.

„Przysiąż jej miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek,
Już cała ugoda za nic“.

Dyabeł do niego pól ucha,
Pół oka zwrócił do samki:
Niby patrzy, niby słucha —
Tymczasem już blisko klamki.

Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd, jak czmycha, tak czmycha.

II.

→: ZALOTY. ←

Póki córeczki opiewałem wdzięki:
Mamunia słucha, stryj czyta:
Lecz skorom westchnął do serca i ręki:
Ja słucham, cały dom pyta.

Mama o wioskach i o duszach gada,
Pan stryj o rangach, dochodach;
A pokojowa służącego bada
O mych w kochaniu przygodach.

Mamo, stryjaszku! Jedną tylko duszę
I na Parnasie mam włości;
Dochodów piórem dorabiać się muszę,
A ranga u potomności!...

Czym dawniej kochał? ciekawość jałowa!
Czy kochać mogę? dowiodę:
Porzuć lokaja, kotko pokojowa,
Pójdź w wieczór na mą gospodę...

III.

GOŁONO, STRZYŻONO.

U nas, kto jest niby chory
Zwołuje zaraz doktory:
Lecz czując się bardzo słaby,
Prosi chłopą albo baby.

Ci ze swego aptekarstwa
Potrafią i podagrze,
I chiragrze i głuchotom.
I suchotom i głupotom
Radzić — a i u nich wszakże,
Nie masz na upór lekarstwa.

Mieszkał Mazur blisko Zgierza,
Któremu zginęła suka,
Straż domostwa i śpichlerza.
Gdy jej z żalem i kłopotem
W okolicy całej szuka,
Wróciła się w tydzień potem.
Ledwie poznał, że to ona:
Bo była wpół ogolona.

„O zbóje! żeby ją skryli
Używając takich figli.
Że biedaczkę wygolili!...“
„Powiedz raczej, że ostrzygli —
Robi mu uwagę żona —
Bo psów nie gołą, lecz strzygą“.
„A no patrzajcież bo mi go —
Odezwie Mazur z przekąsem —
Jaka ty mi dyć uczona!
Mając gołe jak pięść lice
Chcesz nauczyć nas pod wąsem
Co jest brzytwa, co nożyce?
A nasz pan, co mu łysina
Przyświeca się jak ta psina,
Myślisz, że jest postrzyżona?...“
„A wąsiki ekonoina —
Odpowiada zaraz żona —
Co mu wiszą jak u sosny,



A błyszcą jak namaszczone,
Są golone czy strzyżone?...“
„Bierz ci lichu twego pana,
I pana i ekonoma,
Dobrze, że jest suka doma,
Choć też szpetnie ogolona“.
„Toć i jam się ucieszyła —
Odpowiada zaraz żona —
Że się suka powróciła,
Choć też szpetnie ostrzyżona“.
„Głupiaś z twemi nożycami!“
„I ty z twojemi brzytwami!...“
„Że golona. przypatrz-że się!“
„Że strzyżona pokaże się...“

Tak się kłóć mąż i żona;
Miasto Zgierz całe się zbiega,
A krzyk wkoło się rozlega:
Ogolona! ostrzyżona!

Idzie sąsiad: „Niechaj przyjdzie,
Niech się wpatrzy i przekona“.
Idzie żyd: „Powiedzno, żydzie,
Czy golona? czy strzyżona?“
Od żyda aż do plebana,
Od plebana aż do pana,
Sprawa zapieczętowana;
Co sąsiad i żyd dowodził,
Na to się ksiądz i pan zgodził:
Że wygrana męzka strona,
Że suka jest ogolona.

Wracają do domu strony.
Po drodze chłop pyta żony:

Czy wyroku treść pamięta?
Ona milczy jak zakłeta,
U progu suka ich wita:
„Pójdź tu moja ogolona!” —
Woła mąż. — A kobieta:
„Pójdź tu moja ostrzyżona!”

Mazur wściekły już nie gadał,
Ani żonie odpowiadał;
Tylko wzięwszy pod rękawki,
Wlece ją wprost do sadzawki,
I topi jak kadź ogórków.
Ona nienawykła nurków,
Już się zachłysnęła nieraz;
On trzymając za ramiona,
Gnębi, krzycząc: „A no teraz:
Czy golona, czy strzyżona?”
Biedaczka, że śmiercią w walce,
Czując skonu paraliż,
Wytknęła tylko dwa palce;
I na odpowiedź palcami,
Jakby dwiema nożycami,
Mężowi pod nosem strzyże.

Na ten widok uciekł z wody,
Ona poszła do gospody;
On się puścił aż do Zgierza,
I tam przystał za żołnierza.

IV.

PCHŁA I RABIN.

Pewien rabin, w talmudzie kąpiąc się po uszy,
Cierpiał, że go pchła gryzła; w końcu się obruszy;
Dalej czatować, złowił. Srodze przyciśnięta,
Kręcąc się, wyciągając główkę i nożęta:
„Daruj, Rabi, mądryemu nie godzi się gniewać:
O święty synu Lewi, nie chciej krwi przelewać!“
„Krew za krew! — wrzasnął Rabin — Beliala płodzie!
Filistynko, na cudzej wytoczona szkodzie!
Mrówki mają śpiehlerze; pracowite roje
Znoszą miody i woski, a trucień napoje:
Ty się jedna wśród ludzi z liwarem uwijasz,
Pijaczko tem szkodliwsza, że cudze wypijasz...“
Zakończył; i gdy więźnia bez litości dłabi,
Pchła konając, pisała: „a czem żyje Rabi?“

V.

PRZYJACIELE.

Niemasz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie;
Ostatni znam jej przykład w Oszmiańskim powiecie.
Tam żył Mieszek, kum Leszka, i kum Mieszka, Leszek.
Z tych, co to: gdzie ty tam ja, co moje to twoje.
Mówiono o nich, że gdy znaleźli orzeszek.
Ziarnko dzielili na dwoje;
Słowem, tacy przyjaciele,

Jakich i wtenczas liczono niewiele:
Rzekłbyś dwójduch w jednym ciecie.

O tej swojej przyjaźni raz w cieniu dąbrowy
Kiedy gadali, łącząc swoje czule mowy
Do kukań zozul i krakań gawronieh:
Alić ryknęło raptem coś koło nich.
Leszek na dąb; nuż po pniu skakać jak dzięciołek.
Mieszek tej sztuki nie umie,
Tylko wyciąga z dołu ręce: „Kumie!”
Kum już wylazł na wierzchołek.

Ledwie Mieszkowi był czas zmróżyć oczy,
Zblednąc, paść na twarz; a już niedźwiedź kroczy,
Trafia na czoło, maca: jak trup leży:
Wnosi, że to nieboszczyk i że już nieświeży.
Więc mruknawszy, ze wzgardą odwraca się w knieje,
Bo niedźwiedź Litwin mięs nieświeżych nie je.

Dopieroż Mieszek odżył... „Było z tobą krucho! —
Woła kum — szczęście Mieszku, że cię nie zadrapał!
Ale co on tak długo tam nad tobą sapał.
Jak gdyby coś miał powiadać na ucho?”
„Powiedział mi — rzekł Mieszek — przysłowie niedźwiedzie:
Że prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie“.

(NB. Ostatnie trzy utwory są przeróbkami z Lafontaine'a).





ALEKSANDER FREDRO

(ur. 1793 † 1876).

I.

SZEWCE I DYABEŁ.

Bajka.

Część pierwsza.

Czupryna w kutas golona,
Łeb jak harbuz, nos jak burak.
 Krótkie nogi, długi stan;
Czapczyrna siwa na bakier.
I kapota szaflrowa
 I z drelichu spodnie w but:
To, Mospanie, szewce z Ulinowa,
 Takich szewców nie ma świat.
 Coś klasło, trzasło jak z bicia —
 „Czego bijesz?” — pytał krawiec.

„Ot, bo biję“ — odrzekł szewc.
I nuż za łby jak się patrzy.
Włosy trzeszczą, mordy dudnią,
Młynica idzie z cechem cech.
Gawieź krzyczy: Bijże krawcze!
Bijże szewcze, bijże, bij!...

Zawiędły, długi i żółty
Krawiec słynny z rady, swady.
Kochał ludzi, lubił miód.
Przyciasny na nim tużurek,
I pluderki do pół łydki
I bucięta nie bez dziur.
Miał włos rzadki, niskie czoło
I tabaki pełny nos.
Czy radził, czy się z kim spierał,
Czy też bajki opowiadał,
Jak perełki sypał z ust;
Dlatego wołał pan Melchior
Kontrowersa długosłowne,
Niż pięściowy krótki spór;
Ale przez to nie dał sobie
W kaszę dmuchnąć komubądź.

Nie sprostął w sile bynajmniej
Temu, z którym szedł w zapasy,
Bo szewc Marek był to lew.
Lecz umiał finse zakurzyć,
W głowę mierzyć, w brzuch uderzyć,
Zażyc z mańki, zwalić z nóg.
Mądry, chytry, zwinny, giętki.
Jednem słowem istny wąż.
Ach, piękny był też to widok
Dla każdego uczciwego.
Jak się biło takich dwóch!
Co chwycą, to się odtrąca.

Palnie jeden, odda drugi,
Zawsze kwita. raz za raz.
I stanęli i spoczęli,
Jak dwa miechy na się dmą.
Szewc przysiadł, potem podskoczył.
Chciał na odlew grzmotnąć krawca;
Ale krawiec nurka dał.
Przeleciał kulak nad głową,
Ale zamach był za wielki,
Bo wykręcił w prawo w tył...
Szewc się zwicznął, stracił wagę
I jak długi padł na wznak.
Nie splunął jeszcze na ziemi,
Już na niego jak na konia
Jednym susem krawiec siadł.
I podług zasad przyjętych
Lewą ręką wziął za gardziel,
Prawą w mordę kuł, a kuł.
Mówił przytem. jak zwykł mawiać
Kończąc sprawę: Teraz szyj!
Nie drzemał jednak i Marek:
Obie nogi podniósł w górę,
Potem nagle spuścił w dół;
Takiego urznął szczupaka,
Tak potężnie, tak sprężysto
Na pół łokcia wypiął brzuch,
Że jak z siodła wyrzucony
O trzy kroki krawiec padł.
Szewc wolny nie wstał wszelako,
Ale walcem się potoczył
I pod siebie krawca wziął.
Co padło, nikt tam nie liczył.
Ale coś tam padło dużo,
Bo się krawiec dyable wił,

Bo kapota szafirowa
 Jak opoka parła w dół.
Pod spodem wszakże coś zaszło.
Bo szewc krzyknął, wierzgnął nogą
 I przerzucił się na bok.
Ukłonili oba i wstali,
Szewc przysiadł jak w prysiuły,
 Krawiec karkiem kręcił wciąż;
Coś im pono dosyć było
 I za swoje każdy miał.
 Wtem zadychany Baltazar
 Stał w środku i tak zaczął:
 „A cóż tedy... wam się bić?!...
 „Cóż względem tego... to tedy...
 „A, jak Boga szczerze kocham,
 „Taki despekt, taki wstyd!...
 Tfy!... do dyabła!... tedy, tedy...
 „Słusznie mówię, jakem tkacz“.
Ta mowa szła im do serea,
Więc w konfuzji stali oba.
 I gniew topniał jako śnieg.
Szewc milczał, milczał i krawiec,
Potem każdy sięgnął w palce,
 Końcem poły otarł twarz:
Podniósł czapkę, strzepnął z kurzu
 I na bakier sobie wdział.
 Któż wiedział, o co im poszło?
 Krawiec myślał, szewc zapomniał...
 Co tam zresztą wchodzić w to,
 A zatem *quasi* natchnieni,
Nie nie mówiąc poszli prosto
 Do arędy jakby w dym,
Trochę chylcem, trochę skosa,
 Ale z miną, że aż strach.

Bodaj to, bodaj się święcił
Ów kieliszek starodawny,
Co to kończył każdy spór.
Raz jeden wkoło jak obszedł,
Już nienawiść dyabli wzięli,
Jak raz, drugi, zniknął żal,
A przy trzeciem, czwartem kole
Każdy kochał aż do łez.
Tkacz, perła tkaczów, Baltazar
Przywitawszy pana Moszka,
Kwartę wódki kazał dać.
Napełnił lampkę, wzniosł w górę:
„Daj wam Boże, dobre zdrowie!“
Do sąsiadów swoich rzekł.
Na te słowa szczodroblive
Krawiec krzyknął, splunął szewc.
Fundator usta umaczał
I szewcowi podał lampkę.
Szewc posunął czapkę w tył.
Wziął lampkę, westchnął głęboko,
Chciał coś mówić, ale zamilkł.
I pociągnął taki łyk,
Aż mu oczko zabielało,
Aż się potem cały wstrząsł.
Atoli do dna nie wypił.
Jak to człowiek ugrzeczniiony
W takim razie czynić zwykł.
Lecz dolał lampki serdecznie,
Aż po palcach mu pociekło
I krawcowi w rękę dał:
I ścisnąwszy nieco pasa,
Musnął wąsa i tak rzekł:
„Źle panie Majster wypadło...
„Trochęśmy się przymówili...

„Ot, Mospanie, ślepy trafi!...

„Nie mniejsze, proszę, jankoru.

„Jeżlim nieco poturbował

„I obraził może gdzie;

„Lecz serdeczność mego serca

„Do swojego serca weź“.

A na to Melchior poważnie:

„Panie Majster, jasne niebo.

„Przecie na niem czasem grzmi;

„Toć człowiek Boskie stworzenie.

„Acz bliźniego kocha swego,

„Toć go czasem szturknie w bok;

„Ale przez to, koniec końców.

„Światem świat, a bratem brat“.

Baltazar zniękezon jak masło,

Jedną ręką lzy ocierał.

Drugą z kwarty lał, a lał;

Rzekł: „Tedy!...“ na tem przestał.

Bo cóż więcej mógł powiedzieć,

Kiedy wszystko dobrze szło,

A majstrowie pili sobie

Jakby jeden wszyscy trzej.

„Hej! miodu Moszku!“ — szewc krzyknął —

Ale Moszko jakby głuchy

Za kratkami cicho stał.

„Daj miodu, żydzie, bo machnę!“

Po raz drugi krzyknął Marek.

„Co to machnę? — odrzekł żyd —

„Jakto machnę?... czemu machnę?

„Zapłać z góry, będzie miód“.

Piwonią stanął szewc Marek.

Chciał się pomknąć, ale usiadł

I kułakiem urznął w stół.

„Takiejże to ja publiki

„Doczekałem się w tej izbie,
„Gdziem za czterech zawsze pił!
„Gdziem pod kredką na tablicy
„Jeden z pierwszych zawsze stał...
„Słuchajcie, Moszku. słów moich.
„Jeżli długu wam za tydzień
„Nie zapłacę, co do krzty;
„Niech dyabli' zaraz mnie porwą
Bez regresu, bez pardonu;
„*Verbum*, słowo, jako szewe!“
Tkacz i krawiec się przeżegnał.
A szewe krzyknął; „Słowo masz!“
Żyd szepnął coś tam żydówce.
Dobyl kredki, coś napisał,
I na stole stanął miód.
Wyborny też to był miodek.
Trudno było z nim się rozstać.
Pilo też się całą noc.
A jak słońce zawitało,
Szewe w objęciu krawca spał.

Część druga.

Dzień za dniem, a noc za nocą
Jakby woda ciągle płynie.
Ktoś powiedział, nie wiem kto.
Od owej zatem zatargi,
Potem zgody szewca z krawcem
Upłynęło już dni siedm;
A na świecie po dawnemu,
A w Unowie zuowu targ.
Szewe spił się tego jak zwykle,
Lecz Moszkowi nie zapłacił...
By borgował, na to żyd.

Nie myślał, albo zapomniał,
Jakich strasznych ręczycieli
Do kontraktu wezwał był.
Że się dyabłom oddał w zastaw,
Jak się spóźni jeden dzień.

Powracał w nocy do domu
Z miną byczą od stu katów.

Pas pod brzuchem, czapka w tył.
A nucąc sobie, zaganiał
Kaczki, jak to ludzie mówią.

W prawo w lewo, tak i siak.
Wtem na kładce przy browarze
Nagle przed nim dyabeł stał.

„Precz z drogi, precz! bo cię machnę!“
Krzyknął Marek, i tak machnął,
Że się dyabeł zaśmiał w głos.
A dyabła zaraz szewc poznał
Po dwóch oczach jakby węgle,
Po zapachu capich skór,
Po ogonie, co jak biczem
Czarne biodra sobie bił.

Wytrzeźwił się więc od razu.
Bo to z piekłem nieprzelewki,

Lecz zapytał: „Czego chcesz?“
„Chcę ciebie — dyabeł odpowie —
„Boś zapomniał o terminie...“

„Tfy! do licha! hańba, wstydl! —
Przerwie Marek — poturbować

„Za żydowski, kiepski dług!

„Żyd lichwę bierze, psia dusza,
„I fałszuje każdy trunek;

„Żyda sobie Waszcć bierz!

„Nareszcie bierz skór juchtowych

„Przekupników, bierz pacholków.

- „Co targowe z ludzi drą;
„Ale szewców nie zaczepiaj.
„Bo byś wyzuł cały świat.
„Nakoniec, gdyś się już obrał
„Arendarskim Landsdragonem,
„Egzekutny palet gdzie?”
A dyabeł: „Malać fraszka,
„Odłożone, niestracone,
„W piekle Waści palet dam;
„Lecz dług furda, Panie Majster,
„Słowo wasze, to jest grunt.
„Niech dyabli, rzekłeś, mnie porwą,
„Jak nie oddam na terminie;
„Termin minął, dyabeł jest”.
Za ucho szewc się poskrobał;
„Słowo, słowo, Panie dyable,
„Rzecz to licha, istny wiatr.
„Czyż je Waszmość gdzieś z pod ziemi
„Dokumentnie słyszeć mógł?
„Uważaj, żem był podpity...
„Ba i spity, prawdę mówiąc,
„Jak w chodaku język szedł.
„Mówilem więc: Niech nie porwą,
„Waść zasłyszał: Niech mnie porwą,
„Niezawodnie było tak.
„Zresztą wolność pijanemu,
„Pijanego prawa znam”.
„W tem Waszeć wielce się mylisz —
Odparł dyabeł z uprzejmością —
„Bo pijaństwo nasza sieć.
„Co w nią padnie, na pół nasze,
„Każde słowo cyrografem:
„Jak uchwyci który z nas,
„A co piekło raz zapisze,

„To nie zmaże żadna moc“.
Powtórnie szewc się poskrobał,
Boć to z dyablem, nie jak z krawcem;
Lecz po chwili znowu rzekł:
„Mam jeszcze buty w robocie,
„Obiecałem na niedzielę;
„Jak nie oddam będzie wstyd.
„Nasz Pan Sędyk boso chodzi,
„Sfolguje mi cztery dni“.
Bies kiwnął głową z uśmiechem
I ramiona ściągnął w górę,
Jakby mówił: Co za myśl!
„A zjedźże dyabła gałganie!“
Krzyknął Marek, lecz czem prędzej
Zaciął zęby, czapkę zdjął,
I pokornie prosił dalej:
„Panie dyable, jestem twój.
„Pozwólże wejść mi do domu,
„Chciałbym szydła i kopytka
I dratewkę z sobą wziąć“.
Jak żądał, tak się też stało,
Dyabeł w dobrym był humorze,
Szedł ze szewcem brat za brat,
I walczyka pogwizdywał
I ogonkiem merdał wciąż.
Szewc milczał, ale rozmyślał,
Jakby dyabła wywieźć w pole,
By do piekła nie pójść z nim.
Że dyabeł mądry, nie bajka,
Ale przecieć się udało
Niejednego dyabła zwieść,
Bo w nim hambit z dawien dawna
Nad rozumem górę brał.
Znał Marek z dziadka, pradziadka

Co jest dyabła słaba strona,
Że to tylko jego włos.

Lecz każdy dyabeł jest łysy

I co tydzień brodę pali;

Skąd u licha włosa wziąć?

I poskrobał się za ucho

I z spuszczoną głową szedł.

Do ciemnej izby gdy weszli,

Dyabeł chluchnął i odrazu

Zaświeciło jak sto świec,

Tak pięknie i tak rześisto,

Że we Lwowie na reducie

Rzadko kiedy taki blask,

Rzadko kiedy taki zapach

Niby siarka, niby maź.

Wyskoczył dyabeł na warsztat.

Nuż przerzucać kopytkami,

Nuż przeglądać każdą rzecz...

Nuż ganić wszystko z kretesem,

„Kiepska skóra, kiepskie szycie,

Kiepski z Waści, kiepski szewc“.

Na to Marek jakby indor

Wstrząsł się, dmuchnął, wypiął brzuch,

Na czole zbiegły mu żyły,

I czupryna mu powstała,

I nos siny przeszedł w pąs.

Nareszcie fuknął: „Mospanie!

„Jesteś może dobrym dyablem.

„Lecz co dyabeł, to nie szewc;

„Kiedy nie znasz szewskiej sztuki.

„To przynajmniej mores znaj!

„Roboty mojej nie ruszaj!

„Nie despektuj, bo cię machnę!“

I jak zwykle machnąć chciał.

Lecz błąd swój spostrzegł i zamilkł.

A na szczęście roztargniony

Bies nie zważał jego słów,

Ale chwycił but zaczęty.

Na zydelku sobie siadł,

Kopytko ścisnął kołanem,

Głowę schylił, łokcie odparł,

I szyć zaczął... ale jak!

Tak gładko, prędko, porządnie

Ściągał sobie ścieg po ściegu.

Że aż Marek krzyknął: Ach!

I powtarzał: „Czysto! ślicznie!

„Waści tylko buty szyć“.

„Toć szyję, szyję kochanku

„Niejednemu i niejednej“.

I istotnie dyabeł-szewc

Namiętnie lubił rzemiosło,

Tak, że nocą pokryjomu

Po warsztatach buty szył:

Stąd to potem niejednego

But tak piecze, że aż strach.

Tu pismo nosem szewc poznał

I nuż dyabłu świecić bakę:

„Wielkić — rzekł on — z Waści mistrz.

„Jak byłeś niegdyś na ziemi,

„Toż musiałeś figle płać,

„Że aż pewnie chodził świat“.

Na to dyabeł się roześmiał.

Aż mu z pyska poszedł dym.

I zaczął długo rozprawiać,

Jak był szewcem, lecz że kradzież

Lżejsza praca. wolał kraść.

Gdy nakradł, stał się lichwiarzem,

A z lichwiarza na bankiera

Jak po mydle gładko szło.
Lecz gdy został wielkim sędzią,
Musiał wstrzymać, tu był sęk.
Chciał wyżej, jeszcze chciał więcej.
A gdy wszystko szło oporem,
Szatanowi duszę dał,
Cyrograf krwią mu napisał.
Ale w piekle tak się zwijał.
Że w niespełna trzysta lat
Z potępieńca dyablem został
I z najpierwszych teraz jest.

A kiedy bies się rozgadał
I w swej wielkiej chępliwości
Jak na drożdżach sobie rósł.
Szewc nagle ogon zobaczył,
Co rozścielił na podłodze
Zawieszisty kutas swój.
Tego też mu trzeba było,
Tego pragnął, w to mu graj.
Czem prędzej smoły wziął grudkę,
W garści dobrze ją rozegrzał;
Smoła szewska, dyabli lep!
Na kutas zwolna upuścił.
I nastąpił i przycisnął,
Potem szkaplerz z piersi zdjął.
I na smole jak przylepił,
Prędko umknął w drugi kąt.

Bies skoczył... ale stój!... hola!
Ogon trzyma, na dół ciągnie...
Nie pomoże, trzeba sięść.
„Co to jest? — wrzasnął — co to jest?!
„Coś mnie łamie, coś mną kręci;
„Puszczaj szewcze, czyś się wściekł?!
„Puszczaj chamie! jak cię złapię,

„Jakem dyabeł, zetrę w proch!”

A Marek chwycił kropidło.
W poświęconej zmaczał wodzie,
I nuż dyabła kropić nią.
Jak ocet, kiedy nim bryzną
Na żelazo rozpalone,
Zbiega w bulki, syczy w dym.
Tak po dyabła czarnej skórze
Kropelkami woda wre.

Czart wije się i wywija.
Koziołkuje jak na linie,
Daje susy tak i siak.
Lecz przytem coraz szczuplejszy...
Już od kundla nie jest większy...

Teraz tylko jakby kot...

Ba, już nawet jak wiewiórka,

A nareszcie niby mysz.
Już wisiał na swym kutasie
Jakto wisi złota pieczęć
Przy dyplomie jakim gdzie.
A jak mu szewc pod kropidłem
Flaszkę zbliżył i nastawił.
Jednym susem wskoczył w nią.
Tam się trzepie, kaszle, kicha,
Bo nie swoją kąpiel wziął.

Marek flaszkę wziął i zatkał.
Zalał smołą, krzyż wycisnął.
Od kutasa odciął ją.
Ostrożnie wstawił do skrzyni,
Skrzynię zamknął na dwie kłódki,
Klucze schował w stary but;
Potem ukląkł, zmówił pacierz.
Pałnął wódki, poszedł spać.

Część trzecia.

W sławetnem mieście Ulnowie
Tak swobodnie, że aż miło.
Niby jaki inny świat.
Zniknęła zawiść, nienawiść,
I próżniactwo i pijaństwo,
Myślałby kto, że to raj.
Odkąd dyabeł siedział w kozie.
A już temu minął rok.

Baltazar, Melchior i Marek,
Jakby dzieci jednej matki,
Zamieszkali wspólny dom.
Majstrowie, jakich poszukać,
W konsyderze stali wielkiej
U sąsiadów na mil pięć;
Dziś przed nimi czapkowano,
Bo z nich każdy tego wart.

Baltazar teraz miast „tedy“
Mawiał często: a więc tedy;
A jak w swój Ulnowski dom
Z odpustu z Rudek raz wrócił.
Z tandem tedy dał się słyszeć,
Ale szczędził owych słów,
Czasu tylko wielkiej wagi
Mógł je wyrwać z jego ust.

W rzemiośle kroczył z postępem,
Bo bawełnę do lnu męszał.
I precudne płótno tkał.
To szedł też towar daleko,
Sięgał Mościsk, ba Ghyrowa,
Wszędzie dobry odbyt miał.
Tkacz Baltazar, perła tkaczów,
Zebrał sobie piękny grosz.

Pan Melchior utył cokolwiek.
Półkoszulki w święta nosił,
I ucierał w chustkę nos.
Skarb, lumen rady pokątnej.
Jego wyrok bez pardonu.
Jak raz wyrzekł: teraz szyj!
Igła w rękę czy nożyce,
Jakby na nich koncert grał.
Co więcej, nie znał on skrawek,
Tyle sukna brał co dawniej,
A jak wory suknie szył.
Dlatego z Rawy, Kamionki.
Nawet z Bełza i Sokala
Wyżej uszów robót miał.
Już więc w jego dziś pracowni
Czeladników szyje dwóch.

Szewe Marek inny już człowiek.
Brzuszek mu się zaokrąglił,
A na brzuszku z kłanrą pas.
Na głowie czapka jak kołpak.
W rękę trzcina dwulokciowa —
Drobnym kroczkiem zawsze szedł
I kuperkiem trochę kręcił.
Jako kręci każdy szewe.

W procesyach nosił baldachin.
Na kazaniach ciężko wdychał.
Do kantyczek pierwszy bas;
Przewodnik szkoły Uhnowskiej
Był splendorem miasta swego.
Bo uhnowski dzisiaj but
Na jarmarku Świętojurskim
Przed wszystkimi bierze prym.
Szewe Marek jednak posmutniał,
Roztargnienia miewał dzikie:

To miast wódki wodę pił.
To świnię brał za sąsiada
To za osła brał Sędyka,
To chciał szydłem krupnik jeść:
Oczywiście jakiś robak
Toczy serce, mąci myśl.

Pewnego czasu z południa
Do arędy, do alkierza
Poszedł krawiec, szewc i tkacz.
I majstrów trzech tam usiadło,
I trzy szklanie tam stanęło,
A w szklanicach złoty miód.
Ale cisza trwała ciągle
I nietknięty trunek stał.

Uchwycił Marek za czapkę
I napowrót tak zasadził.
Że się z czapki zrobił miech.
Jakowa święci kozera.
Krawiec nie wie, tkacz jak w rogu,
Lecz instynktem zgodnych serc
Jednocześnie wzięli szklanki
I upili wszyscy trzej.

„Ratujecie, radźcie drużbowie,
„Bo w cholewy mi się leje —
Rzekł nareszcie szewców mistrz. —
„Jak wiecie, dyabła mam w skrzyni,
„Na dwie kłódki go zamknąłem
„I przy sobie noszę klucz.
„Jednak jakaś mnie obawa
„Ciągle dręczy dzień i noc.

„Niech jakim trafem Mospanie
„Flaszka pójdzie w czyje ręce.
„Co nie będzie rzeczy znał?
„Niech złodziej jaki napadnie

„Lub ciekawa białogłowa,

„Lub, broń Chryste, nagła śmierć —

„Cóż Mospanie wtedy będzie?

„Dyabeł znowu świeśnie w świat“.

Baltazar wstał i tym razem

Wyrzekł płynnie: „A więc tedy

„W ogień z dyablem, spalić psa!“ —

W śmiech Melchior, w śmiech i sam Marek,

Lubo wcale nie po śmiechu

Była teraz obu myśl.

Dyabeł ogniem: jakże ogniem

Czysty ogień spalić chcesz?

„Więc tandem tedy — tkacz krzyknął —

„Woda z ogniem jak pies z kotem:

„Rzuć do wody, utop psa!“

I na to głową kiwnąwszy

Butodawca, odrzekł smętnie:

„Powódź rzuci gdzie na brzeg,

„Albo czołmo na dnie stłucze,

„Albo rybak złapie w sieć“.

Baltazar chciał coś powiedzieć.

Spojrzał w pułap, potem w szklankę,

Potem upił, potem... siadł.

Pan Marek łokieć na stole,

W dwa kułaki schował brodę.

I w sto faldów ściągnął brew:

Melchior milczał, milczał, milczał...

Coś się widać rodzi w nim.

Coś wielkiej wagi roztrząsa.

Bo tabakę niuch po niuchu

Zawsze w jedną dziurę peha:

Bo szklankę swoją wypiwszy,

Wypił także kufel szewca,

I do tkacza sięgał już,

Kiedy tenże wczesnym zwrotem
Roztargnienia przerwał bieg.

Wstał Pan Melchior, krząknął, splunął,
I w otwartych dwie par uszów
Takie perły sygnął z ust:
„Jak w raju Jadam i Jewa,
„Jak Jonatas w wielkorybie
„Wiedli zawsze z dyablem spór,
„Tak też w wieży Babilońskiej
„Nadszedł rwetes: Teraz szyj!”

Szewe westchnął, tkacz się zachłynał.

Napełniono znowu szklanki,

Krawiec znowu zabrał głos:

„Sławetny Majster, kum Marek,

„Że za ogon dyabła chwycił,

„I pod korek lotra wziął.

„Nie turbacyi, nie frasunku.

„Lecz estymy naszej wart.

„Bies w kozie, wszystkim swoboda,

„Miasto Uhnów jak aksamit,

„Słodki po nim każdy ścieg.

„Bies wolny, wszystkim konfuzya,

„A więc jako oka w głowie

„Winniśmy go wszyscy strzedz:

„Bo nie zawsze to się trafia,

„Że od dyabła mędrszy szewe.

„Nie nasza jednak w tem głowa,

„Bo rozkazu k'temu trzeba.

„Więc me zdanie takie jest:

„Na ratusz z dyablem czem prędeż.

„Ratuszowi go powierzyć,

„Niech mu ratusz w dudy gra.

„Pójdziem do dnia, aby urząd

„Na czczo zastać. — Teraz szyj!”

Szewe z razu ale, ale,
Tkacz powtarzał tedy, tedy,
Lecz się krawiec nie dał zbić,
I koniec końców stanęło:
Jutro dobyć delinkwenta
I na ratusz zanieść w trzech.
Potem cicho, pięknie, trzeźwo
Poszli pracą kończyć dzień.

Część czwarta.

W sławetnem mieście Ulinowie
W środku rynku stoi ratusz,
Z przodu urząd, z tyłu szynk.
Tam w radnej izbie stół długi,
Pod zielonem trzeszcząc suknem.
Trybunałską wraża cześć.
W kałamarzu jak w maźnicy
Kwint-essencya wielkich dzieł.
 (Przy stole, jakby przy żłobie,
 W okularach gruby Sędyk
 I ławników siedzi dwóch.
 Przed progiem, w sieni, na pryczach
 Spoczywają pacholankowie,
 A nad nimi buty ich,
 I laskowe dystynktorya
 Na swych kołkach wiszą w rząd.
Dzień mglisty, sędyk poziewa,
Poziewają i ławnicy,
Do ziewania mają czas.
Wtem wszedł Pan Marek, a za nim
Majstrowie. — Coś w rękach dzwiga...
Ciurkiem z czoła kapie pot.

Pokłonili się majstrowie,
Krawiec zaczął od tych słów:

„Z boskiego w niebie dekretu
„Każde zwierzę ma swą głowę.
„Mądrą, głupią, ale ma.
„Podobnież każde i miasto
„Ma swój ratusz, jak się uda,
„Ten powinien wodzić rej:
„Jak więc ratusz co rozkaże,
„To Mospanie... Teraz szyj!

„Do głowy zatem Uhnowskiej
„O poradę przychodzimy,
„Bo się zdarzył rzadki traf.
„Pan Marek, szewski nasz cechmistrz,
„W ziemi bełskiej pierwsze szydło.
„Przez fortelów dziwny zbieg
„Złowił dyabła, załkał w flaszcze,
„A ten dyabeł — oto jest“.

I flaszkę na stół postawił.
A Pan Sędyk i ławnicy
Dali susa sążeń w tył.
I gdyby jeszcze przypadkiem
Nie był na czezo cały Senat,
Byłby na wznak kozła dał,
Ale tylko się zatoczył.
Potem w dyabła wlepił wzrok.

Acz cichy, skromny, maluczki,
Dyabeł, dyabeł w flaszcze siedzi,
Nawet niema wątpić co:
Bo czarny, łysy, psie uszka,
Kozie rożki i kopytka.
I ogonek ma jak bicz. —
Sędyk kazał, aby jeden
Z dwóch pacholców buty wdział.

Gdy Senat stoi dokoła
I na piękne w zęby dzwoni,
Boć to z piekłem zarwać strach;
Bies sobie liże łapięta,
Czasem tylek poskrobuje,
Lub ogonkiem muszcze grzbiet,
Jakby sobie z samej kozy,
Ba, z ratusza nawet kpił.

Wtem Melchior znowu głos zabrał:

- „Rok już minął, Bogu dzięki,
- „Jak w tej flaszcze siedzi bies,
- „Od roku też to w Ulnowie
- „Wszystko idzie jak po miodzie,
- „Aż się palce lizać chce.
- „Jak tak potrwa długie lata,
- „To z Ulnowa będzie raj.
- „Nie łatwo krajać, szyć trudno,
- „Trudniej jeszcze dyabła złowić,
- „Bo to chytry, ślizki wąż.
- „Najtrudniej wszakże szewcowi,
- „Co jak człowiek umrzeć może,
- „Złego ducha wiecznie strzedz.
- „Więc Waszmościom, głowie miasta
- „Oddajemy dyabła w straż.
- „A jeżeli radzić nam wolno.
- „Radzim flaszkę wstawić w skrzynię,
- „Skrzynię blachą zabić w śnierz.
- „I w środku rynku naszego
- „Kamieniami ciosowymi
- „Obmurować ze wszech stron.
- „Niech na wieczną famę miasta
- „Stanie niby jaki słup.
- „Niech święty Jerzy na słupie,
- „Czysto, pięknie malowany,

„Dzię swoją w czarta pcha.
„Natenczas wszyscy mieszczanie
„Po kolei z halabardą
„Niech wartują dzień i noc.
„Taka to jest nasza rada;
„Powiedziałem. Teraz szuj!”

Sklonili głową majstrowie
I jak każe ceremonia
Poszli sobie za drzwi precz.
Pan Sędyk, z nim i ławnicy
Chcieli wołać i zatrzymać,
Ale jakoś było wstyd.
Więc jak stali, tak zostali
I milczeli długi czas...

Depozyt jednak trza schować,
Zatem Sędyk ławnikowi
Kazał mężnie dyabła wziąć.
Ten w gębie palce umaczał,
Dotknął flaszki, czy nie syknie,
A jak poczuł chłodne szkło.
Przez dwie poły wziął i niesie
Ręce naprzód, głowa w tył.

Otwarto ciemną koinorę,
Gdzie arsenał i archiwum.
Jedna księga, batów dwa;
Tam między kufą gorzałki.
A gąsiorkiem atramentu
Postawili straszny skarb.
I zamknęli na trzy zamki,
Każdy zamek razy trzy.

Usiedli znówu przy stole,
I zmaczali razem pióra
I zrobili żydów sześć;
Lecz rada szła coś oporem.

A więc radę systowali
I do domu poszli jeść.
Potem znowu rada była.
A po radzie poszli spać.

Część piąta.

Niedobrá miał noc Pan Sędyk,
Niespokojną i ławnicy,
Gorączkowy mieli sen.
Łbem w ścianę urznął z nich jeden,
Drugi pierzem się zakrzusił,
I Pan Sędyk z łóżka spadł.
Sądzić dyabła, rzecz to ślizka...
Bo nuż dyabeł porwie sąd?!

Potrzeba jednak rozpocząć,
Otworzono więc trzy zamki,
Każden zamek razy trzy.
I ławnik palec umaczał,
Dotknął flaszki, czy nie syknie,
A jak poczuł chłodne szkło,
Przez dwie poły wziął i niesie
Ręce naprzód, głowa w tył.

Postawił dyabła na stole,
I protokół przedsięwzięto.
Boć to zawsze pierwszy krok.
Skąd rodem? jak się nazywa?
Gdzie przebywa? czy żonaty?
Czy pod śledztwem kiedy był?
Et caetera, et caetera,
Pytań było więcej sta...
Lecz dyabeł milczy, jak milczał,
I Ichmościom koźły dając,



Coś wystawiał, a nie twarz...
Poskrobał serka im czasem,
Czasem figę im pokazał,
Czasem nawet... pies nie bies!
Co tu począć? co tu robić?
Trudnoż dyabłu w skórę dać?!

Nareszcie aż i dyabłowi
Cierpliwości już nie stało;
Po turecku zatem siadł.
I niby woźny zawołał:
„Hej Waszmoście!“ — A Waszmoście
Aui mrumru, jak mak siał.
„Hej Waszmoście! — bies powtórzył —
„Ilu was tam w radzie jest?
„Ha! Jeden, drugi i trzeci!
„Trzech więc osłów jakby jeden.
„Takich bydłat rzadki zbiór“.
To słysząc, jeden pokrząknął,
Potem kaszlnął ławnik drugi,
Okulary Sędyk zdjął,
I rozłożył chustkę w kraty
I zatrąbił w duży nos.
„Jesteście — dyabeł rzekł dalej —
„Urwipolcie i opoje,
„A działacie sobie wbrew;
„Cóż z tego wam, że ja w kozie,
„Że od roku pokój wszędzie?
„Niema bójki, niema spraw;
„Rożen goły, kufel próżny,
„Bo kubanów ani krzty.
„Jak potrwa taki stan rzeczy,
„Któż wam ręczy, że nie powie
„Jaki taki lada dzień:

„Tych darmojadów do czego,
„Co w ratuszu gryzą pióra,
„Bo nie mają pisać co?
„Więc Waszmościom jako *vialis*
„Dadzą nogą, wiecie gdzie“.

Tak skończył dyabeł i kichnął.
A Pan Sędryk i ławnicy
Wykrzyknęli: Żyj Wasze zdrowie!
On nawet *merci* nie odrzekł,
Ale ziewnął, w kąt się wcisnął
I ułożył się do snu,
Jak w wagonie dyplomata.
Gdy z kongresu wraca rad.

Pan Sędryk wtenczas rzecz zaczął:
Że jakkolwiek, prawdę mówiąc,
Jegomości ostry styl.
Myśl wszakże jest jak ów orzecł,
Co acz gorzki przy zgryzieniu,
Słodkie ziarnka w sobie ma.
Potem zaczął dyabłu kadzić,
Ale dyabeł dawno spał.

Po długiej zatem naradzie
Jednogłośnie uradzili.
Aby dyabła puścić w świat.
Sęć tylko, aby w tym akcie
Cielesnego obrażenia
Nie poniosło gremium gdzie.
Na to dyabeł odrzekł śpiesznie:
„Weźcie w nocy mnie na strychi.

„Nim jeszcze kogut zapieje
„Zrzućcie flaszkę, a na honor,
„Włos nie spadnie z głowy wam“.
Jak radził, tak się i stało;

Flaszka brzękła, dyabeł świsnął,
A Ichmoście lecąc w tył.
Tak się łbami tego rznęli.
Że się ratusz cały wstrząsł.

Część szósta.

Zaledwie dyabeł był wolny,
De noviter zaczął wicherzeć.
Aż się dziwił cały świat.
W konwiktach często rej wodził,
Referaty pisał w biurach,
Starych żenił, młodych brał,
A modniarek i bankierów
Pełną garścią wszędzie siał
Do tego jakby zaraza,
Nowiniarzy, dziennikarzy
Padło nagle z dziesięć kop.
Przytem dyabli i nie dyabli
Śmiać się muszą do rozpuku.
Bo nikt w piekle nie lgał tak.
Bo nikt z dyabłów tak nie umiał
Czarne z białem zmieniać w lot.
Szczególnie w mieście Ulnowie
Miał szewcowi na wątrobie.
Że szewc takie cięgi dał,
Że wziął na lep jak sikorkę,
Że jak piwo zakorkował,
Że go ostrzygł jakby psa;
Skąd go potem kusym zwano,
Aż sam szatan z niego drwił.
Więc nastał Panu Markowi
Czeladnika do warsztatu.

Serafinem zwał się on;
Włos długi, krótką miał bródkę,
Wzrok anioła, głos słowika.
Tęgo jadał, lepiej pił.
Lecz dlatego, by do służby
Braci, ludzi nabrać sił.

„Rób — mawiał — ale zarobku
„Nie zachowuj, bo to kradzież,
„Co zarobisz, w czambuł daj.
„Z łotrami dziel się sumiennie,
„Bo łotrowstwo to choroba,
„Na chorobę trza mieć wzgląd.
„Wspólne żony, wspólne dzieci.
„Taki nowy będzie skład“.

Na takie mowy Pan Marek
Wzruszał tylko ramionami.
A spytany, rzekł: Ot kiep!
Serafin tem się nie zrażał.
Lecz szewcowi pochlebstwami
Tak podkadzał, że aż fe!
Zrazu szewe się krztusił nieco,
Później łykał cały dym
Tak dobrze, iż do pół roku
Już uwierzył, że na niego
Posłannictwo zesłał Bóg.
Porzucił szydło, kopytka,
Świat chciał podszyć jak cholewę,
Zaczął szaleć, spiski knuć.
Za nim Melchior i Baltazar
Jakby jego własny cień.

Jednego targu w Uhnowie
Szewe wyszedłszy z przyjaciółmi.
Nuż rozdawać wszystkim chleb,
Lecz cudzy, potem obuwie,

Ale cudze, potem odzież,
Ale cudzą. — Hałas, krzyk!
Vivat Marek! Szewca Marka
Na ramionach niesie tłum.

Jak skargi doszły na ratusz,
Ratusz wysłał swych pacholców.
By zrobili jaki ład.

Pacholki prędko zgarnęli
Dzięścioro luda z brzegu
I pod wielki wzięli klucz.
W Uhnowie wszystko spokojnie;
Wieczór Sędyk wino pił.

W dniu kilka nadszedł i jarmark,
Już na szewca nikt nie czekał.
Każdy sobie brał, co chciał.
Jak swoje brał i bił jeszcze.
Bo łupieżcom z dawien dawna.
Złupionego przykra twarz.
Co to będzie? Co to będzie?

W mieście rozbój, w mieście gwałt.

Jak skargi doszły na ratusz,
Ratusz wysłał swych pacholców.
Lecz pacholców motłochi w łeb,
Pacholki w skórę ławników,
A ławniki w czub Sędyka;
Wszędzie nieład, wszędzie bój...

Wywrócono i kałamarz,
Dyabeł z śmiechu boki rwał.

Baltazar, Melchior i Marek
Wyszli z domu i patrzeli,
I widzieli, że tu źle.
Lecz ufni w swoją powagę
I w swój tryumf w dzień targowy.
Śniła poszli w dziki tłum.

Prośbą, groźbą, ba i pięścią
Trzeba miastu wrócić ład
Baltazar w przedniej stał straży,
Chciał zawołać: Tandem tedy...
Lecz nie skończył wielkich słów,
Bo maziarz kwacz mu ciekący
W gębę wsadził i zakręcił,
Potem tyłcem wałnął w nos.
Tkacz się zwinął jak półsetek.
I potoczył gdzieś pod wóz.
Z kopyta naprzód szewce pomknął,
Machnął lagą w prawo, w lewo,
Aż z czupryny para szła.
Co sięgnął, to i dosięgnął
I okładał i dokładał
Pro memoria jeszcze coś:
Bo szewce Marek chciał porządku,
Więc porządnie w skórę bił.

A krawiec niby nożyce
To rozciągnie, to przyciągnie.
Chwyta, łucze łeb o łeb!
Łby trzeszczą, trzeszczą jak dynie,
Jak na nieszpór dzwonią zęby,
Że aż zdala słyszeć strach.
Aleć zawsze ślizka sprawa.
Gdzie ze stoma walczy dwóch.
Już lecą garnki jak bomby
Z mąką, masłem i śmietaną.
Biją jaja jakby grad...
I na ich palle gorące.
Jak na jakie dwie patelnie.
Naleśniczy leją płyn:
Szewca, krawca już nie poznać —
Dyabeł z śmiechu boki rwał.

Od stóp do głów oblepieni.
Krawiec niby długa kluska,
Niby pieróg stanął szewc.
A koniec końców tej sprawy
Szewc wziął w skórę, wziął i krawiec,
Wzięli oba ... że aż nu!
Szewc się spytał: Żyjesz Wasze?
Krawiec odrzekł: Teraz szyj!
Serafin nie rwał się naprzód.
Bo lękliwej był natury;
Bić się nie chciał, wołał kraść.
Jak nakradł, hula; o ludzkość,
O braterstwo nie dbał wcale,
Bo on z dyablem w zмовie był,
Bo on piekłu za garść złota
Liwerował biedny lud.
Straszliwy dyabeł, to prawda,
Kiedy w własnej swej postaci
Na ród ludzki ogniem dnie;
Straszliwszy jednak sto razy.
Gdy w anioła czystej szacie
Zdradny wonią sieje kwiat.
Poznać dyabła, na tem mądrość,
Tę nam mądrość Boże daj!

II.

STARA DYKTERYJKA.

„Święty Janie, Józefie, Gerwazy, Protazy!
„Pomóż mi dosiąść szkapę, popelnij parę razy“.
Błagał kniotek podpity i w różne zygzaki
Rzynał sieczkę, jak to mówią, dzierzając się kulbaki.

A gdy żaden z patronów pomódz mi nie raczy,
Jak ostatnie refugium zawołał w rozpacz:
„Wszyscy Święci! ratujcie! bo zginę wśród drogi!”
Przytem tak zamaszysto jakoś ściągnął nogi,
Że nietylko wyskoczył, ale i przeskoczył
Aż na drugą gdzieś stronę, i w błocie się zoczył.
O! stara dykteryjka, bardzo stara — zgoda!
Lecz przecie niejednemu hamulec dziś poda.

III.

Z „SATYR I EPIGRAMATÓW“.

Do M...

Pocóż, poco Macieju tłumaczyć Rasyna?
Pocóż w otwarte karby twój geniusz się zgina?
Tyś Rasynem Macieju!... Jawnys dowód złożył,
Gdy chcąc scenę tłumaczyć, nową scenę stworzył.

Na tłumaczenie dzwonu Schillera.

Dzwon ten nowo ulany, acz nam razi ucho,
Oznajmia modłów godziny,
Za naszego więc mistrza westelnijmy ze skrucą...
Boże! odpuść mu winy!

Do...

Wzorowym się nazywasz w boskiej sztuce Feba,
I słusznie — bo wzór dajesz, jak pisać... nie trzeba.

Panicz.

Paniec ładny, paniec młody,
Spіл się, zgrał się, poszedł spać,
Jak się wyśpi, będzie grać.
I samorząd z takiej kłody,
Choćby wziął się na pazury,
Nie wywierci nawet rury.

Nasz kraj.

Dźwignąłby się o swej sile,
Bo z letargu kraj się budzi,
Gdyby tylko dziś nie tyle
Było u nas wielkich ludzi.



EPIGRAMATYCY.



Lubo nigdy nie brakowało u nas autorów piszących epigramata, rodzaj ten wszakże najwięcej był uprawiany na początku wieku XIX., a zwłaszcza pomiędzy r. 1815 a 1830. Każdy prawie wybitniejszy autor dorzucił w tym czasie coś swego do zbioru epigramatów polskich. — co więcej znaleźli się pisarze, którzy nie oprócz epigramatów po sobie nie zostawili. Charakterystyczny ten zwrot, można nawet powiedzieć zapal do epigramatów, należy zaznaczyć w „Księgach humoru polskiego“.

Część ich umieściliśmy już przy wyjątkach z *Wiadomości Brukowych* i z pism Fr. Morawskiego, Chotomskiego, Szydłowskiego i t. d. Na tem miejscu podajemy naprzód po garści epigramatów tych autorów, którzy wyłącznie i w szerszym zakresie ten dział uprawiali; następnie dajemy po parę lub kilka epigramatów tych pisarzy, co niewiele swych „ucinków“ (najczęściej używana nazwa) napisali i tych, co się odznaczyli na innych polach literatury. W końcu dajemy zbiór epigramatów pióra nieznanych autorów, którzy pomieszczały te swoje plody bezimiennie w pismach czasowych.

Przy ułożeniu tego zbiorku epigramatów pomocny nam był rękopis znajdujący się w Bibliotece Jagiellońskiej, którego tytuł dokładny brzmi jak następuje:

„Antologia Polska, to jest Epigrammata, Nagrobki. Napisy, Grzeczności, Uciniki i Myśli dowcipne stu z górą pisarzy naszych, zebrane przez Ignacego Piotra Legatowicza. Magistra Filozofii, b. Etatowego Dozorcę szkół: Lepelskiej, Poło-

ckiej i Wilkomierskiej, Kollegialnego Radcę, Kawalera Orderu św. Stanisława 3-ciej klasy, mającego znak nieskazitelnej służby za 25 lat“.

Rękopis in 4-to, str. 110 w katalogu rękopisów Bibl. Jagiel. oznaczony Nrem 2791 (Wisłocki, katalog tom II., str. 651). Po karcie tytułowej idzie przedmowa:

„Do czytelnika. Oto masz, zacny czytelniku, całkowity zbiór epigramatów ze wszystkich pisarzy polskich, ze wszystkich pism peryodycznych ojczystych, oraz ze wszystkich książek naszych, jakie w ciągu lat czterdziestu do rąk moich wpaść mogły, przezemnie wyjęty i w porządku alfabetycznym autorów ułożony. — Znajdziesz tu epigramata począwszy od Mikołaja Reja z Nagłowic aż do czasów dzisiejszych napisane; ba nawet i takie, które z ust do ust przechodząc, nigdy drukiem ogłoszone nie były. Miałem zamiar na czele tego zbioru położyć należytą o tym rodzaju rozprawę, tudzież krótką o każdym pisarzu podać wiadomość, ale nagła utrata wzroku tego zamiaru do skutku przywieść nie pozwoliła. Przyjmij więc chętnie co ci daję i bądź mi przyjaznym. — Pisałem w mieście guberniemi Mińsku przy rzece Świsłoczy. Lata pańskiego tysięcznego ośmsetnego pięćdziesiątego dziewiątego maja 14 dnia; żywota zaś mego sześćdziesiątego trzeciego roku“.

*Ignacy Piotr Legatowicz,
ze wsi zwanej Małą Kuplicą pod Grodnem.*

Naturalnie korzystaliśmy z tego rękopisu tylko częściowo. Opuściliśmy naprzód epigramata z wieku XVI. do XVII., — zresztą znaczną ich część, i to tekście dokładniejszym, podaliśmy na svojem miejscu. Dalej zbiór Legatowicza obejmuje w połowie epigramata treści poważnej, a więc do „Książ“ nieodpowiednie. „Antologia“ wreszcie Legatowicza ma wiele braków — nie wyczerpał on nietylko połowy, ale może nawet trzeciej części materiału, — trzeba więc było ją uzupełnić i to znacznie, z innych źródeł nieznanymi Legatowiczowi.

Musimy uprzedzić, że epigramata tu zebrane nie wszystkie pochodzą z epoki 1815—1830, że jest pomiędzy nimi nieco tak wcześniejszych jak późniejszych, ale zbyt ścisła segregacya przedstawiała sporo trudności i ostatecznie celu by nie miała.



I.

Z „Ucinków“ Antoniego Pełki¹⁾.

Do autora lubiącego pożyczać.

Doszedł autor wielkiej chwały,
Brał on z książek dniem i nocą —
Lecz gdy mu książki zgorzały,
Chciał brać z głowy — nie było co.

Obmowa.

Patrzaj, proszę, na tę babę,
Jakie u niej zęby słabe.
Słabości przyczyna cała:
Często ludzi na nie brała.

¹⁾ Ucinki te wybrałszy z „Tygodnika polskiego“ (1818—1819), z „Pamiętnika warszawskiego“, z broszury „Epigramata Antoniego Pełki“ (Warszawa 1820), wreszcie z nadesłanego nam łaskawie przed 12-tu laty rękopisu. Zważywszy, że jednocześnie „Tygodnik polski“ drukował wiersze Antoniego Góreckiego i że „ucinki“ styl jego przypominają, nasuwało się domniemanie, że pod pseudonimem Pełki kryje się Górecki, co i tożsamość imienia poniekąd stwierdzała. Nadsyłający nam jednak rękopis p. G. uważał Pełkę za właściwe nazwisko autora, dodając, że „rodzina“ ma zamiar wydać zbiór pism przez niego pozostawionych.

Na złego kaznodzieję.

Amen mówisz z początku; gdybyś o tem wiedział,
Amen rzekłszy z początku, dobrzebyś powiedział.

Na portret kłamcy.

Mówią, że nie traiony. Traiony jest wcale:
Kłamstwo widać w portrecie i w oryginale.

Gaduła.

To mi gęba nielada.
Nie żal jej nadstawić ucha!
Jakże płynnie zawsze gada,
Kto sen stracił, niechaj słucho.

Mędrzec.

Masz rozum, nie mam temu nic ująć mój Panie,
Bo ujawszy co z niego, nic nie pozostanie.

Kropki.

Kropki po każdej komacie,
Skropkowałeś książkę całą.
Dużo dajesz myśleć, bracie,
Lecz sam, widzę, myślisz mało.

Do cnoty.

Wszyscy cię ludzie chwala i niecnoty same.
A brać cię nie chcą jakby bez posagu damę.

Piotr siwy.

Piotr mówi, że z pomady siwy, temu wierzę,
Bo Piotr już lat sześćdziesiąt tę pomadę bierze.

Na Stanisława gadułę.

Gadasz trzy po trzy we śnie, trzy po trzy na jawie,
Kiedy śpisz? kiedy nie śpisz? powiedz Stanisławie.

Jan łacinnik.

„Nie dam się po łacinie sprzedać, byłem w szkole” —
Rzekł Jan. Paweł mu na to: „Są w książkach i mole.
Prawda, sprzedać cię ciężko, bo będzie ten głupi,
Kto cię czy po łacinie czy po polsku kupi”.

Chemik.

Dla Merkura, Wenerę pełen jest miłości,
Przyjęli go bogowie: ten ciało, ta kości.

„Co głowa — to rozum”.

Co głowa, to i — rozum. Lecz twa głowa, Janie,
Uczyniła fałszywem takowe umiemanie.

(Koncept.

Pewnego wieczora Basia
Pytała się swego Stasia:
„Powiedz mi, jak się to robi
Koncept, co tak rozum zdobi?”
.....
Ledwie kilka lekcyj wzięła,
Już „koncept” w... sobie poczęła.

Miłość przyrównana do... węża.

Miłość jest wężem, co się w kwiatkach chowa,
Który się gładko wsuwa w dziewcząt łono.
Julciu! twe oczko, staniczek i... mowa
Wydają, że cię już ukąsił pono...

Jan wydał książkę.

„Prędko wyszła z pod prasy książka“ — Jan się chwali.
Ktoś mu rzekł: „Wyszła prędko, zajdzie nie najdalej“.

Na złego kaznodzieję.

Bajesz trzy po trzy, mówiąc, że to słowa Boże...
Żeby Pan Bóg tak gadał — czyliż to być może?

Panna urodziwa.

To panna urodziwa — wszak to dobrze wiecie.
Prawda, że urodziwa — trzecie rodzi dziecię.

Panna... prawdziwa.

Że jest panną prawdziwą, ani temu przeczę,
Prawdziwa, bo dotrzyma, gdy komu... przyrzecze.

Panna wymowna.

Ktoś powiedział, że ona jest zbytnio wymowna,
Jam przeciwnie doświadczył, wiem że... niewymowna.

Panna służąca.

Pewna panna za pannę służyła we dworze.
Nie mogąc dwojga panieństw znieść, rzecze: „O Boże!
Być panną i za pannę — panieństwa za wiele,
Muszę się z jednym rozstać, nim będzie — wesele“.

Polityk.

Wie co na wschodzie, zachodzie,
Zwiedził „gabinety“ w... świecie,
Ani wie o swej przygodzie,
Kto jest w żonki... gabinecie.

Idzie za męża.

Dziś, jutro idzie za mąż — sześć lat tego było.
Prawda — szła codzień za mąż, lecz... ślubu nie było.

Wstęp do czytelnika.

Pochwali drugi, co się tobie niepodoba,
Czem zaś drugi pogardzi, twój gust to pochwali,
Tym sposobem będziecie chwalili mnie oba;
Największym dziełom więcej pochwał nie dawali.

Dlaczego się nie żeni.

Że się nie żeni, trzy tego przyczyny:
Bo ekliwość cierpi do brzydkiej dziewczyny,
Piękna zaś zbyt mu miękkie robi serce.
A od złośliwej głowa w poniewierce.

Przyjaciele.

Gdy ci szczęście sypie dary,
Masz przyjaciół na cetnary;
Lecz gdyś nędznym został z pana,
Ani ich masz na ćwierć grama.

Wielkie odmiany.

Zginął sławny Babilon, Tyr doznał tej doli;
Skarbnik wasy ogolił, zrzucił pas Podstoli.

Malarz.

Przecież zawsze te malarze
W swych sztukach bywają łgarze,
Patrz na portret tej Jejmości.
Co tam wstydu, co skromności.

Ksiądz kanonik.

A cóż to za księżunio wysmukły i ładny?
Chwałą go i kobiety, bo bardzo... przykładny.

Na śmiech Basi bez przyczyny.

Co się bez przyczyny dzieje.
Z tego się każdy rozśmiej,
Śmiechu przyczyny nie miała
Więc się Basia słusznie śmiała.

Gra wieczorna.

Z czasem się gry odmieniają.
Bo zawsze kisle odmiany,
Ciuciubabki dziś nie grają,
Zawsze trwa cenzurowany.

Na obmówców.

Obmówce, powiedzcie mi cobyście robili,
Gdyby z głuchotą ludzie na świat przychodzili.

Doświadczenie.

Młody mniemałem zbyt szczerze,
Że dla majątku nabycia
Pocziwego trzeba życia.
Dziś starszy temu nie wierzę.

Odmiana.

Miłość braterska, a piękna uroda,
Łaska panieńska, a w marcu pogoda.
Fortuna w karty, szczęście na farynie,
Wszystko to w jednej przemija godzinie.

Na przeciwnego małżeństwu.

To mi to gęba nieładą.
Co na małżeństwa tak gada:
Twierdzi, że ślubny mąż, żona
Jest to rozpusty zasłona.
On to ma z ojca swojego,
Co był również zdania tego:
Ojciec jego, wszakże wiecie,
Nie żenił się całe życie.

Kobiety.

Sławne kobiety były w każdym kraju,
Lecz te, co z szkoły Pitagora były,
Godne są nawet i raju,
Bo się milczeniem wsławiły.

Arystokracja i demokracja.

On się chełpi, że Demokrad;
Tamten zaś, że Arystokrad.
Znajdziesz prawdę oczywistą,
Odrzuć Demo i Arysto
Od Demokrad. Arystokrad.
Pozostanie prawda: krad, krad.
Ale częściej Arystokrad.

Przytomna odpowiedź.

Pewien książkę poecie wiersz swój z chlubą czyta.
„Cóż to za głupiec pisał?” — poeta się pyta.
„Co gadasz! wszak to wiersz mój”. Poeta rzekł: „Panie!
„Chcesz pisać źle, czy dobrze, na wszystko cię stanie;
„Czy tak, czy tak potrafisz, co za talent, Boże!
„Pisząc wierszem tak ślicznie, nawet i źle może”.

Zosia wielomówna.

Bierze Zosia nauki już w siódmym języku,
Niepotrzebnie, wszak jednym nadto robi krzyku.

Populacya zbytnia szkodzi.

Miał sto tysięcy wziąć po ojcu w dziele,
Matka co rok szczęście rodzi;
Sześć tylko dostał, może mówić śmieie:
„Populacya zbytnia szkodzi“.

Pijak.

Pijał we dnie i w nocy, choć mu się nie chciało,
Potem dostał pragnienia, napoju nie stało.

Malarz i autor kradnący.

Ja tak kopijuję sztuki,
Że każdego wdzięk zaślepi.
Autor na to: Tej nauki
Nikt odemnie nie zna lepiej.

Sekwestracya z korzyścią.

Tylko ci dwugodzinną zostawuję porę,
Winienes, nawet żonkę sekwestrować będę;
Nam qui non habet aere tunc solvat corpore!...
„Bierz bracie! tym ci lepiej, dwóch długów się zbędę“.

Nabuchodonozor.

Że Nabuchodonozor przemienił się w woła
Tego cudu ma uczyć jakaś powieść święta,
Lecz któż temu nareszcie dziś wierzyć niezdola,
Widząc tylu zmienionych w osły lub cieleta.

Na poetę z butelki.

Jakób chciał zostać poetą.
Więc podnosi bystre myśli.
Wzmacnia je wódki podniętą...
Wzłata duchem, piórem kryśli;
Już z butelki wziął moc całą,
Ufny, że sposobem takim
Jest Poetą — wspan się stało:
Zamiast tego jest pijakiem.

Szaleństwo ludzkich życzeń.

Aby wszystko co tylko dotknie jego ręka
W złoto się obracało, chciwy Midas stęka.
Polixema życzenie mieć gardło żórawie,
By tem dłużej czuć smaku w piu i potrawie.
Amant błaga Wenere, aby mógł pelłą zostać,
Żona zaś literata chce wziąć książki postać.
Zawsze chce, a dopiwszy, znowu swe życzenia
Co moment człek przewraca, co moment odmienia.

Życzenia Jana.

Kotem byłbym w umartwieniu,
Zaspałbym wszystkie zgryzoty;
Kluczem dla pewnych... w więzieniu;
Ptakiem w nieszczęsne obroty;
Mamką, jakbym był zgłodniały;
Piwnicznym w samym objedzie
Uciekając jak pelła mały;
Odorem dla kobiet na przedzie.
Przez lat dziesięć adwokatem;
Między dumnymi za pana;
Choć krakowskim infułem;
Panem młodym codzień zrana.

Szczęście niezazdro szczone.

Szczęścia rozumem nie kupi.
Najszcześliwszy zawsze głupi;
Wierzę, tak bywa na świecie.
Nie zazdro szczę tego przecie!

Na bajkopisarza.

Szczodre dary natury z jej łaski się rodzą,
Pawłowi codzien nowe bajeczki przychodzą;
Tak snadno komponować, to talent niemały:
Wczoraj jak zrobił bajkę, pokłócił dom cały.

Wpisał się w szkaplerz.

Rzekł, że się wpisał w szkaplerz Jan, nad tym się dumi,
Jakże się on mógł wpisać, gdy pisać nie umi.

Pani bezdzietna.

Pewna pani bezdzietna tak męża winiła:
Natura go talenty swemi z bogaciła,
Pełen światła, języków, gra pięknie, tańcuje,
Arytmetyk, w czym chybia — nie multiplikuje.

Smutek Piotra.

Dobry trunek na frasunek!
Tak Piotr sobie często nuci;
Nie powiem czy pija trunek,
Lecz się biedny codzien smuci.

Na podróż w cudze kraje.

Jeździ po świecie dla poznania świata,
Ale to próżna, nadaremna strata,
Bo się przeciwnie w tym zamiarze staje:
Nie on świat, ale świat jego poznaje.

Znikomość.

Jakób sławny wierszopis: w swym geniuszu płodzi,
Wielkie dzieło o ludzkich rzeczy znikomości,
I samo pismo jego jasno to dowodzi,
Bo tylko co powstało, już ginie w nicości.

O niemowie.

Zbyt rzadkimi przymioty Rozyna się chlubi,
Z powierzonych tajemnic nie wyda i słowa;
Nowinkami, obmową trudnić się nie lubi.
Kobieta do zdziwienia! — Szkoda, że niemowa.

Ucinek.

Że papieru zabrakło, więc nasz pan Antoni
Cały tuzin napisał wierszy na swej dłoni.
Wy się z niego śmiejecie? czyż przeciw naturze?
Niepisanoż i dawniej już na ośleј skórze?

Bojaźliwy.

Skoro niebo okryją chmurnyste obłoki,
Skoro tylko grzmot straszny łoskotać poczyna,
Lecę do piwnicy podwójnymi kroki,
Myslicie, że ze strachu? nie — ja szukam wina.

Pytanie.

Ach! przyjaciele, radbym się dowiedział.
Bo trzeba wam to wiedzieć, żem ciekawy troszki,
Który z nich głębiej będzie w piekle siedział:
Czy ten co proch wynalazł, czyli ten co proszki?

Na doktora.

Dwa tysiące już ludzi dłoń jego zniszczyła.
Tego męża być musi jak Samsona siła.
Może jest jak Anteusz bohaterów wzorem?
Lub drugim Herkulesem? — nie, tylko doktorem.

L „Ucinków“ Ign. Piotra Legatowicza.

Pociecha i rada ubogiemu poecie.

Placzesz poeto ubogi!
Niechaj cię pocieszą Bogi.
Placzesz, że za twoich czasów
Niema zgoła mecenasów,
Jacy w wiekach ominionych
Wspierali pracę uczonych.
Gdzież są Krzyccy? gdzie Kmitowie?
Gdzie Ociescy? gdzie Górkowie?
Gdzie Gembiccy? gdzie Myszkowscy?
Których sławią Kochanowscy?
I tam dalej i tam dalej,
Wszyscy już poumierali.
Nie smuć się, ja ci poradzę
I na koszu nie osadzę.
Potrzeba uleść czasowi;
(Przeproś Muzę Dobrodziejkę),
Idź pokłoń się Zymelowi, —
On ci da jaką kopiejkę
I weźmie rymy do prasy,
Bo dziś żydki mecenasy.

Nie rozłączaj, co Bóg złączył.

Raz gdzieś tam małżeńskie stadło
Z pięściami na się napadło,
I porwawszy się za włosy,
Odgryzało sobie nosy.
Rzekł ktoś: „Trzeba walkę skończyć
I bijących się rozłączyć“.
Wtem ktoś drugi, gdy ów skończył:
„Nie mieszaj się w to nieboże!
Pomnij, że co Pan Bóg złączył.
Człowiek rozłączyć nie może“.

Na Mamerta.

Pan Mamert, czoło doktorów.
Sądzi, że wielu autorów
Dowcipnym cudem przemiany
Poprzeobrażał w bałwany.
On sam bezpieczny z tej strony,
Urodził się przemieniony.

Dwaj czarci.

Dwa są wrogi na człowieka:
Jeden w piekle na nas czeka.
Ten z wieków z potem na czole
Smaży dusze z ciałem w smole;
Drugi tu z nami na ziemi,
Opiekuje się wszystkiemi;
Tego cel strasznej zabawy.
Odzierać ludzi ze sławy;
Ten pociskiem ust złośliwych
Rani umarłych i żywych.
Któż ten drugi? spyta Anna.
Pani! rzekłem, stara panna.

Na męczeństwo Feliksa.

Gdy się widuję z Feliksem.
Znajduję go z krucyfiksem;
Bo równie jak syn Dawidów.
Biedak i on umęczony,
Tamten od niewiernych żydów.
A ten zaś od własnej żony.

O dzisiejszych Mojżeszach.

Żyd to zwał cudem przed laty,
Że ów Mojżesz był rogaty.
Czem się chlępi ród plugawy?
Los dla nas bardziej łaskawy:
Mamy dziś małżonków rzesze.
A prawie wszyscy Mojżesze.

Odpowiedź chłopca.

Lampy świecą się jak gwiazdy:
Widać na dworze pojazdy,
Przy dźwięku hucznej muzyki
Słychać wesołe okrzyki:
W pałacu radość się szerzy
I dają ognia z moździerzy.
„Z jakiej te goły przyczyny?
Czy to pańskie imieniny?
Czy może jakie wesele?
Dlaczego gości tak wiele?
Chłopie! co za bal we dworze?“
„Nie wiem — odpowie w pokorze
Chłop odarty i wyblady. —
U nas codzień te kiermasze, —
Pewnie piją zdrowie nasze“.

Epigrama.

Już dni kilka głowę suszę,
Chcę napisać epigramę;
Co zacznę, to zmazać muszę.
Nie nie idzie, brednie same;
Jak z kamienia; chodzę, myślę,
Gryzę pióro, piszę, kryślę;
Zawsze mi na myśl przychodzi
Ksiądz Bonifacy Dobrodziej,
Cyt! żeby czego nie spleli;
Zawsze mi się to nawinie,
Że on zna się na łacinie
Tak, jak osioł na basetli.

O dziewicach.

Dziewicy strojnej do włosów
Brak w ustach i w ręku ciosów;
Ale niech drży Boski zlepek,
Kiedy ta już włoży czepek.

II.

EPIGRAMATA RÓŻNYCH AUTORÓW ¹⁾.

O Chloi.

Panie, dziwisz się Chloi; ja się dziwię tobie:
Czyż to Chloe po mężu drugi rok w żałobie?
Bajki, dziś nie takiego pewnie się nie zdarzy,
Kochanek jej powiedział, że krepa do twarzy.

¹⁾ W tym dziale właśnie korzystaliśmy w części ze wspomnianego rękopisu Legatowicza.

O przedajnym sekretarzu:

Widząc dyabeł, że śmierć błada
Między domy się przekrada.
Zapyta: „Gdzież to posuwasz swe kroki?”
„Idę po duszę”. — „Po czyjąż to przecie?”
„Po sekretarską: tak chciały wyroki.”
Dyabeł jej na to: „Cóż ci się plecie?
Nie idź napróżno: oświecić cię muszę,
Że jeszcze rokiem
Przed tym wyrokiem
My za talara kupili tę duszę”.

Klemens Maciej Barński.

Junak.

Rozum i serce, dwa wrogi.
Na straszny bój się wyzwali.
Wtem weszła Anna do sali
I rozum w nogi.

Kura.

Krzyk, hałas! — co za przyczyna?
Nie wiedzieć skąd się co wzięło,
Kura wyszła z pod komina
I wielkie ogłasza dzieło.
Czy jakie skarby wynalazła panu?
Czy nowy system poznaje?
Czy co ważnego odkryła dla stanu?
Nie. — Cóż przecie? — Zniosła jaje.

Dysharmonia.

Nie dziw, że i najmilsza muzyka cię głuszy;
Bo masz głowę za małą, a za wielkie uszy.

Kazimierz Brodziński.

Złodziej.

Kradł złodziej przez czas długi z szczęściem wyśmienitym,
Bo nigdy ni złowionym nie był, ni obitym.
Dokąd poszedł na zdobycz wszędzie się udało.
Miał się dobrze. Lecz oto co się potem stało:
Poszedł raz kraść; że nazbyt swej zręczności wierzył,
Pies go zranił, gospodarz w łeb kijem uderzył.
Wrócił więc do domu, klnąc szczęścia koleje;
Ale w nim nie znalazł, okradli złodzieje.

Ks. Faustyn Bernatowicz S. P.

Samobójstwo jest grzechem.

Skąd to pochodzi między doktorami,
Że kiedy chorzy nie leczą się sami?
Stąd przyjacielu, rzecze ktoś z uśmiechem,
Że samobójstwo jest grzechem.

Do Wincentego.

Wincenty! tobie dała dobroćliwość bogów
Bogatą żonę! — świat ci jej zazdrości;
Z nią ci się dostał róg obfitości,
A razem obfitość rogów.

W. Chłędowski.

O Orfeuszu.

Orfeusz żonę wyrwał, która w piekle była.
Żadna zaś żona męża z piekła nie dobyła.

Feliks Chrzanowski.

O rachunku sumienia.

Pewny ilekroć chciał się swych grzechów spowiadać,
Miał zwyczaj żonę pięściami okładać.
Spytany o przyczynę od przyjaciół swoich:
„Mam — rzecze — słabą pamięć i przypomnieć moich
Grzechów sobie nie mogę: ta zaś, gdy pięść czuje,
Jak z rejestru me wszystkie występki rachuje“.

Do kaznodziei.

O jak mówiąc poruszasz każdego człowieka,
Gdy wszystkim lud od twego kazania ucieka.

Nikodem Czechel.

Na uróżowaną brzydotę.

Szpetnąś była, pókiś się nie umalowała;
Włożywszy na twarz farby, straszniejsząś się stała.
I cóż stąd? — Dokazałaś tego sztuką swoją.
Że gdy cię nie kochają, przynajmniej się boją.

Józef Dulski.

Na łakomcę.

Drżąc na okręcie wśród bałwanów srogich
Łakomca niebom ślubował w rozpacz
Darzyć jałmużną przez trzy dni ubogich,
Kogo z nich tylko na lądzie zobaczy.
A kiedy okręt do brzegu zawinął,
A strach naszego łakomcę ominął;
Żeby nie złamać swojej obietnicy,
Nie ukazał się trzy dni na ulicy.

Cyprian Godebski.

To słyshałem od Anusi;
Ależ mój Boże,
To być nie może,
Świat choć jeden ząb mieć musi.

Bruno Kiciński.

O budowniczym.

Niech wie potomność, że nasz budowniczy,
Co ósmy krzyżyk swego wieku liczy,
Cokolwiek stworzył, wszystko już runęło:
Sam, równy Bogu, przeżył swoje dzieło.

Na Klaryssę.

U Klaryssy złota mała,
Tyś bogaty, idź do wiana;
Tobie rogów nie stawalo,
A jej złota — dobra zmiana.

Szymon Konopacki.

Rada Dyogenesa.

Dyogenesa ktoś w tem szukał rady.
Kiedy wieczkę, kiedy jeść obiady?
A on głos z śmiechem zmięszawszy na poły,
Rzekł: Gdyś bogaty, kiedy chcesz swe stoły
Zastawiaj suto; lecz gdy nic nie macie,
Kiedy ci dadzą, wtenczas jedz, mój bracie!

Łopaciński.

Zawsze fałsz się wyda.

Wczoraj wieczór pocieszną rzecz słyshałem weale,
O naszym współrodaku bogatym Michale.

Aby zostać doktorem przykładą staranie;
Wiem pewnie, że nim będzie i biret dostanie.
Bo w tym wieku zepsutym, tak jak on bogaty
Wszędzie zakupi urząd za swoje dukaty.
Lecz tu znowu zachodzi inna trudność nowa,
Jak też on pod biretem swe uszy pochowa?

Edward Muchwitz.

Na doktora.

Dziw! doktor księdzem. — Czegóż się dziwować?
Tyle ludzi pomorzył, trzeba ich pochować.

Józef Massalski.

Do złego poety.

W wiosnie o swych wierszach myśli,
W lecie je na papier wali;
W jesieni poprawia, kreśli.
W zimie niemi w piecu pali.

Biskup i chłop.

Gdy dnia jednego biskup lud swój błogosławił,
Przytomny chłop kapaleusz na głowie zostawił.
Wtem biskup rozgniewany gani to chłopowi;
Chłop zaś mu odpowiada: „Nic to nie stanowi,
Jeśli błogosławieństwo z dobrych rąk pochodzi,
Przez mój kapelusz przejdzie, nic on nie przeszkodzi“.

(Dobra rada.

Z przodu strzeż się kobiety,
Z boku unikaj karety;
Z tyłu konia nie dotykaj,
Wszędzie przed głupim umykaj.

Regularne życie.

Trzeba przyznać, że Paweł regularnie żyje,
O czwartej po obiedzie codziennie się upije.

Marcin.

Od dziś dnia Marcin głupstwa swoje już porzuci,
Nie gra, nie oszukuje, ani się nie kłóci;
Ze wszystkim się poprawił, nawet już nie pije.
— Jakimże to sposobem? — Tym, że już nie żyje.

Matuszewski.

Na małego wzrostu żonę.

Że małą pojął żonę Paweł, to ci wadzi:
Z dwojga złego obierać mniejsze rozum radzi.

Leon Mięczyński.

Rym długo szukany.

Długo skrypt szukał rymu trudnego na Muzę:
Ujrzał żonę, a niechęć wspomniął na Meduzę.

Przyjaciół wywyższony.

Kochałem cię i byłem od ciebie kochany.
Urząd twój jakieś porobił odmiany:
Ledwo dziś na innie okiem łaskawem spoglądasz.
I nie kontent z miłości cześć odemnie żądasz.
Czynię więc woli twojej zadosyć mój Panie:
Boję cię cześć, lecz kochać już nie jestem w stanie.

O brodzie.

Jeżeli mędrce czyni broda zapuszczona,
Toć może i brodaty cap ująć za Platona.

Józef Epifani Minasowicz.

Do Stanisława.

Ty wszędzie gadasz źle o mojej sławie,
Ja zaś cię wszędzie chwale Stanisławie.
Ale mi dziwna rzecz ta być się zdaje,
Że nam obydwu nikt wiary nie daje.

Ignacy Mogilnicki.

Na tłumaczenie Brytanika tragedyi Rassyna przez Zambrzyckiego.

Brytanik w francuskim stroju
Był od wszystkich poważany,
Ale po polsku przebrany
Nie wart stać i w przedpokoju.

Na pijaka.

Gdy je, to chyba śniadanie,
Cały dzień butelkę pieści;
Jeden ma guzik na kaftanie,
Ale na nosie trzydzieści.

Jan Ignacy Moll.

?

Feliński skarżył się skromnie,
Że mu ciężko rym przychodzi.
Jan, co bujnie wiersze płodzi,
Rzekł z podziwieniem: „Co do mnie,
W moment zrobię wierszów kartę.
Nie nie kosztują mej głowie“.
Na to ktoś z boku powie:
„To kosztują, co są warte“.

Aleksander Moniuszko.

Skrupuł osobliwszy.

Wszak nie same ma niebo doktory kościoła,
Dobrze i nie literat być pobożnym zdoła.
Pewny, co nie zwykł zdrowia nad księgami psować,
Zwykł mawiać: „Nie godzi się umarłych turbować“.

Politowanie nad potopem.

Mój krajezy o potopie gdy słyszał kazanie,
Niezwykle wąs mu gęsty poddęło wzdychanie.
Pomogłem mu nabożnych affektów: „O smutne —
Rzeknę — czasy, gdy deszcze lały tak okrutne!
„Tak jest — odpowie krajezy — o nędzne narody!
Wina jeszcze nie było, a tak wiele wody.

Wojaż.

Żeś deptał błoto w Rzymie, w Paryżu, w Londynie,
Żeś widział nagie w włoskiej posągi krainie,
Żeś pił wino węgierskie tam, kędy się rodzi;
Mniemasz, że ci łeb zadrzeć, choć pusty, się godzi.
Pomnij jednak, że równą szczyci się zaletą
Lokaj, co za twą zwiedził Europę kareta.

Fajka.

Odradzasz mi tabakę kurzyć, że zbyt suszy,
I abym fajkę roztlukł, żądasz z całej duszy;
Ja zaś o zbytnią wilgoć dla ciebie się boję,
Roztlucz ty pierwszej szklankę, przyjacielu, swoje.

Wzmianka o Judaszu.

Pan nasz skarbnik choć lubi pieniądze bez miary
I rozmaite zawsze sprzedaje towary,
Na wzmiankę się Judasza jednak zalterował:
„Jabym -- prawi — nierównie więcej wytargował“.

Nabożeństwo pijańskiego.

Różne ludzi natury, gdy podchmielą sobie,
Bywają nabożnymi często w onej dobie.
Mój sąsiad, gdy raz zajrzał w dzbanek wypróżniony,
„Próżność nad próżnościami!“ zawołał skruszony.

Nieprzyjaciół żydów.

Pan lichwiarski jest żydów przeciwnik zawzięty,
Pobożny gniew w nim tleje na ten lud przeklęty.
Lecz ilekroć żyd przed nim pieniądze położy,
Pobożnie przypomina, że to lud był Boży.

Lekarstwo na zimne wiersze.

Przeciwnie leczy skutki, przeciwna przyczyna,
Zrobiłeś zimne wiersze, nieś je do komina.

Gość zapaśny.

„Cóż to zostałeś panem, jeźdźisz z murzynami?“
„Nie, to kowal przyjechał ze mną z wityrychami.“
„Po co?“ „Bo ilekroć się tu w gościnę włócę,
Zawsze giną u ciebie od piwnicy klucze.

Nikodem Muśnicki.

Sknera.

Pewien sknera bogaty — kto? to tajemnica, —
Chodził boso po mieście przy świetle księżycy
I obliczał ileby ludzie oszczędzili,
Gdyby boso tak jak on po bruku chodzili.
Wtem uderzył o kamień i z bólu zakrzyknął:
„Gorszegov — rzecze skąpiec — nieszczęścia uniknął,
Chwała Bogu, że boso wyjść miałem przecucie,
Gdybym był nie szedł boso, miałbym dziurę w bucie“.

Teofil Nowosielski.

Na trzpiota pijanego.

Skądże te, powiedz bracie, niepojęte zmiany?
Zawsze młyn wiełrzny pusty, twój widzę żalany.

Jan Omoszko.

Do hrabiego.

Że te wiersze są twoje, wie cała ojczyzna:
Byś się zaparł, nikt pewnie do nich się nie przyzna.

Józef Kalasanty Pajgert.

Ciekawość zaspokojona.

Widziałem różne kraje i różne narody,
Zwiedziłem odwieczne grody,
Poznałem czarnych i miedzianych braci;
Lecz chciałbym dyabła widzieć w swej postaci.
„Twoja ciekawość będzie wnet zaspokojona,
Poczekaj, zaraz tutaj przyjdzie moja żona.

K. Pawłowski.

Do...

Przysyłasz mi na papierze
Gałus, który mię nie wzrusza;
Na taki dar, wyznam szczerze,
Jak lód zimna moja dusza.
Jest on nazbyt wyszukany,
Śmiem mówić nawet dziwaczny;
Ten tylko owoc jest smaczny,
Co prosto z drzewa zerwany.

A. Plichta.

Odpowiedź poecie ofiarującemu swe rymy.

Starego na miękinie nie ułowisz wróbla,
Masz, kpie, nazad twą książkę i w dodatku rubla.

Tytus Poraziński

Do poety.

Twa sława biega po bruku,
Wychwalają twe dzieła, choć ich nie czytano;
Zniłuj się, daj je do druku,
By o nich mówić przestano.

Leon Potocki.

Sługa leniwy.

Prędko jesz, zwolna chodzisz, poradzę ci Janie:
Jedź nogami, a usta obróć na bieganie.

Konstanty Słot...

O Janie małżonku.

Jan nim doszedł do kobierca,
Cierpiał mocne bicie serca,
A dziś, gdy ma serce zdrowe,
Cierpi mocne bicie w głowę.

Grott Aleksander Spasowski.

Sylwetka.

Jeżeli z czułych swych kochanków grona
Strąca którego już zwiędła Kleona,
Nie żali się przed nikim, ani go nie łaje;
Jeszcze mu na pamiątkę sylwetkę swą daje.

Chce przynajmniej w swej jesieni,
Straciwszy wiosenne róże,
Być u kochanka w kieszeni,
Gdy już być w sercu nie może.

L. Szabel.

! Swatowstwo.

- Żeń się. — Czy ja szalony! czy mnie źle w tym stanie?
— Chciałbym cię jednak swatać. — Zachowaj mnie Panie.
— Lecz posłuchaj, może cię spodoba. — O właśnie!
— Rok piętnasty. — Tem gorzej. — Dowcip. — Baśnie, baśnie!
— Roztropna. — To dziwaczka. — Piękna. — Zalotnica.
— Z wielkiego domu. — Dumna. — Czuła. — Zazdrośnica.
— Ma talenta. — Eh! porzuć! zamysłu nie zmienię.
— Sto tysięcy w posagu. — Co? tak, to się żenię.

Walenty Szacfaier.

O filozofie i chłopie.

Uczył chłopą filozof, że się ziemia cała
Koło słońca podwójnym ruchem obracała;
„Prawda panie! — rzekł chłop gorzalką zalany —
Patrz jak mną ziemia rusza, aż lbem tłukę ściany“.

Franciszek Sokoł Szulc.

Sprawa uboga.

Płacząc szła sprawa
Pod opiekę prawa.
Spotkał ją patron, a widząc w nędzy.
Umknął czempredzej.

Kantorbery Tymowski.

Na tłumaczenie *Boroniki* tragedyi *Rassyna*
przez *Molla*.

Taka rzeczy ludzkich dola,
Nie nie uniknie zniszczenia;
Mimo wieków poważenia,
Znalazł *Rassyn* swego mola.

Zambrzycki.

x Na pomnik na mogiłach.

Któż ten głaz kolosalny na grobie położył?
Żona, bo się obawia, aby mąż nie ożył.

T. Żebrowski.

III.

EPIGRAMATA NIEZNANYCH AUTORÓW ¹⁾.

Na balwierza.

Jak jest nasz balwierz wstawiony.
Nie mają równego miasta:
Bo gdy goli z jednej strony,
Broda już z drugiej porasta.

¹⁾ Tu znów korzystałem w części z innego i już drukowanego zbioru *Legatowicza*: „*Epigramata, fraszki*“ i t. d. (Wilno, 1854). Zdaje się, że ten zbiór składa się przeważnie z jego własnych utworów; przypomina je bowiem bardzo formą i treścią.

Do pana Pawła.

Mówisz, że Mamert głupi, zgadzam się i wierzę;
Bądź jednak dyskretniejszym, mój Pawle, w tej mierze;
Chrześcijańska religia nakazuje tobie,
By nigdy źle nie mówić o podobnym sobie.

Nędza Joba.

Kiedy dyabeł wziął niegdyś Joba na swą próbę,
Wydarł mu dzieci, zdrowie i całą chudobę;
Lecz by go sroższej nędzy i próbie wystawił.
Czyliż wiecie co zrobił? — żonę mu zostawił.

O pismach peryodycznych.

Raz gospodarz na wiosnę gęsto zasiał pole,
A w jesieni po trudach pracy i mozołach.
Gdy zboże z jego łąnów zwiezionem zostało,
Znalazł w niem wiele słomy, a ziarna zbyt mało.
Ja patrząc na te snopy tak płonne, choć liczne,
Myślałem: to są u nas pisma peryodyczne.

Wieśniak.

Wieśniak widząc, że papugę
Sto dukatów taksowano,
Pyta: „Za jaką posługę
Tak ją drogo szacowano?“
Ktoś mu rzekł: „Bo gada wiele“.
Knięć, co znał morał na świecie,
Rzekł: „Mam ptaka, przyjaciele!
Za tęż go cenę weźmiecie.
(Wtem dobył indyka z woru),
Ten lepsze cnoty posiada,
Tłustszy i większy z pozoru.
Wiele myśli, nie nie gada“.

Zły malarz.

Zły malarz rzekł: „Przyjaciele!
Dziś komorę mą pobiele.
A jutro ją wymaluję“.
Ktoś wiedząc, że on popsuje,
Rzecz bez żadnej ogrody:
„Ja ci chcę rady udzielić.
Najlepiej pomaluj wprzód,
A potem każ ją pobielić“.

Niewinność.

O! to cnota bezprzykładna!
Stale od pokus się broni:
Grzech przystępu nie ma do niej;
— Czemuż? — Bo strasznie szkaradna.

Obiad literacki.

Poco wpośród gości tłumu
U Marka jedzą uczeni?
— Bo mu nie staje rozumu,
A im pieczeni.

Odpowiedź wieśniaka.

Ujrawszy w mieście wieśniaka,
Wniósł Pan Staroście pytanie:
„Cóż tam na wsi porabiają?
A głupców czy ciżba taka,
Jak dawniej?“ „Nie, Mospanie! —
Rzecz wieśniak — od tej chwili.
Jak pan tu obrał mieszkanie.
Głupcy się u nas zmniejszyli“.

(Na Tomasza.

Wieczór nadchodzi, słońce świat porzuca;
Oszczędny Tomasz srodze się zasmuca.
Co go w tak ciężkiej pogrąża tęsknicy?
— Nie słońca żal mu, lecz świecy.

O głupich.

Głupich pełno jest na ziemi:
Być ich widzieć nie przypadło,
Skrój się między ściany twemi
I stłucz u siebie zwierciadło.

Dwaj kłamcy.

Kłamał jeden, rzekł drugi: „Wybacz, że przeszkodzę;
Kurzy się za Waćpanem“. „Bo po ziemi chodzę —
Odpowiedział mu pierwszy — Waćpan zaś, co pływasz,
Oczywiście, że wolnym od kurzawy bywasz“.

Nagrobek bijącemu monetę.

W tem miejscu leży ciało Michała złożone,
Który dobrze monetę bił, a lepiej żonę.

O wdowcu paraliżem ruszonym.

Poszedł wesół spać wdowiec pozbywszy swej żony;
Lecz w nocy paraliżem nagłym jest ruszony.
Wieszże jaka choroby tej przyczyna była?
— Śniło mu się, że żona jego znów odżyła.

Celnik na kąpielach.

Podług jednomyślnego lekarzy układu,
Pojechał brać kąpiele celnik do Karlsbadu.
Słyszac to kupiec, krzyknął z rozjątrzoną duszą:
„Dziwna rzecz, iż ci ludzie zawsze coś brać muszą“.

Na aktora, dawniej balwierza.

Zanadto ten jegomość sobie dziś pozwolił:
Bo zarzyna autorów, których dawniej golił.

Na urzędnika bez zasługi.

Michał, dostawszy urząd, tak głosił przed światem:
„Niech mnie Bóg skarże, jeżli chodził za tem!”
„Twój postępek — Jan rzecze — tej prawdy dowodzi:
Bo kto się czołga, ten wcale nie chodzi”.

Do Korduli.

Pismo święte nam dowodzi,
Że nie dobrego skąpstwo nie urodzi:
Więc się domyślam, piękna Kordulo!
Że musiał skąpy być twój tatulo.

\ Nagrobek skąpcowi.

Przechodniu! co idziesz tędy,
Przeczytaj! Józef leży pod tym głazem,
Który z schodzącym rokiem ze świata zszedł razem,
Żeby na nowy nie dać kołedy.

Nowy zegar.

Mój sąsiad od ślubowin bez zegaru żyje:
Bo ma żonę, co kwadrans, co godzinę bije.

Antykwaryusz.

Jak śmieszne Bogumiła szaleństwo porywa:
Wyszukuje on wszędzie starzyznę spleśnioną;
A mógłby mieć najłatwiej, na czym mu dziś zbywa,
Gdyby się tylko z swoją chciał pogodzić żoną.

Przekonanie.

Że Paweł głupi, Piotr nas przekonać się stara
W najdowodniejszym sposobie,
A nie pamięta na to, że nam nasza wiara
Zakazuje źle mówić o podobnym sobie.

Nagrobek.

Tutaj pan Bibosz z Bogiem odpoczywa,
Który tak wodę był obmierzył sobie,
Że i po zgonie przechodzących wzywa,
Aby na jego nie płakali grobie.

Pociecha.

Stojąc nad grobem czuła Hermiona,
Przywołuje swych krewnych i męża Orgona:
Tym ona szczerze i bez pokrycia
Odkrywa błędy swojego życia.
Wkrótce skoła. Leje łzy przytomnych rzesza,
Mąż przerywając powszechne łkanie:
„Co mnie w tej doli — rzecze — przynajmniej pociesza,
Jest to, że pewno więcej już nie wstanie“.

K. G.

Na lekarza.

„Zadziwia cię zgon nagły lekarza Stefana;
Chciała odpocząć śmierć zmordowana.

Do Marcina.

Jeżeli można dać wiarę pocie,
Że prawda siedzi nie w studni, lecz w winie,
Pomnik ci ludy winni wznieść Marcinie!
Nikt chętniej prawdy nie szukał na świecie.

Różne gusty.

Pewnego balu zasiadłszy w bufecie
Kilku rycerzy przy starej gazecie,
W której się już druk zalewał.
A kto ją czytał poziewał.

Takie o wojnie czynili rozprawy:

„Mnie się do twierdzy podoba szturm krwawy!...“

„Ja oblężenie nad wszystko przenoszę...“

„Ja w bitwie wścieklej znajduję rozkosze,

„Kiedy to, na przód! dowódca wyrzeka,

„A nieprzyjaciół jak zmyty ucieka“.

„Co do mnie, moi panowie! —

Mężny Gaskończyk odpowie —

Lubo każdego uwielbiam zasadę;

Ja do szaleństwa lubię rejteradę“.

(Nagrobek bakałarzowi.

Tu leży Baccalaureus.

Luceat ei Deus:

Uczył dzieci A, B, C.

Requiescat in pace.

Otwartość.

„Strzeż się miłości, dziecię ukochane! —

Mówiła matka o córkę troskliwa —

Miłość gadzina, ona jąd ukrywa,

Ona ci wieczną może zadać ranę.

Jakże postąpisz, gdyby cię spotkała

Gadzina zdradna i śmiała?“

„Matko! — zalekła rzecz —

Różia uciecze!“

„Lecz gdy dościgać będzie w pogoni?“

„Naówczas Antoś obroni“.

Napis na kieliszku bez nogi.

Odjęli mi ludzie nogę, chcąc dogodzić sobie;
Ja im lepiej dogodzę odbierając obie.

Na doktorów.

Był, mówią, łotr, co nie kradł, szewc, który nie pijał;
Lecz nie było doktora, coby nie zabijał.

Loika pijanego.

Kołysząc się koło ściany,
Wracał do domu pijany;
A dźwigając swą głowę, jakby jakie brzemię,
Runął na ziemię.
Idąca tamtędy rzesza,
Tym się widokiem rozśmiesza.
Znalazł się jednak człek pomiędzy niemi,
Co pijanego podniósł z ziemi.
„Byś drugi raz nie padał — z przestrogą mu rzecze —
Nie trzeba ci się więcej upijać człowiecze“.
„Oho! mam ja rozum w głowie,
Nie trzeba chodzić“ — pijak mu odpowie.

S. T. Kr.

Sowa.

Sowa w akademicznej zobaczywszy sali,
Że przy Minerwie miejsce jej dali:
„Bawi mię — rzecze — malarz tym obrazem,
Przy mnie jakąś Minerwę wymalował razem“.

Zuch.

Adama zowią tchórzem; to go tak oburza,
Że nie chce w świecie uchodzić za tchórza,
Tych, co za swoich nieprzyjaciół liczy,
Wzywa w pole i jako lew... ryczy.

Wanda 1822.

Z tą się ożenię.

Na wasze złe języki nie zważam wcale.
Wezmę sobie za żonę wdowę po Michale.
Wszak to świętej pamięci mąż jej, jak mówicie,
By się jej zbyć trucizną odjął sobie życie.
Jakżeż rzadkiej dobroci żoną być musiała.
Gdy męża na śmierć zagryźć sama nie umiała.

Tamże.

Dwie siostry.

Piękna jest głupią, a mądra szkaradną.
Jakiż z nich wybór ja dla siebie zrobię:
Gdybym był głuchy, wziąłbym sobie ładną.
Gdybym był ślepy, mądrą wziąłbym sobie.

Tamże.

Na dwie inne.

Panie! tego przycinku do siebie nie weźcie.
Żebym o was tak mówił zachowaj mię Boże,
Czyliż bowiem wy obie piękne nie jesteście?
A któraż z was, powiedzcie, mądrą zwać się może?

Tamże.

Wątpliwość.

Mówiłaś mi, żeś młoda i powiadasz znowu:
Może to prawda, lecz wyznam ci szczerze,
Że nie wiem teraz komu już uwierzę:
Czy twoim zmarszczkom, czy słowu.

Tamże.

Pies dobry.

Zły pies, przeto że dobry; dobry dla swej złości.
Być złym a oraz dobrym, są to psa własności.

Pamiętnik warszawski.

Wiara w strachy.

Słysząc, że nowa pani pobożna Agnieszka,
Chcąc chłopom wybić z głowy trwogę o upiorach,
Zamyśla dźwignąć zamek i osiąść w tych górach:
Wtedy ja uwierzę, że w zamku strach mieszka.

Bałamut petersburski.

Przyjaciółka kwiatów.

Brygida na cześć Flory przyrzekła do zgonu
Nosić na głowie kwiaty i zimą i latem.
Prawda, że nie wspólnego niema z żadnym kwiatem,
Lecz ręczę, że podobna bardzo do wazonu.

Tamże.

Wiek pasterski.

Pod laskiem w cieniu miłym dla pana i chłopca
Zszedłem dziś ze złotego wieku scenę błogą:
Emma, w stroju pasterskim, udawała srogą,
A przy niej, u nóg, leżał hrabia nakszałt skopa.

Tamże.

Świat orkiestrą.

Orkiestrą teraz świat cały:
Potwarce są klarynety,
Tłuste próżniaki cymbały.
Waltornie stare kobiety,
Jak bęben wrzeszczą dewotki,
Fircyk jak trelik na flecie,
Obój podobny do plotki.
A zaś trąb pełno na świecie.
Pan się puzaniem mianuje,
Kontrabas niby obluda.
Dworak altówką wtoruje,
A głupiec zwyczajnie duda.

To co innego.

Będę sam na sam z młodą Kleoną,
Wyrzekłem w czucia zapale;
„Już to rok trzeci przemija pono,
Jak przyjaźń nasza trwa stale;
Wiesz co, Kleosiu! na jej stwierdzenie
Daj mi... daj mi...” „Cóż takiego?”
„Proszę...” „Chcesz zbrodnią uwieńczyć płomienie?”
„Daj buzi”. „To co innego”.

Na nic przestroga bez przykładu.

„Kochany bracie! — Sylwia mówiła —
Zawszeż cię będę napróżno prosiła?
Przestań grać w karty: gra cię rujnuje”.
„Siostruniu! uwag twoich moc czuję;
Lecz żądam, abyś mi przykład dała,
Żądam, żebyś się kochać przestała”.
Wtem siostra przerwie: „Niema sposobu;
Z kartami, widzę, pójdziesz do grobu”.

Koniec miłostek.

Ziarnko do ziarnka, aż się miarka zrobi:
Tym obyczajem idzie i w miłości:
Zwolna kochanek kochankę sposobi,
Nim się przekona o jej wzajemności.
Naprzód się oko wyprawia na zwiady,
Które spotyka swawolne wejrzenie;
Dalej westchnienie, towarzysz do zdrady,
Dalej kryjome ręki uciśnienie;
Potem tysięczne krotofile, fraszki.
Żarty, chichotki, szeptania, igraszki;
Nareszcie miłość, a z miłości czasem
Ni to, ni owo trafi się nawiasem.

Na nagrobek.

(Który ułożyli trzej rymotwórcy).

Trzy głowy pracowały na te kilka słówek:
Trzy głowy to zrobiły, co mógłby półgłówek.

Wymówka zarzutu.

Pewny starzec napomina
Dnia jednego swego syna:
„Chceszli żyć spokojnie w świecie?
Strzeż się kobiet, lubę dziecię!“
Syn go słuchać obiecuje,
Za chwilę Kasię całuje.
Ojciec, to widząc, powiada:
„Toż sprawiła moja rada?
Mej nauki zapomina“.
A syn: „Wszakże to dziewczyna“.

Żal kobiety.

Umarł wierny Adonis, Fillidy kochanie,
Mówią, że i ta z żalów umiera niestety!
Śpieszę do niej, bym ulgę przyniósł srogiej ranie;
Znajduję śmiejącą się u swej toalety.
„Co widzę? — mówiłem jej — to dla mnie rzecz nowa;
Słyszałem, żeś w rozpacz, żeś śmiertelnie chora,
Żeś bez życia nadziei“. — Na co rzecz wdowa:
„Ach! Mospanie! czemużeś mnie nie widział wczora?“

Miło umrzeć za ojczyznę.

Mężny śmiertelną otrzymawszy bliznę:
„Słodko — rzekł — ledz za ojczyznę“.
Na to mu drugi, co z placu uchodzi:
„Dla ojczyzny żyć jest słodziej“.

N.

7*

Doktor.

To mi doktor, innym syp dukaty.
A ten przestaje na najmniejszej rzeczy;
I słusznie: za cóż wielkiej ma żądać zapłaty?
Kiedy Pan Bóg, nie on leczy?

Piękna edycja.

Dzieł swych wydanie zrobił pan Krzysztof wspaniale;
I prawda, znaczny na to wyłożył kapitał!
Lecz mniema, że wydatki już skończone całe;
Jeszczeż trzeba zapłacić, żeby je kto czytał.

Dobry mąż.

Ach Boże! między Żydów wpadłem, czy Tatarów,
Możnaż tak drzeć ze skóry, tak wymagać siła?
Za pogrzeb żony aż sto talarów!
Już wolałbym, żeby żyła.

Na lekarza.

Że Piotr lekarz uczony, nikt temu nie przeczy:
On zna wszystkie choroby, prócz tych, które leczy.

Nagrobek tanecznikowi.

Gdy płasa, skacze, hasa, wciąż holubca bije,
Trza mu spoezać — śnierzé rzekła — bo gwałtownie żyje.

Nagrobek sobie.

Nie byłem niczem, nawet dla lenistwa
Ani naukowego członkiem towarzystwa.

A...

Ucinek.

Ty myślisz, iż to owoc gruntownej nauki.
Dokładne i mistrzowskie wykonanie sztuki.
Tak chlubne recenzenta zjednało ci zdanie?
Nie to — nie, przyjacieln, — lecz smaczne śniadanie,

Rozmaitości lwowskie.

Nagrobek kucharzowi.

Tu kucharz leży, niechaj chwale jego cnoty.
Fraszka złotnik, jak dawał w potrawach pozłoty.

Tamże.

Na elegie Jana.

Na śmierć biednego Pawła Jan treny rymuje;
O Pawle! i po śmierci los cię prześladowe.

Tamże.

Lekarz.

Podczas gdy chory ratunku wzywał
I na niezuosne męczarnie się żalił,
Lekarz prawil o cudach, któremi się wslawił,
O tajemnicach, które poodkrywał;
Co może jego sztuka, doświadczenie, praca,
I wielu ludziom życie już ocalił...
Tak właśnie furman rozprawia
O wielkich drogach, które poodbywał,
I wtem... wywraca.

Pielgrzym lwowski.





ANTONI GÓRECKI¹⁾

(ur. 1787 † 1861).

I.

BAJKA

Osiół i malarz.

Nie pominę jaki malarz, lecz Wernet podobno
Malował osła z natury;
Stał sobie cicho osiołek ponury,
Lecz jak zobaczył swą postać nadobną,
Osobliwie długie uszy,
Strasznym się gniewem poruszy:
„Ach! to potrzeba mieć serce gadziny,
„Żeby bez żadnej przyczyny
„Tak kogo szpetnym malować przed światem;
„Rozumiesz, że nie znam się na tem?
„To są wyraźne paszkwile“.
A malarz na to: „Cierpliwości chwilę;

¹⁾ Na zakończenie epigramatów dajemy wiązkę ucinków Góreckiego, który w tym rodzaju, a jeszcze więcej jako bajkopisarz zajął pierwszorzędne stanowisko. Zasłużony jako żołnierz i obywatel zmarł na emigracyi.

„Satyra, Panie, nie jest mem rzemiosłem.
„Równie się z tobą paszkwilami brzydzę,
„Lecz czy ja winien, że ty jesteś osłem;
„Ja cię maluję takim, jakim widzę“.

Osiół bohater.

O jakiejś wielkiej bitwie była raz rozmowa,
Zaczął osiół chwalić siebie:
„Byłem — rzekł — byłem w tej strasznej potrzebie,
„Tam się to laurem okryła ma głowa.
„Koni zabrakło — jam ciągnął armaty,
„Z trzaskiem pękały granaty,
„Nieprzeliczone kul mnóstwo leżało,
„A ja naprzód szedłem śmiało.
„Ach! cóż to było w tej strasznej godzinie.
„Tu ranni jęczą, krew strumieniem płynie;
„Ja nie nie zważam!...“ Wtem ktoś powie z boku:
„Wiemy mężu, odwagęś miał niepospolitą.
„Na jedną stopę nie cofnąłeś kroku.
„Bo z tyłu kijem cię bito...“

Wrona miejska.

Raz miejska wrona, wpadłszy między wiejskie ptaki,
By dać poznać słuchaczom godności jest jakiej.
Poczęła rozpowiadać jak ona w Warszawie
Po wszystkich pierwszych domach codzienną lata prawie,
Jak po Saskim ogrodzie przechadzki używa,
Jak często pod Zamkowym dachem przesiadywa,
Jak nieraz w Wilanowie... Wtem kruk, eo tam siedział,
Znudzony tą rozmową tak do niej powiedział:
„Przestań, jakżeś z pochwały swemi naprzykrzona.
„Cóż stąd, że wszędzie bywasz, kiedyś zawsze wrona“.

Szpak i osioł.

Gdzieś na łące koło krzaka
Osioł, worami obciążony złota,
Licha chudota,
Paś się trawą blisko szpaka.

A trzeba wiedzieć, szpak to był nie lada!
Nie prosto wybiegł ze stada;
Uczony był trochę gadać,
Uniał nawet wiersze składać.

Więc powitawszy go według zwyczaju.
Spytał: „Z jakiego pan dobrodziej kraju?“
„Co? ja? — rzekł osioł — znają moje imię
„W Paryżu, w Niemczech i w Rzymie!“

„Tak, tak słyszałem — rzekł szpaczek z pokorą —
„Bywałeś wielkich ciężarów podporą“.

— „A wać kto jesteś? — przerwał mu ponuro —

„Z jakiego ojca, z jakiej idziesz matki?“

— „Ja chudy-pachoł: wyrwałem się z klatki.

„Bawię się teraz literaturą“.

„Bardzo wybornie! Nie jest złym naologiem

„Literatura. Lecz w jakim oddziale

„Waćpan celujesz, — pewnoś teologiem?“

— „W zawile rzeczy nie wdaję się wcale.

„Kiedy kto dobrze ojczyźnie mej służy,

„Wierszem go chwale“.

— „Bardzo wybornie! żyjże jak najdłużej!

„Ale zawczasu gotuj się z wierszykiem,

„Bo masz ten honor rozmawiać z chemikiem“.

— „Pan dobrodziej jest chemik? — szpaczek odpowiedział —

„Ach, daruj nieukowi, że tego nie wiedział.

- „Słyszałem o Śniadeckim, Woklenie, Szeptalu,
„O terazniejszym Dewę i o dawnym Stalu;
„Lecz pańskie dzieła pewno jeszcze w druku,
„Że nie robią w świecie huku“.
- „Co mówisz, moje dzieła! (tem się zafrasował)...
„Niechaj ci piszą, coś ich imiona wzmiankował;
„Znam ja owych kopistów i ich bazgraniny,
„Ledwo doszli, co znaczą kruszce i rośliny.
„Jak na wasze miłkie głowy
„Wynalazek dosyć nowy.
„Lecz my, co jednym spojrzeniem
„Wszystko widzimy i ocenimy,
„U nas to nic; a królko mówiąc ci, mospanie,
„Żebyś ja nie był w tym stanie,
„Żebyś tej nie miał fortuny na sobie.
„Jak chemię pisać pokazałbym tobie“.
- „Ach panie! — szpaczek figlarny odpowie —
„Robisz dla Polski krzywdę i dla świata.
„Dajesz próżnować tak ogromnej głowie
„Idąc już w lata.
„Głoś nam twe dzieła; jak tylko usłyszę.
„Na dwadzieścia pięć sylab zrobię tobie wiersze;
„Bo też to będą cuda w świecie pierwsze,
„Że osioł chemię napisze“.

Ostatnia bajka.

- Krucy kradli, lis w polach, wilk obdzierał w kniejach,
A słowik im powiadał bajki o złodziejach.
„A ty łotrze! — krzyknęli — wiesz co to mocniejszy?
„Kiedy oni źle robią, winni milczeć mniejsi!“
„Nie będę już, nie będę, któż się mógł spodziewać,
„Że takich wielkich panów będą bajki gniewać“.
-

II.

FRASZKI II EPIGRAMATA

Kurjer przejęty.

Do potomności Jan w darze
Wysłał swą odę, lecz ją wśród drogi
Przejęli wczoraj piekarze,
I zabrali pod pierogi.

Na krytyków.

Niech jeszcze dobre niebo tem Polskę obdarzy,
By miała mniej krytyków, a więcej pisarzy:
Bo z naszym gospodarstwem podobieństwo mają:
Jeszcze drzewa nie wzrosły, a już wycinają.

Powiem coś państwu.

Powiem coś państwu, tylko nie rozniescie.
Wczoraj przez nasze Krakowskie Przedmieście
Bogini jakaś cała wystrojona
Szła zakwefiona.
Młodzież ciekawa cisnęła się tłokiem.
Ona wąziutkim uciekała krokiem.
A jam nie gonił, bom nie w ciemię bity:
Znam ja kobiety!
Wiem co z niemi bywa:
Gdy która ładna, twarzy nie zakrywa.

Do złodziejów.

Przez bojaźń szubienicy, moi przyjaciele!
Albo nie nie kradnijcie, albo bardzo wiele.

Prośba.

Bóg, co widzi ludzkie biedy,
Żeby zapytał mię kiedy,
Co ty żądasz w swoim stanie?
Odpowiedziałbym Mu: Panie!
Wybaw od łaski lekarzów,
Od rachunków aptekarzów,
Niewzajemnego kochania,
Głodu, niewoli i rymowania.

Różnica między psami.

Miedzy psami, a psami jest wielka różnica,
Choć złośliwy, wart chleba ten, co trzody strzeże;
Lecz tych powinna dawno zabrać szubienica,
Co po pańskich pałacach zlizują talerze.

O panu Janie.

Pan Jan zaczyna swych wierszy czytanie.
Dajmyż mu z góry oklaski;
Bo potem nie będziemy w stanie,
Gdy zaśniemy z jego łaski.

O lichwiarzu.

„Chwała Bogu — lud mówił — i ten się nawrócił“,
Widząc, że lichwiarz wchodzi do kościoła;
Ale on zaraz wyszedł, okiem tylko rzucił,
Czyli tam wierzycieli swych znaleźć nie zdoła.

Wet za wet.

Kiedy Lucyna była w wieku wiośnie,
Od Kupidyna stroiła zdaleka;
Teraz już podstarzawszy, spogląda miłośnie,
Lecz chłopiec... od niej ucieka.

Sposób robienia przyjaciół.

Jak łatwy sposób przyjaciół robienia!
Nasza Lucyna, gdy kochanka zmienia.
Mówi ze Izami: „W tej dobie
Niech nas połączy już przyjaźni siła”.
I takim sposobem
Czterdziestu pięciu przyjaciół zrobiła.

Prenumerata na Wallenroda.

(1827).

Rzekł pewien bogacz: „Jak drodzy jesteście!
„Dać dukacika za małą książeczkę!”
„Ach, zacny panie, ja dam tobie dwieście,
„Napisz jak Adam choć jedną karteczkę”.

Dowcip nie poezya.

Że dowcip nie poezya, gotów się jest klócić
Pan Ignacy, — a mnie się to dziwnem nie zdaje;
Bo on chce wszystko z poezyi wyrzucić,
Czego jemu nie dostaje.

Władza kobiet.

Znaliście podstolego? W tym wieku zepsutym
Pięknie mu było w pasie i w kontuszu sutym.
Teraz go już na dyabła wystrychnęła żona:
Ma rogi, strój niemiecki, brak tylko ogona.

Nowy hrabia.

A to kto? Nowy hrabia. — Był szlachcic jak drudzy,
Lecz kazał, by go hrabią zwali jego słudzy;
I słusznie, trudno dzisiaj złapać mitrę w boju.
Bezpieczniej się ogłosić hrabią w przedpokoju.

Gaduła.

Gaduła, wyczerpawszy wiadomości swoje,
Miał nareszcie uczonym to pytanie zadać:
„Na co Bóg jedną gębę, a uszu dał dwoje?“
Na to rzekli: „By więcej słuchać, niżli gadać“.

Kradzież literacka.

Ktoś z Rassyna, z Woltera co rok wiersze kradnie
I za swe własne sprzedaje w stolicy;
Wszystko to jednak uchodzi mu składnie,
Bo cóż mu mają mówić nieboszczycy.

Doktor kupił folwark.

Jan, doktor, kupił ziemię. To słusznie mospanie,
Bo już innego nie było sposobu;
Bo wkrótce na cmentarzach i miejsca nie stanie
Dla tych, co on ich codzien posyła do grobu.

Bankiet.

(Paryż, 1849).

Mędrzec mówił: „Gdy człowiek na ten świat się rodzi,
Jest to gość zaproszony, co na bankiet wchodzi“.
Ktoś na to: „Gdy to bankiet, dziwnie urządzono:
W środku deser, przy końcu i pieprzno i słono“.

Wieśniak.

Wieśniak, gawroniąc po mieście,
Spostrzegł nareszcie
I wrzasnął: „Patrzcie, na wierzchu pałaca,
„Gdzie wiatr powieje, chorągiew się zwraca“.
„Czego ty wrzeszczysz? — fuknęły dworzany —
„Tu mieszkają wielkie pany“.

Z jakiej przyczyny.

Czego szatan przez Ewę dał frukt zakazany?
Bo Adam wziął bez sprzeczki z rąk żony kochanej.
A gdyby propozycja od męża nastąpiła,
Tohy żona przez upór przyjąć jej nie chciała.

Wymówka.

Choćbyś mnie pani obsypała złotem,
Nie nie napiszę, nie w twym imienniku;
Boś pani ładna, wszyscy wiedzą o tem,
A ja żonaty... Co to będzie krzyku!
Wiem pani, że świat źle mówić gotowy,
Różne się z tego utworzą napaście,
Więc to odłożmy na lat kilkanaście,
Żeby uniknąć obinowy.
Mniej pani wdzięki będą niebezpieczne,
Wtenczas wierszyki napiszę ci grzeczne.

Rada przyjacielska.

„Ach! mój dobry Jakóbie, mój stary sąsiedzie!
„Nie dość było klęsk wojny, w nowej jestem biedzie;
„Wszak to ta moja córka, ta kochana Zosia.
„Wynalazła tam w mieście jakiegoś Antosia,
„I tak się uwiązała, tak chłopaka kocha —
„Że dnie, noce nie sypia, dnie i noce szlocha.
„A ten hultaj, jak tylko poznał te amory,
„To już przy niej przepędza ranki i wieczory.
„Co ja tu biedny pocznę — nie chcę córki smucić.
„Lecz naucz, jak od domu tę plagę odwrócić“. —
Tak stary Maciej z płaczem radził się sąsiada. —
Ten mu na to: „Nie płaczcie, bo prędką w tem rada:
„Gdy chcesz z domu wyprawić miłość nieżądaną.
„Pożeń ich, a niedługo kochać się przestaną“.

Okropna przygoda.

Ktoś miał niedawno okropną przygodę,
Zaczął się drapać na Parnas skalisty.
Niosąc Febowi w darze swoją odę,
Bajki i listy.

Ale, o losie zbyt srogi,
Jeszcze nie uszedł pół drogi,
Już musiał wracać do domu.
Bo ci, u których nabrał pokryjomu
I zrobił tkaninę małą.
Autorów zbiegły się roje;
Jak poczał każdy z nich odbierać swoje,
Nie mu w ręku nie zostało.

O doktorze.

„Lecą doktorskie konie“ — słychać pisk woźnicy:
Ja się kłaniam, lecz ktoś tam fuknął na ulicy:
„Jak to można tak latać, cóż on ma na względzie!
„A gdy kogo roztrąci?“ — „Pacjent mu przybędzie“.

Rada.

Nie ciśnij tak dłużnika, jabym tobie zyczyl,
Bo zapłaci, poprosi o kartki oddanie;
I tak wielkiego dziwu śladu nie zostanie,
Żeś ty, panie, raz w życiu pieniędzy pożyczył.

Krytyk.

„Aby jaki talencik krzyczą: geniusz nowy!“
Tak raz krytyk o szlachcie litewskiej powiada.
Wtem mu zrobił uwagę świadek tej rozmowy:
„Jednakże o waćpanu nie szlachta nie gada“.

Do poetów nierymowych.

Wy! co Polskę dziwicie wierszem nierymowym,
Próżno zawiść powstaje przeciw rzeczom nowym;
Prawo z wami, — wyraźnie mówi statut Feba:
„Gdzie sensu niema i rymów nie trzeba“.

Żartuj zdrów.

Pewien jegomość ma w żartach zabawę:
Wszędzie gdzie może drukuje i gada,
Że ja wierszami odbieram mu sławę!
Mogęż mu to odbierać, czego nie posiada?



KONSTANTY MAJERANOWSKI¹⁾

(† 1841).

I.

Z opery: WESELE NA POCIESZCE.

WOJCIECHOWA

*(dobrze podchmielona wychodzi z karczmy, śpiewając, tańcząc i popijając.
W jednej ręce trzyma flaszkę z wódką, w drugiej kieliszek).*

Niech żyje Pocieska,

Ślicna karcemecka!

Niech żyje wódecka,

Póki starcy mieska.

Zyj Pociesko i Rozrywko! ²⁾

Wiwat pacakowskie piwko! ³⁾

Niech się wino schowa

I w ocet przemieni,

Gdy się anyskowa

W kielisecku pieni.

W niej pociechy i nadzieje,

Aż się do niej serce śmieje.

Schodźcie się tu chłopki,

Schodźcie się dziwecki;

¹⁾ M. był swego czasu jednym z najpopularniejszych i najczynniejszych autorów w Krakowie. Wydawał kilka pism literackich, napisał kilkanaście utworów dramatycznych i „oper“.

²⁾ Nowa karczma tego nazwiska na Czerwonym Prądniku. *Przyp. autora.* Nb. „Pocieszka“ do dziś dnia się dochowała. K. B.

³⁾ Sławne piwo krakowskie Pacaka.

Jak zbierzecie snopki.

Dalej do wódecki!

W niej oscędnym dziedzie wioski

Niech zatapia swoje troski.

Przy pomocy nieba

I uprawie roli

Nie braknie nam chleba,

Drwijmy więc z niedoli.

Bo jak sobie ciek podłumieli,

To się i w biedziej weseli.

Oj, co wódka to wódka, jak łza w oku cysta!

(Popija i smakuje).

Przedziwna, perefitna ¹⁾, smacna i ognista.

(Napuszywszy się, chodzi po scenie).

Albo mie nie stać na to, albowem nie pani?

Cy mnie to mąż, cy dzieci? — Wsycy pochowani.

Niech w Bogu odpoczywa Wojcieszko moje,

Kochaliśmy się z sobą serdecnie oboje.

Prawda, że będąc młodą, byłam nadto zwawą,

Niejedną łzę biednemu wycisnęłam krwawą:

(Wzdycha żałosnie).

Przebacał — bo mnie kochał — oj! kochał mnie scerze!

(Płucze, coraz bardziej pijana).

A ja, zapominając o małżeńskiej wierze,

(Rozplakawszy się mocno).

Przyprawiałam mu k o z ł y — jakby jeleniowi...

(Ociera oczy i pije wódkę).

Ale co już minęło, o tem się nie mówi.

Grzesyłam, Panie odpuść, i bardzom grzesyła.

Ta mi jednak pociecha zostaje dziś miła:

¹⁾ Wyrazy, odmiennym drukiem umieszczone, są w używaniu u ludu krakowskiego. *Przyp. autora.*

Ze w pięćdziesiątym roku, jakby uciał nozem,
Stałam się najwierniejszą przykazaniom bożem.
W ostatnich czterech leciech które strawił ze mną,
Byłam jak przepióreczka wierną i wzajemną
Zyliśma w świętej zgodzie i czystej miłości.
Ale zły duch, jak mówią, ciekowi zazdrości.

(Pije znów).

Stało się — chociaś jestem cerstwą i okrągłą
I casami do sta dła mam chęć niepowściąglą,
Nie pójdę więcej za mąż — gdyby mi był złoty,
Nie namówi mnie żaden do takiej sromoty.

(Oglądając się dokoła).

To, cem mnie Bóg opatrzył dzisiejszego ranka,
Jezeli z nieba spadło — lepsze od kochanka.

(Namysławiając się).

Cóż byłoby dziwnego? wsak pono nie błędę,
Ze się nieraz pod ziemią paliły pieniądze;
Scęście może tą razą dla mnie jest łaskawem.
Jus też i weselisko zacznie się niebawem;
Zawcasu sobie nóżki do tańca nastroję.
Ale, otóż teściowie nadechodzą oboje.

(Wchodzi KUNEGUNDA i BOCHEN oboje także podpici).

KUNEGUNDA.

Patrzema i patrzema, gdzie pani kumoska?

WOJCIECHOWA.

Tak na wolne powietrze wysłam sobie troska.

BOCHEN.

Z kieliseckiem, jak widzę?

KUNEGUNDA.

Wsak też to wesele.

WOJCIECHOWA.

Chyńęłam odrubeckę — bo nie lubię wiele...

KUNEGUNDA.

O, i my nie lubiemy.

BOCHEN.

Gdzie tam człowiek zdoła

Przy dobrej kompanii, kiedy jest wesoła,
Gdy sobie gawieź młoda podryguje w tany,
Siedzieć cicho za stołem, gdyby malowany?
Bez śrubeczki to ciężko — i w raju się znudzi.

WOJCIECHOWA.

Przecież ludzie, jak mówią, żyjemy dla ludzi,
A gdy nam Bóg dał na to...

KUNEGUNDA.

Kunia gracko myśli,
Pocósbyśmy innego do karcemki przysli?

BOCHEN.

Prawda, niema co gwarzyć — przyznaję Waszeci;
Jakoś tu nawet słonko migotliwiej świeci.

WOJCIECHOWA (*potoczywszy się nieco*).

Byle nie pić nad miarę...

KUNEGUNDA (*utykując na Wojciechowej*).

A niechże Bóg broni.

WOJCIECHOWA.

Cóż tam tak długo w mieście robi was Antoni?

KUNEGUNDA.

Powinienby już wrócić.

BOCHEN.

I ja tes tak sędzę.

WOJCIECHOWA.

Powiedział, że tam idzie po jakieś pieniądze?

BOCHEN.

Prawda, służył pocziwie, nie brał pono myta,
I teraz mu przypadnie sumka należyta;
Będzie miał na dorobek ślicną zapomogę.

WOJCIECHOWA.

I że go zaś nie widno?

KUNEGUNDA.

Wymartwi niebogę.
Dziewecynie się cni bardzo...

BOCHEN.

Nasiesy się jesce.

(Wchodzi ZOSIA).

ZOSIA *(wychodząc z karczmy zagniewana).*

Az mnie już zimne mrówki przechodzą i dresce.
Tyle casu tam siedzi! Cekaj poganinie,
Tylko mi przyjdiesz, to cię sturkanieć nie minie.
I niemas go i niemas!...

BOCHEN.

Bądzze no cierpliwa.

WOJCIECHOWA.

Kazda samicka swego z utęsknieniem wzywa.

(Śpiewają:)

WOJCIECHOWA.

Turkawecka do gniazdecka
Samcyka zwołuje,
I dziewecka parobecka
Chciwie oczekuje.

Miłość scera i ognista
Tęsknotą usycha;
Z każdej chwili rad korzysta
Ten, kto za nią wdycha.

KUNEGUNDA.

Nie tacy to dziś młodziani,
Jak dawniej bywali;
Kiedy widzą ze kochani,
To są ociężali!
Niegdy nalegał pan młody
O spiesne wesele;
Dziś go trzeba wlec na gody
Kieby na targ ciele.

ZOSIA.

Zerwać kwiatek, serce zmienić
Toby wszysej radzi;
Ale jak się przyjdzie zenić,
Mucha im zawadzi.
Oj niech Antek lba nie susy
Zbyt wczesną nadzieją;
Bo tak dostanie za usy,
Ze mu posinieją.

BOCHEN.

Gdybyć wszystkie tak myślały,
Byłaby rzec święta;
Ale dzisiaj duch niestały
Popsuł i dziewczęta.
Póki panna — gdyby jagnie,
Gdyby trusia jaka;
A po ślubie każda pragnie
Świzego chłopaka.

(Słychać muzykę wiejską w karczmie).

.

II.

Z tejże „Opery“.

SPIEWKA BIEDOSZA.

Niejedni dziś autorowie,
Chcąc o sobie zrobić huk,
Byle co usmażą w głowie
I natychmiast w druk.

Młodzik pozna groch w jęczmieniu.
Zaraz myśli, że jest Kluk;
Pisze plotki, w urojeniu,
Że to godne w druk.

Żak jest pierwszy raz w parterze.
Chce być sędzią gry i sztuk:
Postać k r y t y k a przybierze.
I trzy po trzy w druk.

Pieczeniarz chudy, zgłodniały.
Co po mieście tłucze bruk.
Powie k o n c e p t wypłowiły
I chce podać w druk.

Metafizyk pełen dumy,
Hardy i uparty mruk,
W myśli, że pojadł rozumy.
Pali głupstwa w druk.

Słowem, przy płaskim rozumie
Chce być orłem lada kruk;
Drugi ledwie pacierz umie,
Już go wsławia... druk.

III.

SĄD W PACANOWIE.

POWIEŚĆ.

Już nam to weszło w przysłowie;
Że raz w mieście Pacanowie,
Gdzie nie bez sromotnej zgrozy
Jeszcze dotąd kuja kozy,
Miano powiesić ślusarza.
A że jak się często zdarza,
Słabszego mocniejszy zwała —
Więc powieszono kowala.

Skąd taki wyrok nieprawdy?...
Každy, wiem, nie bez obawy
Zdarzenie to przypomina;
Musi być jakaś przyczyna —
Niejeden sobie uważa,
Bo kowala za ślusarza
Karać, jeszcze szubienicą,
Niech się z tem dzieje nie szczycą
Sławetnej pamięci miasta;
To jest zgroza, na tem basta.

Nie basta, moi panowie;
Co się stało w Pacanowie,
To się dzieje w całym świecie;
Jeżeli mi więc zechcecie
Dać posłuchanie łaskawe,
Opowiem wam całą sprawę.

Mniej więcej przed sześćset laty,
Bo nie mogę wiedzieć daty
Z dziejopisa mego księgi.
Co sam pewnie dla miłreği

Nie chciał nad tem łunać głowy.

Stał się przypadek takowy:

W czwartą po Świątkach niedzielę

Wpadło nieuważne cielę

Do ogrodu burmistrzowi;

Nie jak wieść fałszywa mówi,

Żeby na ten czyn nieśmiała

Koza odważyć się miała.

Sam pan burmistrz na tej szkodzie

Zastawszy cielę w ogrodzie,

Wezwał na świadectwo żonę:

„Jako wszystko potłuczone.

Że nawet rozmaryn, rutę,

Cielę chociaż nie podkute,

Co nie zjadło, podeptało ...“

A więc tę szkodę niemałą

Ogłosił po całym mieście,

Wartającą złotych dwieście.

Że ciele było ślusarza,

Zatem do niego utwarza

Prawo o wynagrodzenie

I to w podwojonej cenie.

Z przyczyn: że ślusarz bogaty,

Jak wieść niesła, miał dukaty...

Co nie były żadne baśnie.

Lecz przypadek zdarzył właśnie,

Że o tej samej godzinie

I przy takim samym czynie

Ślusarz złapał także krowę

I trzy kozy burmistrzowe

Na swojej prawej własności...

Stąd nawzajem sobie rości,

Nie naruszając sumienia.

Trzysta złotych uszkodzenia.

Kłótnia okropna powstała.
Pan majster sztuka zuchwała.
Zająwszy bydło ze szkody.
Układa słowne wywody
Nawzajem ze swojej strony.
W których czyn był dowiedziony.
Że to ów był wiek szczęśliwy.
Gdzie nie były żadne dziwy,
Iż między tysiącem osób
Rzadko jedna знаła sposób
Mieszczenia słów na papierze:
Więc pan majster świadków bierze
Na obradę do szynkowni;
Tam ludzie w zdaniach gruntowni,
Mianowicie pan Ignacy.
Sławny kowal z swojej pracy.
Człowiek niezmiernej wymowy.
Wszystko przyświadczać gotowy
Za szklankę miodu lub wódki.
Zapowiada bez ogródki
Całej zgromadzonej radzie.
Iż w tak zbyt zaciętej zwadzie.
Do wynagrodzenia obu,
Nie zna innego sposobu,
Nad jeden tylko takowy:
Ażeby pan burmistrz krowy
I trzech kóz zrzekł się własności,
A że sobie wzajem rości
Do wynagrodzenia wiele,
Ma otrzymać za to ciele.
Wszyscy przyjęli to zdanie,
Nawet ślusarz przystał na nie.
Gdy tak się kończy obrada,
Burmistrz do szynkowni wpada

Z miejskim sługą uzbrojony;
I nie wdając się w androny,
Zaledwie ślusarza zoczył,
Pędem do niego przyskoczył.
„A tu ś!...” — krzyknie na głos cały.
Wtem w pałkę twardszą od skały,
Jak go wytnie całą siłą,
Aż mu się z niej zakurzyło.
Lecz ten pewny bitwy losu
Nie czekał drugiego ciosu:
Wściekłym się gniewem zapala,
I wyrwawszy z rąk kowala
Pełną szklanicę medery,
Której mu przyjaciel szczery
Z żalem ustępował serca,
Wymierza srogi morderca
Prosto burmistrzowi w pałę;
Ale tu szczęście niestałe
Biednego sługę nawija,
Srogi cios tyrana mija
I trafia biedaka w ciemię,
Że wraz upadłszy na ziemię,
Ręką ruszył, nogą kiwnął
I ducha w niebo wyziéwnął.

Tu wszystkim ręce opadły,
Zdumiał się ślusarz zajadły,
Pan burmistrz został jak wryty,
Wszysej krzyknęli: „Za bity!...”
Kowala tylko zasmucił
Miodek, że mu się nie wrócił;
Ani pomyślał tej chwili,
Że za to, iż się pobili
Pan burmistrz z swym przeciwnikiem,
On miał zostać męczennikiem.

Jakoż na tym kończąc zwadę,
Pan burmistrz zwołuje radę,
A nim osądzą tę zgrozę,
Mężny ślusarz idzie w kozę.

Wiemy to już z dawnych dziejów,
Że wśród licznych przywilejów,
Jakie dla wzrostu i chwały
Nasze miasta posiadały.
Było także prawo miecza,
Co od zbrodni ubezpiecza.

Schodzą się przeto sędziowie
W naszym mieście Pacanowie,
Burmistrz zasiada na czele;
Choć w tej sprawie był o ciele
Stroną interesowaną.
Ale na to nie zważano;
Gdyż tu sędyk wniósł otwarcie,
Że niemasz na żadnej karcie
Do końca praw od początku
W takim zdarzeniu wyjątku.
Z rajców nikt nie umiał czytać,
Aby się o dowód pytać.

Przystąpiono więc do sprawy,
Ławnicy zasiedli ławy.
Pan sędyk w czarnej oponczy
Całe grono sędziów kończy;
A że sam czyn udowadnia,
Iż widoczni była zbrodnia,
Zatem dla pośpiechu dzieła
Cała rada przedsięwzięła
Nie wchodzić w żadne badania.
Lecz zacząć od kreskowania.
Tak bez dalszych ceregieli
Wszyscy sędziowie krzyknęli:

„Ślusarz godzien szubienicy...”

Wtem słyhać gwar na ulicy,
Mocny odgłos powstał wszędzie,
Że ślusarz wisieć nie będzie:
„Kogo chcecie to powieście,
On sam jeden w całym mieście,
Niemasz drugiego tak blisko”.
A że dobre burmistrzysko
Za swoją w ogrodzie szkodę
Już miał w kieszeni nagrodę,
Którą ślusarza obawa,
By nie paść ofiarą prawa,
W ważnem obrączkowym złocie
Podsunęła mu w istocie;
W nim pierwszym zaraz mieszczanie
Wzbudzili umiarkowanie.

„Stójcie — zawoła — sędziowie,
„Kto inny nam tu odpowie,
„*For populi, est vox Dei,*
„Zaczniemy z nowej kolei”.

Ten burmistrza czyn wspaniałą
W zdumienie wprawia sąd cały.
„Mamy w mieście dwóch kowali —
Odezwie się burmistrz dalej —
„Że zaś w czasie owej zwady
„Pomiędzy nami sąsiady
„Kował trzymał szklankę z miodem,
„A stąd jasnym jest dowodem,
„Że tę szklankę uchwyciwszy
„Ślusarz, człowiek najpoczeiwszy,
„Popelnil zabójstwa zbrodnie,
„Co przekonywa dowodnie,
„Iż tu rzecz się ma inaczej,
„Niech zatem światły sąd raczy

„Zmienić wyrok na ślusarza“.

„Samo go prawo umarza —

Przyda pan sędzyk z swej strony —

„Bo ten występpek spełniony

„Istotnie jest przez kowala;

„Więc jego wieszać pozwala,

„Tem bardziej — krzyknie nareście —

„Ponieważ ich dwóch jest w mieście.

„Nie zgrzeszymy nic w tym względzie,

„Że jeden z nich wisieć będzie“.

Na tak prawne przełożenia

Sąd natychmiast wyrok zmienia

I wydaje go w tej treści:

„Ponieważ się u nas mieści

Jeden ślusarz, dwóch kowali,

Zatem wszyscyśmy uznali

Jednomyślnie, jednozgodnie,

Aby za zabójstwa zbrodnię,

W mieście naszym popełnioną,

Jednego z nich powieszono!

Że zaś sąd rozpoznał z prawa,

Że ta cała zbrodnia krwawa

Na Ignacego kowala

Najsprawiedliwiej się zwała;

Który z tą tylko różnicą,

Że nie swą własną prawicą.

Lecz co tem bardziej obraża,

Przez pocziwego ślusarza

Alias przez ręce cudze,

Zadał śmierć miejskiemu słudze.

Przeto sąd wyrok uczynił:

Aby cierpiał jak zawinił:

To jest bez żadnej obrony

Ma być zaraz powieszony...“

Jakoż w tej samej godzinie
Kował za ślusarza ginie
W boleściach na szubienicy.
Odtąd wszyscy rzemieślnicy,
Łatwo się domyślić czemu,
Mieszkali tam po jednemu.

Tak to dawni osądzali,
Że za ślusarzów kowali
Spotykał wyrok surowy.
Na utratę czci i głowy.
Poległo takich niemało.
Komu źle z oczu patrzyło
Tem samem godny był kary!...
Mówią, że ten zwyczaj stary
Już teraz jest zarzucony...
Karzą i dziś bez obrony!...
Chociaż z oświeceniowym wiekiem
Zawsze człowiek jest człowiekiem. —
Są i dziś tacy sędziowie,
Co sądzą jak w Pacanowie!...



UTWORY NIEZNANYCH AUTORÓW

wyjęte z czasopism 1820—1848 r.



Napis na godle rymarza.

Z Opatrzności boskiej dorwałem się chaty.
Za pomierną cenę można dostać baty.

Śmieszek ¹⁾.

Perswazyja.

Ej dziewczę, posłuchaj,
Czas byś rozum miała,
Chodźże tu, buzi daj,
Czas byś całowała.

Niedługo, króciutko,
Dziewczęta jak kwiecie
Po wiosnie przedziutko
Więdną często w lecie.

Teraz tve rączęta.
Jak aksamit gładkie;
Teraz tve oczęta,
Jak dwie gwiazdy rzadkie.

Na brodzie dołeczek,
Gdy usta w uśmiechu;
Niżej pagóreczek,
Pokusa do grzechu.

Okrągłe piersięta.
Kieby utoczone,
I lotne nożęta,
Kieby uskrzydłone.

Ale wszystkie wdzięki
Pójdą rychło w psotę.
Daj buzi, nie ręki,
Póki mam ochotę.

Masz żebraków zgrają.
Później żebrać trzeba;
Kto może, nie daje.
Niech się lęka nieba.

Ej dziewczę, posłuchaj,
Czas byś rozum miała,
Chodź tu, buzi daj,
Czas byś całowała.

Tamże.

¹⁾ „Śmieszek” wydawany był we Lwowie przez Jul. Al. Kamińskiego (1834).

Improwizacya.

A ponieważ iż Pan Bóg stworzył mysz, kozła i barana i Jaśnie Wielmożnego Pana! I Ten, który, jak szewe skóry, porozwieszał po powietrzu chmury, dał psu ogon, rogi krowie, niech i Jaśnie Panu da najdłuższe zdrowie!

Tamże.

Toaleta starej wdowy.

Gdy przyszło się rozbierać, pani włosy zdjęła,
Potem oko po oku i zęby odjęła;
Dalej piersi i biodro, po biodrze łopatkę.
I to wszystko gdy sobie układała w szufladkę.
Nowo przyjęta panna za głowę ją chwytła;
„Co czynisz waryatko?“ — z gniewem ją zapyta.
„Nie wiem sama — odpowie — ja tylko próbuję.
„Czy się pani i głowa na noc nie zdejmuję“.

Tamże.

Podzielone zdania.

Cztery młode kobiety z żywością tak rozmawiały o małżeństwie:

— Czegóż trzeba? — spytała się jedna — ażeby mąż był zawsze dobrym?

— Pieniędzy, pieniędzy i jeszcze pieniędzy.

— Miłości, miłości i jeszcze miłości — rzekła druga.

— Młodości, zawsze świeżej młodości, nieśmiertelnej młodości — zawołała trzecia.

— A mnie się zdaje — rzekła czwarta — że trzeba cierpliwości, cierpliwości i nieustannej cierpliwości.

Tamże.

Testament pijanicy.

Gdyby mnie pijaństwa siła z tego świata wypędziła,
Niech mnie w próżną beczkę włożą i taki napis położą:

„Tu leży, co całe życie na śmierć się sposobił,
Gdyż sobie sam trumnę zrobił“.

Tamże.

Za zdrowie całej kompanii.

Pan Wawrzyniec, aptekarz, człowiek starej daty.
Będąc raz na weselu, pił duszkiem wiwaty.
Po czterdziestu kielichach do szczętu spełnionych,
Kolej od państwa młodych doszła nieproszonych;
Wreszcie gospodarz, mając jak należy w głowie.
Krzyknie: „Teraz za całej kompanii zdrowie!”
„Hola! — rzecze Wawrzyniec — to jawna ochyda:
„A na cóż wtedy moja apteka się przyda?”

Tamże.

Wolność mężatkom.

Jeremiasz Niewieściński na Świągotowie i Plotkowicach etc. etc. pan dziedziczny, mążatek najwyższy opiekun, wiadomo czynię komu by wiedzieć należało, a zwłaszcza ludziom żonatym, iż stanąwszy wiele mążatek przed sądem moim, przełożyły płacziwą skargę na niebacznych mężów, że sobie przywłaszczają nad niemi zwierzchność i tak się im nieznośnie naprzykrzają, że już tej opresyi i ciężarów dłużej znosić nie mogą. Zaczynam uważając słuszność sprawy i wysłuchawszy zażaleń utrapionych nieboraczek, rozkazuję wszystkim małżonkom (tą władzą, jaką mam), aby niżej opisane artykuły nienaruszenie i statecznie zachowywali.

1^o Wolno im z pośrodka siebie urzędników dla dobrego rządu w miastach obierać.

2^o Panu małżonkowi urzędnikowi nie wolno będzie wychodzić do urzędu aż po opowiedzeniu swojej pani, jakie sprawy tego dnia mają być sądzone, ażeby mu żona rozkazała w której sprawie ma wotować.

3^o Każdy mąż ma swojej pani małżonce podlegać i posłusznym być tak, żeby mu i z domu nie wolno wychodzić, chyba za jej wiadomością i pozwoleniem, i to żeby jej powiedział, dokądby chciał iść i jakby się długo miał zabawić.

4^o Gdy się pani zapragnie w towarzystwie gdziekolwiek

zabawić, nie powinna się będzie sprawować, dokąd i po co szła, chyba, żeby sama dobrowolnie z łaski swej powiedzieć raczyła, o której godzinie po nią mąż z latarnią posłać, lub też sam przyjść miał, a to dla pozyskania sobie tem większej łaski u jejmości.

5^o Żaden mąż niech się nie waży budzić panią małżonkę przed ósmą lub dziewiątą godziną, ale pod zasłoną od inuch i słońca, żeby tak długo spokojnie spała, ażby się sama ocknęła.

6^o Rząd nad sługami domowemi do pani małżonki wyłącznie ma należeć.

7^o Powinien mąż panią małżonkę przy ludziach jak najmocniej szanować, podchlebiać i dudkować, żeby każdy wiedział, że wszelka zwierzchność i rządy domowe są przy Jejmości, a nie przy Jegomości.

8^o Żonom będzie wolno stroić się według ich myśli i tak kosztownie i świetnie, jak im się podoba, aby się z majętniejszemi siostrzyczkami porównały i wszystkim podobały. Małżonków to bowiem szczęście i ozdoba, gdy się żony wielu podobają.

9^o Gdy się pani małżonka z mężem pogniewa i długi czas z sobą nie mówią, chociażby to trwać miało tydzień, dwa, trzy, a nawet i cztery tygodnie, tedy mąż powinien z przymileniem, pochlebstwami i nadszukiwaniem pierwszej do niej przemówić, aby w piątym tygodniu po tak długim milczeniu mówić nie zapomniiała.

10^o Mąż tego niech najpilniej przestrzega, aby pani małżonki najmniejszą bagatelą nie zasmucał, aby się nie rozgniewała i spazmów lub tym podobnych słabości nie dostała.

Pomijam resztę zażaleń, jakie do uszu naszych doszły, zostawując staraniu panów małżonków, aby się poprawić i dla zachowania domowego pokoju ściśle do życzeń i woli swoich małżonek stosować chcieli. A jeżeliby który przeciwko któremukolwiek z przytoczonych tu artykułów śmiał wykroczyć,

ma być na miękkiej pierzynie lisim ogonem od wszystkich mężatek i siostrzyczek bez miłosierdzia bity. Co ściśle w całym znaczeniu tego słowa zachowane mieć chcemy i nakazujemy.

Dan na rozkazanie urzędu mego w zamku Babiaryn. Dnia nie wiem którego i miesiąca. Roku. kiedy się żony o zwierzchność nad małżonkami starać poczęły.

Poczem kobiety następny wydały

P R O C E S.

My, najwyższe senatorki z pospolitej rady wybrane, gubernatorki ludu pospolitego, najwyższe rządczynie etc. etc., wszystkim nam miłym towarzyszkom jakiejkolwiek kondycyi, tak ubogim jako i bogatym niezamierzonego zdrowia, nieskończonego wesela, zwycięstwa nad mężami we dnie i w nocy, nieodniennych pociech nienaruszania urody i innych szczęśliwości fortunnych i powodzenia życzymy. Za uchwałą naszą społeczną wam wszystkim konwokacją pilną i potrzebną ogłaszamy, do której konwokacyi i zjazdu zapraszamy i rozkazujemy, abyście w tem okazały ochotę i miłość zobopólną, i do miasta Płotkowic stawily się osobami swemi, w ubiorach świetnych, jak tylko być może, również piękniemi ekwipażami, żebyśmy się zawsze piękniej i misterniej jak mężczyźni pokazać mogli. Z taką tą wyprawą żebyście Wmości raczyły przyjechać bez omieszkania, aby przez niepilność nasze sprawy zaczęte, nagany jakiej albo upadku nie odniosły. Co dla lepszej pewności pieczęcią naszą przyciskamy.

Tamże.

Elegant.

Elegant ze szkłem na nosie, zlany perfumami.

Rozwalił się na sofie pomiędzy damami.

Wszystkie mierzy półłokiem, dmucha co się zowie,

Jednem sięgnięciem w włosy stawia czub na głowie;

To podnosi ton głosu, to znów wolno, z cicha,
Płecie nudne androny, ciągle się uśmiecha.
Raptem do najpiękniejszej zwraca mowę swoją.
„*Parbleu!* jak mamę kocham, znam ja panią moją,
Jeżeli się nie mylę, powiem w okamgnieniu,
Że panią gdzieś widziałem w kąpielach w Lubieniu“.
„Mylisz się, Mości Panie, czyste przywidzenie;
Jam nie była w kąpielach, nie wiem gdzie kąpiele,
Ale mąż mój kąpał się jeszcze przed kwartałem“.
„A więc to był mąż Pani, którego poznałem?...“

Tamże.

„NASZA JEJMOŚĆ“ czyli „BABY WIELKANOCNE“.

Rzekł ktoś: „Książka bez przemowy
Jest tak, jak tułów bez głowy!“
Przeto muszę dać przemowę,
Żeby Jejmość miała głowę.

PRZEMOWA.

Rzadki dziś gość uśmiech w twarzy;
Same dąsy, same kwasy,
Kogo spotkasz już się skarży:
„Ciężkie czasy, ciężkie czasy“.
„Oj co złe, to złe mospanie!“
A mnie porwała myśl pusta,
Choć raz w rok na Zmartwychwstanie
Śmiech wywołać wam na usta.

Hałas, tartas, rwetes, wrzawa, łoskot, łomot jak w młocarni,
W izbie parno, ścisk, kurzawa, drzwi wciąż skrzypią u spiżarni.
Znoszą masła, jaja, sery, mąki, cukry i korzenie;
Jak jest w domu dziewczek cztery, jedna się za drugą żenie.

Skrobia, myją, w piecach palą, wiercą, tłuką, szyją, wrzeszczą,
Ledwo domu nie rozwalą, aż w piekarni belki trzeszczą!
Wszystko kłębi się jak w garnku, ledwo na głowach nie chodzą.
„Co to jest?... czy wir jarmarku?...“ Gdzie tam, to święta nad-
[chodzą.

Jejmość to jak Marek w piekle, torem czcigodnej prababy,
Żwawo, ogniście, zaciekle bije na Wielkanoc baby.
Bije placki, jajeczniki, torty, mazurki, kołaczę;
Z tych powodów takie krzyki — dlatego jejmość tak gdacze.

Tak grzmi, trąca, laje, bredzi, dyablami sadzi, aż miło.
Że pies w domu nie usiedzi — aby się ciasto ruszyło...
I musi się gwałtem ruszyć, gdy Jejmość tak gębą rusza,
O wzroście bab można tuszyć. Jejmość jest to babia dusza!

Nikt sobie tak nie poradzi, jak nasza Jejmość przy cieście:
Gdy baba w górę się sadzi, wnet w nią buchnie dyabłów dwieście.
Jak ci panicze z nienacka pochwycą ją na paznokcie,
Nie pomoże i krzyk Jacka, rośnie baba na dwa łokcie.

Lecz trzeba dwieście koniecznie; jak dasz mniej dozys za słabą,
Jak dasz więcej niebezpiecznie, może się rozsadzić baba.
Bo jak babie nie wygodnie, wnet jej na nos siądzie chmura;
To się skrzywi, to opadnie, to zakalce albo dziura.

Na tem też to właśnie sztuka, miarę zachować w ilości;
Oj, trudna to jest nauka, zapytajcie się Jejmości.
I Jejmość, jak młodsza była, także nieraz przesadzała:
Raz jak tysiąc dyabłów wbiła, baba mazią się rozlała.

Lecz dzisiaj tak źle nie będzie, sławna czynem, sławna wprawą.
Sto bab z pieca wydobędzie, a za każdą woła „brawo...“
A każda w swym charakterze pulehna, rosła, lekka, sztywna,
A jak ją Jejmość ubierze w czepek cukru, to przedziwna.

Zostawmy więc gospodynię przy jej ważnem zatrudnieniu,
Przy mące, drożdżach, rozczywie, formach, jajach i korzeniach.
Niech grzmi, trąca, łaje, bredzi, wstrząsa piekiel fundamenta,
Jutro pójdzie do spowiedzi, da Bóg, że się upamięta.

Tymczasem nim Jejmość nasza uwieńczy swe szczere chęci,
Nim ksiądz dyablów pozestrasza, dom i pieczywo poświęci;
Nim chrześcijanom dookoła dzwon zgłosi Zmartwychwstanie,
Chodźmy bracia do kościoła na Chrystusa powitanie.

Cierpiał on za prawdę wiele, bo to prawda w oczy kole,
Dał nam przykład przyjaciele, jak krzyż dźwigać, znosić bóle.
Dziś już pękła moc szatana, patrzcie jak dzwon w górę buja:
Chodźmyż wielbić z ludem Pana: resurexit, Alleluja!...

Już lud z kościoła powraca i Jejmość już wraca nasza,
Musiała się ułać praca, bo nas z uśmiechem zaprasza.
No chodźmyż w wesołym kole, a idąc ojców zwyczajem,
Uściśniemy się przy stole, dzieląc się święconem jajem.

Otóż mamy i święcone! a praca nie była marną;
W którą okiem rzucisz stronę, pieści wzrok pszeniczne ziarno.
Co za baby! jakie ciasta! jaka lekkość! a smak jaki!
Jejmość coraz bardziej wzrasta, a że skromna piecze raki.

Więc gdy nam się pora zdarza, nie czynimy domowi sromu,
Nie mijając gospodarza, zaczniemy od pani domu:

„Oby nam łaskawe nieba
Darów swoich nie szczędziły.
Oby nam nie brakło chleba.
Ani życia, ani siły —
Byśmy byli litośnymi,
W Bogu mogli się weselić,
I wszystkim z nieszczęśliwymi,
Jak tem jajkiem się podzielić!“

Anegdota.

Pewna dama miała bardzo zazdrosnego męża, który, wybierając się w daleką podróż dla ułatwienia ważnych interesów, prosił swojej drogiej połowy, aby młodym mężczyznom, zwykle zwodzicielom, odpowiadała zawsze na ich zaпытanie tym wyrazem: Nie. Zabezpieczywszy się, jak mniemał, od jeleniowych ozdób, odjechał spokojny. W kilka dni po tym odjeździe, gdy się Piękna przechadzała po szpalerze, jeden z naszych obrońców Ojczyzny, młody i ugrzeczniiony zsiada z konia, wita piękną damę z tą delikatnością, którą wyższe nadaje wychowanie, ta zaś na wszystkie jego grzeczności odpowiada „Nie“. Dowcipny syn Marsa poznaje w tem jakąś tajemnicę, zwraca swój sposób mówienia i zaпытuje damy, czy mu nie będzie miała za złe, że ją do domu odprowadzi? „Nie“ — odpowiedziała; że zostanie u niej na wieczór, że uwielbia jej wdzięki i ubóstwia osobę tak wielkimi darami natury obdarzoną, i że ją kocha nad życie? zawsze jedną odbiera odpowiedź, że „Nie“. Tak postępując stopniowo ze swojemi pytaniami, nasz Adonis pozyskał wszystko, czego tylko pragnął; dama zaś nie miała sobie nic do wyrzucenia. albowiem wypełniła co do joty polecenie i naukę swego męża.

Tandeciarz krakowski z r. 1831.

Wieprzek.

BAJKA.

Różne zdania w różnych chwilach!

Sądził wieprzek o daktylach,

Że takowe

Są niezdrowe;

A w domysle,

Biorąc ściśle,

Przed wszystkimi twierdził śmieie,
Że mają trucizny wiele.
Co za mądrość niepojęta!...
Wykrzykną owce, cielęta;
Dalej bracia, żywym torem
Obwołajiny go doktorem!
Wtem liszka wpada do koła,
Ach! wstrzymajcie się zawoła;
I niech nabierze kto śmiałości tyle,
Zapytać się go wprzód: czy widział daktylę?

Rozmaitości krakowskie z r. 1834.

Dwa mopsy i szpak.

Raz ujrzawszy śpiącym lwa,
Rzekły sobie mopsy dwa:
„Co nam to za straszny pan!
„Co nam za królewska mość?“
— „Wiesz co bratku, ja mam plan,
Wyrządzić mu jaką złość!...“
— „Ja to samo. Co tam lew!...
I mops także ma swój gniew;
Ma pazury, zębów rząd;
A jak szczeknie! słyhać stąd
I o milę i o dwie!
Ja drwię ze lwa!“ — „I ja drwię!“
Słyszając to junaetwo szpak,
Powiedział im tak:
„Oto jeszcze póki czas,
Uciekajcie głupcy w las!
Dosyć jednej szpony lwa,
By zuchwałe mopsy dwa,
Jak dwie muchy zdusić — zgnieść!...“
Tej bajeczki taka treść:

Zgubę znajdzie w każdej grze,
Kto z mocniejszym koty drze.

Tamże.

Perszważyę pocziwego Gawelka do Magduszy.

Z dawnego rękopismu.

Przestańże się już dąszać, zmiłuj się Magdeczko,
I murglisz się i kwilisz, jakbyś była dziecko!
Czoło tve jako szłończe, że złotemi włoszy,
Szehmurało się z kretezem, jak wpadłaś w złe szoszy!
Brwi, jak dwie akszamitki, tak dziś robią Marsza,
Jakbyś była odemnie z pietnaście lat sztarsza:
Wzrok czuły, czo tak szłodko wabił moje szercze,
Już nawet i ukoszem patrzeć na mnie nie chce.
Widzę, jak zakrzywiłaś na mnie koniecz nosza,
Tak jakby ci weń wpadła mucha albo osza;
Uśzta, czoć się tak świeczą jak w maśle kielbaszki,
Czedzą mi terasz tylko wyraży niełaszk;
A licza, jak krew ż mlekiem, lub ż rakowym szoszem,
Jedno trzymają ż wzrokiem, ż usztami i ż noszem;
Szłowem, że czała tak się indyczysz jak kokosz,
Jakbym to ja był jaki furfant albo młokosz;
Przecież jesztem pod wąszem, więcż nie żadnym chłysztkiem,
A żatem porzuć dąszy, żgoda! i po wszysztkiem.

Tamże.

Powrót do wioski.

POWIEŚĆ GMINNA.

Niepodległy żadnej trosce
Żył Piotr dwanaście lat w dziedzicznej wiosce,
W niczyje sprawy nie wtykał nosa.
A jeżeli go czasem chciała drasnąć osa,
To ją tak palnął, aż jęła
I więcej już nie zachrząkała.

Był Piotr porciwym, — to dosyć powiedzieć,
Zabiegłym, skrętnym. — lubił w domu siedzieć,
Podczas gdy inni czeze wiatry gonili:

I stąd go też nie lubili.

A że prawdą żył jedynie.

Więc powszechnie gadali przemądrzy sąsiedzi:
Że ten człowiek w swej wiosce długo nie dosiedzi,

I własną śmiercią nie zginie:

Że zachość jego bardzo podejrzana.

Inaczej mówi, a inaczej działa;

Słowem lada świszczypała

Z błotem go mieszał, choć sam wart szatana.

Tak przez lat kilka, jak w jarmacznym gwarze.

Gadano co wiatr przyniósł, a wszystko rozumnie!

Bo wiedziecie Państwo, że u mnie

Za mędrców dziś uchodzą uliczni bazarze;

Przyszły albowiem czasy chwała Bogu,

Że sobie można ciemnym być jak w rogu.

A o wszystkim wyroki nieodzowne dawać,

Przeciw całemu światu powstawać.

Śmiałością zdań ludzkość dumieć.

Prawa jej pisać, a czytać nie umieć.

Lecz wróćmy już do szlachcica.

Gore bajkami cała okolica

I Piotr człowiek bez nagany

Za potwór społeczeństwa został okrzyczany.

Podłym językom któż zabroni gadać?

Ludziom bez zdania któż wbije do głowy:

Że chcąc komu zbrodnię zadać.

Dowodów trzeba, a nie czezej obmowy?

Bo ileż to już razy na tej ziemi

Przed obliczem skazanych, — jak wschód słońca jasneim.

Przemądre ich syndyki z wyroczniami swemi
Stały jak dudki, głupstwem zadziwione własnem?

Piotr wyjechał. — Gdzie? dokąd? — wkrótce się dowiecie.

Nie jeden mię spyta przecie:

„Dlaczego znosił potwarz, skoro był niewinny,

„I nie przedsięwziął publicznej obrony?

„Albo czemu się za nim nie ujął kto inny?“

Ja mam na to z tego strony

Krótką odpowiedź. może nieco hardą,

Lecz zapisaną w księdze doświadczenia:

Że za głupie podejrzenia

Najlepiej odpowiadać milczeniem i wzgardą.

A zresztą: ludzie zawsze jesteśmy nizerni,

Słabi, pozioomi i niedoskonali;

Bez interesu — rzadko kto pochwali.

Dla interesu — ach! któż nie oczerni?

Zamiast przeto mnie łąać, iż mówię tak śmiało.

Zamiast posądzeń, żem się ułakomił wziętku:

Słuchajcie Państwo co dalej się stało. —

Nie myśląc już o początku.

Ledwie z domu wyruszył — sąsiedzką wieś minął. —

Ledwie upływa pół godziny;

Tłumne powstają wieści: „Aha! Piotr gdzieś zginął,

„Zastrzelił się — utopił — zbiegł w obce krainy;

„Nie powróci już zapewne“.

Mówili przyjaciele, przyjaciółki, krewne:

„Człowiek był niegodziwy, zaprzeczyć nie można;

„Dusza wyniosła, chytra, namiętna, bezbożna;

„Cały świat lubił wyśmiewać. — Panią podsędkową

„Przezywał puszką plotek. — cielątkiem sędziankę,

„Starościca ciasną głową.

„Strachem na wróble pannę podczaszankę!

- i „Duszę towarzystw naszych, pana komornika,
„Suchym poetą — szumnym banialuką;
„A co aż zgrozą przenika:
„Nos pana Rejenta — kluką!“

Nazajutrz nowe pogłoski
Jak dzikie gęsi lecą od wioski do wioski:
„Piotr za granicą schwytany!
„Okuty w kajdany
„Za jakieś straszne zbrodnie idzie pod miecz kata!
Otóż taka złym zapłata!“
I w jednej chwili
Bez namysłu — sąsiedzi kochani, pocziwi
Piotra na śmierć osądzili:
Kto świat zna — wypadek ten wcale go nie dziwi.
W tydzień — ani wątpliwości,
Że Piotr głowę przypłacił swe niegodziwości.
Znaleźli się nawet ludzie,
Którzy na to patrzeli, kiedy go ścinano.

Aż tu dnia dziesiątego — o dziwy! o cudzie!
Piotr powraca bardzo rano!
Wesół jak zawsze — trochę ucinkowy.
Z uśmiechem wita zapalone głowy;
Kuzynków, co już po spuściznę przyszli,
Wyprasza z domu i nie dać nie myśli;
Żacnych sąsiadów, co go już ścinali.
Z uszanowaniem sprowadza do sali.
I przyczynę ucieczki przedstawia im żywą:
Basię piękną jak wiosnę, jak anioł cnotliwą,
Którą przed nimi skrycie pokochał na żonę;
I po nią to wyjechał Piotr tak niespodzianie!...
Wszystko wstydem okryte, — wszystko osłupione
Naprawdę usiłuje zgryźć swe pomieszanie;

„Przebacz luby sąsiedzie!...” — każdy wreszcie prosi
I po francusku się wynosi.

Otóż i koniec historyi Piotra,
Za to że prawdę lubił — ścięto go jak łotra;
Że nie umiał doweipu w sędziance ocenić;
Że z panną podczaszanką nie chciał się ożenić;
A co najgorsza — czego wiele jest przykładów,
Że miał więcej rozumu od swoich sąsiadów.

Tamże.

Do Józefa... o brzytwę.

Nieprawdaż mój Józefie! kaprys światem rządzi,
Nikt nie wie kto ma rozum, nikt nie wie kto błądzi,
Siła mędrców! a przecie wszyscy ludzie dzieci,
Co dawniej ich zdobiło, to samo dziś szpeci;
I na tę samą brodę, co gęstemi sploty
Przywodzi nam na pamięć i rozum i cnoty
Grecyi bohaterów — na tę samą brodę
Czart drwiącą z prawodawców oburzył dziś Modę;
A świat cały hołdując tak wielmożnej Pani.
Co dawny chwalił niegdyś, to dzisiejszy gani...
Ja jeden z całym światem namże iść w przekąsy?
Niestety! muszę golić i brodę i wąsy!
I wąsy?... to omyłka — wąsów nie poświęcę,
Nucąc śpiewkę o Polsce, ja wąs zawsze kręcę.

Aleń bez doświadczenia, bez brzytwę, bez wprawy,
Ty mi więc przyszliz brzytwę, a z brzytwą ustawy,
Nauucz na golibrodę pasując rycerza,
Jak się bez krwi rozlewu krwawy cios wymierza.
Jak las dębów na brodzie potnieje ze strachu
I sto pniów od każdego wali się zamachu:

Skąd ma rozpocząć mordy ta krwi chciwa kosa,
Od ucha, czy z pod brody — od ust, czy z pod nosa;
Czy gwałtownie nacierać, czy wolnym biedz krokiem,
Miecz trzymać prostopadle, poziomo, czy bokiem,
Naucz, przestrzeż, daj radę — tymczasem ci życzę
Nie znać żadnych goryczy, wszystkie mieć słodyczne.

Baba, pismo emigracyjne, z r. 1842.

Dominik O.

Gratis.

Wychodzi tutaj Kronika,
In spiritu diplomatis,
Nikt nie płaci i fenika,
Chce, czy nie chce ma ją gratis.
Gdy mi jakoś w rękę wlaźła,
Takem się znudził z czytania,
Że od ciągłego ziewania
Szczęka mi z stawów wylazła.
Aby skrócić moją mękę.
Rzucam numer. wołam: satis!
Aż mi nowy ktoś pcha w rękę,
Mówiąc: Czytaj, bo to gratis.
Cierpliwości mi nie stało,
Satis, krzyczę!... umrę, satis!
Głupstwo już miarę przebrało,
Aż znów numer i znów gratis.

*Brukowiec emigracyjny*¹⁾.

Niedawno w pewnej gazecie, drukowanej na szpalty
w tym samym sposobie jak nasz Kuryer, wydarzyły się
w wierszach przeciwnych takie sprzeczności:

¹⁾ Czasopismo litografowane, wydawane przez Władysława Dombrowskiego. Paryż, 1834.

Na lewej:

Wczoraj uderzył piorun w konduktora na składach prochu...

Pewna pani potrzebuje kucharza dobremi zaświadczeniami opatrzonego i zdatnego...

Wczoraj odebrano podejrzanemu człowiekowi kożę...

Podaje się do wiadomości, że śledzie holenderskie marynowane...

Artylerya konna przybyła tu onegdaj z prowincyi z całym sztabem i pociągami...

— Ktokolwiek ma pretensye do Abrahama Joskowicza i takowe odzyskać pragnie...

Na żądanie wielu osób dany będzie w następującą sobotę piknik...

Niżej podpisany założył fabrykę świec łojowych i mydła...

Niżej podpisana, utrzymująca pensyę panien, donosi Przeshiretnej Publiczności...

Na prawej:

i potem napiwszy się czekolady, grał w szachy z księdzem proboszczem.

któryby umiał warować i aporować, i żeby był kasztanowaty.

która tu jutro wielki koncert wokalny dawać będzie.

dawać pragną lekcyę tańca i fechtowania na szpady.

założyła magazyn strojów damskich i wszystko za pomierną cenę sprzedawać chce.

musi być najprzód w occie wygotowany, a potem powieszony.

na linie wyprężonej od wieży ratuszowej aż do gmachu komisya zwanego.

w której jutro pan Dynfoaryusz zdawać będzie egzamin na doktora chirurgii.

że ma najświeższy asortyment spicerutów angielskich i ostróg do sprzedania

Ktoby sobie życzył kupić wioskę czystą bez długów, nie- chaj się zgłosi do podpisa- nego...	byleby w stanie był udowo- dnić: że ma piętnaście lat skoń- czonych i umie trochę grać na skrzypcach.
--	--

DONIESIENIA.

Pewna jejmość ma na zbyciu każdego czasu: męża kaszłącego i córkę tańczującą po całych nocach. Ktoby chciał te precyzoza nabyć, niech się przez gazety zgłosi.

Pewien jegomość tak mocnego nabawił się kataru, że nawet nie poczuł szczutka, którego dostał w nos przy kartach.

Kurier krakowski z r. 1827¹⁾.

Osiel w masce.

Osiel w d o m i n o przebrany

Wszedł na redutę.

I nuże w tany!

I choć nogi miał podkute

Nikt go poznać nie był w stanie.

Tak go zmieniło przebranie;

I byłby za coś uszedł — niktby nie przeniknął.

Że to nie człowiek — tylko głupie zwierzę;

Ale mu się zachciało doweipu i ryknął.

Więc po wszystkim — ten i ów za uszy go bierze,

Ciągnięty w tę i owę — uszedł z rzadką miną;

Bo osiel zawsze osłem, chociaż i w domino.

Tamże.

¹⁾ Kurier krakowski powszechnej zabawie poświęcony. Pismo to, za leżące od wspólnego kaprysu Wylawców i Czytelników, wychodzić będzie tymczasowo bez prenumeraty co sobotę o g. 3 popołudniu u Małeckiej. Egzemplarz gr. 10. Rok 1827.

Prawdziwemi regularnemi i nigdy nie psującemi się repetyerami są pieczeniarze, bo ustawicznie repetyują.

Tamże.

Obraz lichwiarza.

POWIEŚĆ.

Próżny worek u lichwiarza
To się bardzo rzadko zdarza;
Ale dzisiejsze złe czasy
Takie już robią grymasy,
Tak się do szczętu popsuły,
Że nawet pańskie szkatuły
Za małą rzecz sobie cenią,
Bo i z lichwiarską kieszenią
Nieraz golizna się swata,
Jakby go miała za brata.
Wczoraj ktoś do Baltazara
Przyszedł pożyczyć talara;
Ach! na ten wyraz pożyczyć
Każdy lichwiarz pragnie liczyć,
Skoro widzi fant nie łąda,
Co stem za pięć odpowiada.
Pan Baltazar człowiek czuły
Wraz otwiera do szkatuły,
Bo przecie zegarek złoty
Nie wystawi na kłopoty;
Lecz wprzód gościa zapytuje
„Jaki procent obiecuje?”
„Bo ja sam, kochany panie,
„Pożyczam na pożyczanie,
„I zaręczam ci na duszę...
„Dwieście za sto dawać muszę!“
— „Ja tylko chcę na dni cztery!“
— „To dziwactwo. to chimery,

„Łatwo obiecać, mój panie,
„Ale trudne dotrzymanie;
„I żeby rzecz skończyć zgodnie,
„Weź, lecz na cztery tygodnie
„Procentu nie chcę twardego.
„Oddasz mi dwa za jednego!...“
To jeszcze zacne sumienie... —
Potrzebny daje skinienie,
Że niech sobie i tak będzie.
„Na momencik niech pan siedzie!“
Potem z miną świętoszkową,
Na bok z przekrzywioną głową,
Jakby dla dania jałmużny,
Dobyl worek — ale próżny.
Szuka po nim przez czas długi,
Lecz daremnie; — bierze drugi,
I w tym pustki, — łap za trzeci,
I ten wart był pójść na śmieci.
Bierze czwarty Baltazarek:
„Ho! otóż jest i talarek!“
— „Lecz jakiś bardzo czerwony?
„Źle patrzy na obie strony?
„Herb i twarz na nim wytarta,
„Ani trzech groszy nie warta!“
Iskry z oczu kutwie przysły:
— „To dziwactwa, to wymysły!
„Talar dobry jak się godzi;
„Wreszcie kiedy o to chodzi.
„Nie tracimy czasu wiele.
„Ja go tu zaraz pobielę!“
— „Co? mam go nabyć tak drogo,
„I jeszcze oszukać kogo?“
— „No niechże dla zgody świętej
„Procent będzie wpół przecięty!“

— „Nie chcę — nie chcę, weź go sobie,
„Albo zobaczysz co zrobię!“
— „No!... dopóki mam ochotę,
„Zniżam procent na dwa złote?...“
— „Nie chcę go i za trzy grosze,
„I o inny talar proszę!“
— „Nie mam innego mój mości!
„Doczeka się i ten gości
„Ścieśnionych golizny władzą,
„Co go przyjmą, dwa oddadzą“.
To wyrzekłszy Baltazarek,
Oddał napowrót zegarek.
Wyszedł potrzebny i w gniewie
Co ma zrobić już sam nie wie;
Lecz przyjąć pieniądz fałszywy
Wzdrygnął się umysł pocziwy.
Idzie — a lichwiarz bez czoła
Z okna jeszcze za nim woła:
„No! dla uniknienia wstrętu
„Pożyczę go bez procentu!...“

Tamże.

Anegdoty.

Na ostatniem kasynie dwie małe panienki niezmiernie wychwalały swojego metra muzyki. „Jaki to dobry, cichy człowiek ten nasz N. N. zawsze sobie drzemie przy lekcyi, pocziwe człowieczysko, wczoraj aż chrapał“.

Żydzi o jedynym swoim uczonym takie napisali zdanie:
„Że gdyby cały firmament był z papieru, a wszystkie morza przemieniły się w atrament, toby jeszcze nie było dosyć na spisanie tego, co on umie“.

Tamże.

Pochwała sztuki kucharskiej.

Chcąc mądrości karcić ducha,
Trzeba szperać nieskończenie.
Pożyteczniej jest do brzucha
Wyborne tłoczyć jedzenie.
Nad sławę i nad wawrzyny
Wolę ja wazę rosołu.
Połędwicę smaczną z wołu
I pieczenie z cielęciny.
Gdym czytał wielkich poetów,
Zawszem nad tem ubolewał,
Iż żaden z nich nie opiewał
Dobrych obiadów i wetów.

Ledwie Homer i Wirgili,
Nucąc nieśmiertelne pieńie,
Coś *per nefas* nadmienili.
Że zajądano pieczenie:
I baranie i jelenie,
I cielęce i wołowe,
A i to napół surowe.
Uczestnik stołów Augusta.
Który z apetytu słynął,
Jakby mu kto związał usta.
W swych pismach ucztę pominął.
Tej, co na widok wydała
Teoryą kucharskiej sztuki.
Hickmanowej cześć i chwała
Przeżyje wszystkie nauki.
Gdzie z Erudycją krytyka
Chwali dobre, złe przygania;
I, nad podlewą indyka
Czyni chemiczne badania,

Cóż nad jej dzieło lepszego być może?

Łechce nasze podniebienie

I chwiać się każe w wyborze

O to lub owo jedzenie.

Czyli kto kończy, czyli też zaczyna,

Czy spotka zupy, czy ciasta,

Wnet mu do ust idzie ślina

I apetyt do nich wzrasta.

A w tak przyjemnem zostając marzeniu,

Słodką się nadzieją ludzi,

Że po chwilowem uśpieniu

Do wieczery się człek budzi.

Motył (Warszawa 1828).

F. C.

Kodeks Towarzystwa gastronomicznego.

Towarzystwo zważając, że od lat kilku duch zamieszania ogarnął umysły jego członków i że przez ten nieporządek prawdziwe początki sztuki kuchennej zostały zarzucone i wywrócone;

Zważając, iż nieład panuje po stołach, że prawa amfitryonów i biesiadników nie mają swych granic, że jedni chcą wszystko zagarnąć, a drudzy nie chcą niczego ustąpić;

Zważając, iż nagłą jest potrzebą uprzedzić skutki takiego porządku rzeczy, z którego wypływa nieład i zamieszanie w służbie, bezrząd i zamieszanie w sosach, zamęt niebezpieczny, szkodliwy w płynach, suchość i darcie w gardłach, czczość i niestrawność żołądka, duch rewolucyjny w kuchni i między biesiadnikami;

Postanowiło i stanowi co następuje:

Artykuł 1. Forma rządu, przez Towarzystwo przyswojona, jest demokracją czystą, poddaną codziennie nowemu naczelnikowi.

Artykuł 2. Naczelnikiem dziennym jest ten, który wyprawia biesiadę. Jego władza trwa przez cały ciąg jej trwania i kończy się z jej końcem.

Artykuł 3. Towarzystwo dzieli się na Patrycyuszów i Plebejuszów.

Artykuł 4. Patrycyusze są, którzy jedzą. Plebejusze, którzy jeść gotują.

ROZDZIAŁ I.

Prawa Patrycyuszów.

Następne prawa zawarowane są Patrycyuszom:

Artykuł 5. Każdy obiad, na który są zaproszeni, dzieli się równo między nich i amfitryona, który pod żadnym pozorem nie może ich pozbawiać przypadającej im części.

Artykuł 6. Każdy biesiadnik używa wolności języka, ulegając atoli cenzurze w razie nadużycia tej wolności.

Artykuł 7. Każdy wyraz, wymówiony przed sztuką mięsa, uważany jest za nadużycie i ma przeto być ukarany krzywym spojrzeniem amfitryona. Po sztuce mięsa wolność mówienia jest dana, byleby rozmowa toczyła się o przedmiocie jakim gastronomicznym.

Artykuł 8. Wolność jest całkowita po pieczystem. Jednakże zagorzałe rozprawy polityczne, filozoficzne i literackie wyłączone są, jako mogące szkodzić żuciu i dające umysłowi roztargnienia bezpotrzebne.

Artykuł 9. Wolność osobista biesiadników jest bez granic. Zabronionem jest im wszelako wstawać od stołu przed końcem pięcio-godzinnego obiadu.

Artykuł 10. Cześć Bachusa i Komusa jest wyznaniem panującym, żadne inne cierpieniem nie jest.

ROZDZIAŁ II.

Powinność Biesiadników.

Artykuł 11. Pierwszym obowiązkiem każdego biesiadnika jest stawić się akuratnie w godzinie przez amfitryona wyznaczonej.

Artykuł 12. Drugim obowiązkiem każdego biesiadnika jest, aby jadł swoją część każdego półmiska.

Artykuł 13. Wzbronionem jest pod zastrzeżeniem zostawiać pełnego kieliszka na stole.

Artykuł 14. Nie wolno nikomu źle mówić o amfitryonie przez dwie godziny po obiedzie; wdzięczność póty najmniej trwać powinna, póki strawność.

Artykuł 15. Kara wywołania jest ustawiona na tego, kto po sztuce mięsa wino wodą rozlewa.

Artykuł 16. Liczba butelek, jaką ma wypić każdy biesiadnik, nie powinna być mniejszą od trzech, a większą do sześciu.

ROZDZIAŁ III.

Prawa i obowiązki amfitryona.

Artykuł 17. Amfitryon dzienny jest naczelnikiem konstytucyjnym Towarzystwa przez czas trwania obiadu i służyć mu prawa następujące:

- a) Do niego samego należy ustanowienie porządku, w którym biesiadnicy siedzieć mają.
- b) On przepisuje porządek podawania potraw wedle godności każdego.
- c) On wymierza kary oznaczone przeciwko wspomnianym w teraźniejszym kodeksie wykroczeniom.
- d) Ma prawo do jednego najmniej toastu w czasie obiadu.

Artykuł 18. Następne obowiązki są mu oznaczone:

- a) Powinien każdemu bez różnicy przedstawić dobre kawałki i porcja jego nie powinna być większą od innych.
- b) Powinien umieć krajać i usłużyć.
- c) Nalewa pić.
- d) Nie wolno mu chwalić potraw, jakie podaje; powinien z uniżonością czekać wolnej opinii biesiadników.

ROZDZIAŁ IV.

Urządzenie tyjące się artystów gotujących jedzenie.

Artykuł 19. Naczelnik kuchni ma nad podrzędnymi władzę nieograniczoną, sam ślepo słucha amfitryona. Ma prawo do korzyści następujących:

- a) Połowa zdjātku należy mu zupełną własnością.
- b) Nie może nakręcać więcej pięciu procentów nad wartość rzeczywistą materyałów.
- c) Może się upić codziennie po służbie.

Artykuł 20. Obowiązki jego są następujące:

- a) Powinien dawać na ciepło pod karą degradacyi.
- b) Nie powinien wypijać madery przeznaczonej do sosów.
- c) Zakazano mu kosztować preparatów palcami.
- d) Nie wolno mu robić doświadczeń kuchennych, chyba po obiedzie.

Artykuł 21. Pomocniki i pomocniczki kuchenne i kuchiki mają prawo do połowy zdjātku.

Artykuł 22. Każdy pomocnik, pomocniczka lub kuchta, który się upije w czasie służby, skazany będzie przez tydzień na chleb i wodę.

ROZDZIAŁ V. (i ostatni).

Prawo karne.

Artykuł 23. Zupełna dyeta będzie uważaną jako kara główna i będzie tylko wymierzana w najważniejszych przypadkach.

Artykuł 24. Niniejszy kodeks, którego przepisy, moc prawa odtychmiast uzyskują, jest uchwalony i podpisany przez wszystkich członków towarzystwa.

(Następują podpisy).

Tamże.

**Wiersz z okoliczności kilku dzieciennych koncertów
napisany.**

Już skrzypce nowej szkoły na świat wystąpiły.

Nigdy na kwincie, na basie

Takiego męstwa nieba nie zdarzyły:

Nigdy ogon na kiszce przy pomocy smółki.

W polskich wirtuozów klasie,

Tak pięknie jeszcze nie pociągał gółki.

Tam trzeba było widzieć smyk męskiej postawy

W pilowaniu słodkich tonów,

Jak nękał struny wśród odbitych wrzawy.

Tam od geniuszu swobodą nadane,

Płonące ogniem muzycznych andronów

Potrzeba było widzieć palce rozjażane.

Od szyjki na podstawek walące się z szturmem.

Świełnym celem nasycenia,

Słuchaczy rajskich fuz i trynek hurmem

Mimowolnie oskome niosącym do duszy.

Prawda, iż w tarcu na słuchaczy uszy.

Palec zmieszany żywą kanonadą

Trzy kroki zrobił kulawe,

Że drgając podówczas, gdy miał iść rula dą

Zmykał w fatalnych myłkach z nótką na tuzinie.

Lecz audytoryum wspaniałe

Drobnych usterków nie przypisze winie;

Któżby śmiał krzyżeć na szwank wnet wynagrodzony?

Któżby mógł gardzić widokiem kaskady.

Temu że z niej kropelka, że pył uromiony!

Przeto mimo niektóre drobnuteńkie wadki.

(Strzeż mnie Boże zwać je: wady!)

Liczymy bez wahania ten talent tak rzadki

Miedzy najpierwsze z polskich muzykalnych kwiatów

I bez najnniejszej trudności,

W zasługę tych flasznetów, gryffów, pizzicatów
Dajem mu tydzień, dwa, a nawet trzy nieśmiertelności.

Wystąpił jeszcze chłopczyk pełen minki śmiałej

Zgrywający pantaliony.

Z jego aplikatury i gry doskonałej,

Nie dostrzegli słuchacze, iż nie bardzo dawno

Od mamki odsadzony.

Bo nie w nim dziecinnego nie wyszło na jawno,

I rozumiano słysząc, że to małe dziwo

Zjadło zęby od mozołów,

Tak dobrze zachowało *dolce, espressivo*,

I chłopczyk w zawód głuszac najśmielszych skrzypaków,

Sonatę na pięć bemolów

Wygrał od trzech wiązanych całkiem czarnę znaków

Ledwie maleńka nóżka depnęła pedały,

Lecz raz do walki wciągnięte,

Palce i stopy batalię wygrały

Najszałejsze ustępy, *oktawy, decymy*

Bez pomyłki odznaczone!

Takim tryumfom czuję jak słabe me rymy!

Więc zwycięzca kawałka dostał trzy jabłuszka,

Został mężem znakomitym,

I z pomocą chętnego mu Asmodeuszka.

Albo raczej aniołów muzycznych z natury,

Zarobił z wielkim zaszczytem

Cukierka, nieśmiertelność, sławę konfitury!

Ktoby to godnie był w stanie wysławić.

Nasze bogactwa muzyczne,

Naszych fortepianistów z pół kopy postawić,

A gdzież im sprostasz z podobną potęgą?

Szkoda, że talenta śliczne

Już się bez miary aż na rynku lęga,

Szkoda, że Wojciech rzeźnik ma coś cztery córki.

Które w swojej pakkamerze

Jedna po drugiej takie wiodą chóry,
Że trzeba się zadziwić tej doskonałości,
Owszem powiedzieć: nie wierzę,
Iż te akorda płyną w grze takiej czułości
Śród połędwie i pieczeni.
To szkoda, że harmonia ze krwią wchodzi w bratki,
I dziwna, że piękne sztuki
Siedlisko swoje przeniosły na jatki.
Tu tysiąc zapoconych nabitych słuchaczy,
Dziadowie, rodzice, wnuki,
Siedząc po łóżach, oklaskami rączy
Wszystkich melodyi maleńkich wyzwańców.
Taki poklask niesłychany.
Bardzo coś zarwał miny paroksyzmu,
Nigdy albowiem z męstwa wychowańców
Był bohater tak witany,
Za czyn odwagi lub patryotyzmu.
Więc najświetniejsze dzieła lub cnoty uczynki,
Niewarte ćwiczonych palców.
Niewarte miękkich tonów rury albo skrzynki.
Czyn albo nader piękny, albo nader głośny,
Zimnych znajduje pochwałców:
Ów gani, bo źle słyszał; tamten, bo zazdrosny.
Lecz aby wszystkie serca do razu pozyskać,
Dosyć jest pociągnąć tryl.
A więc spartańskie cnoty przestańcie polyskać,
Precz wielkie poświęcenia, uczucia wspaniałe,
Dzisiaj całkiem inny styl;
Dziś już té dawnej sławy źródła wywietrzałe,
W których czerpały hojnie nasze pradziady.
Dziś gładko graj ogonatki.
A nagrasz sobie honorów, parady,
Zbierzesz sobie pieniądze, nagonisz dostatki.
A z jaką Katalani uczyniwszy związki,

I wszędzie z oślich uszu ściągając podatki,
Wkrótce pozyskać możesz order od podwiązki.
Co mówię ja niebaczny o tak małym awansie!
Będziesz mocarzem świata... w twoim dyliżansie.

Tamże.

Na wody sztuczne.

Sztuki u nas widzę słyną,
W coraz większą wchodzą modę.
Fabrykowano nam wino,
Już fabrykują i wodę:
Doczekamy się tej chwili,
Gdy bardziej rozumy przetrzem.
Że jeszcze będziemy żyli
Fabrykowanem powietrzem.

Tamże.

• S o w a.

Pewnego kraju królowa (nie pamiętam jak się zwała) była jedyną pieczęcią tronu, oczkiem dworu, celem serc wyłanych wiernych poddanych; hasłem najwyższego tonu, wzorem gustu i poloru. Wszyscy na jej zdanie i panowie i panie ślepo przypadali, we wszystkim się stosowali. Ona mody stanowiła, wskrzeszała, odmieniała, znosiła. W jej kształcie i kroju tworzyły się wszystkie stroje.

Jednego dnia, gdy z całym dworem w wiejskim pałacu, późnym wieczorem po chłodzie bawi w ogrodzie; sowa z pustej chłopskiej stodoły wyleciała i okrążywszy królewskie stoły, właśnie na samej altanie, gdzie z monarchinią najpierwsze panie cieszyły się przy wdzięcznej kapeli, siada, a gdy sobie podweseli, zacznie kuranta ku lepszej ochocie na swym fagocie...

Przecudna melodia obija się o uszy królowej, ta pyta z ciekawością: co za wirtuoz nowy? ptak? czy zwierze, czy jakie stworzenie? pod nocne cienie tak przedziwne trele wywodzi? gdzie się chowa, gdzie się rodzi?...

Poważny wiekiem pan Radny odzywa się: „A to sowa, Miłościwa królowo, nocny ptak, koczodon szkaradny; przed światem się kryje, okropnie wyje, od wszystkich ohydzona, w pustkach leże i chowa, tetryczna i ponura, szarobura, leb ogromny, toku nieforemnego, wyrazu żbika leśnego; sama wielkości gołębia, na wzór jastrzębia drapieżna, ma dziób zakrzywiony, okrutne szpony, ścierwem się pasie; a w którym tylko czasie zaprowadzi luki swoje, pewne nieszczęście, troski i niepokoje“.

„Jakożkolwiek bądź, radabym ją poznała; boim jej jeszcze nie widziała...“ — rzeka Pani. Alić całe nader liczne grono, jakby na gwałt uderzono, porzuca stoły, stoliki, darnie, labirynty, chłodniki; od kart, od tańców, od szeptów, od igraszek, od kieliszków, od flaszek hurmem leci w zawody przez kanały, rowy, kaskady, kwatery, szpalery, dzikie promenady. — pełno wszędzie szkody!...

Niezmierne ludu zgraje otaczają pańskie gaje; trzeszczą drzewa, dachy, kominy, pękają okna, drabiny: wszyscy chwycić sowę radzi. jeden nad drugiego się sady, nie dba choćby się oka, nosa i głowy pozbawił, aby tylko sowę pani przystawił.

Po długiem do samego świtu lataniu, na sowę polowaniu, przecie ją nakoniec w ciasny kąt wpędzono, schwytano i królowej przyniesiono.

Ogląda królowa. „Czy to to — spyta — sowa?“ — „To, Miłościwa Pani“. — „A przepraszam moi panowie, nie znacie się na niej, to precudne stworzenie, jakie ma wdzięczne spojrzenie! oczka zielono-majowe jak kamyki szmaragdowe! jakie osobliwe pióra, nakształt jaszczura! Wielka głowa, niechybnie takiż rozum, dowiec bystry patrzy na ministry! ale nasek jaki ładny na wzór greckiego! cóżbym za to dała, żebym takie oczy i nos miała!“

„Proszę ją zanieść do mego pokoju, w złotą klatkę wsadzić. w złotej miednicy dać wody ze źródła, mięsa z ba-

żantów. A! soweńka miła! będę się z nią dzień i noc bawiła... Jutro zaraz dla sowy daję bal maskowy. Od jutra Mości-państwo donoszę, nowa moda *à la hibou*; czy zgoda?" — „Zgoda i wielka zgoda na rozkaz twój pani — krzykną poddani — dziś jeszcze na dobrydzień, czy dobranoc sowie przypijem pułharami jej zdrowie. Hej *vivat* sowo, cudo świata! niech w szczęściu i honorze pędzi długie lata!"

Już się dobrze rozwidniło, już i słońce, wstąpiwszy na obłoki, świetny punkt zakreśliło nowej *à la hibou* epoki, gdy królowa z całym dworem, sowim torem, do spoczynku się udała: bo według sowiego kalendarza i peryodu, aż dopiero od zachodu nowa moda uroczyście zacząć się miała.

Zszedł dzień; okryły ziemię nocne cienie; tu to było widzieć nowej mody wprowadzenie. Fraszka rzymskie i greckie widoki, weneckie śluby, morza, maszkarały, tryumfy bohaterów, olimpijskie skoki, względem sowiego balu parady.

Od stóp do głów wszystkie państwo i królowa wyglądała jak sowa: w sowim kolorze, sowiej fryzurze, sowich piórach, sowiej w tańcu pozyturze; *à la hibou* zastawione stoły, ciasta, cukry, trunki, sosy, soki, rosoly... Od hu! vu! tańce i sztuki gra muzyka, wszystkie kompozycyi pana Puszczyka.

Ledwo co na pańskim dworze stanęło o sowim wyborze, ledwo co nowe hasło nowej modzie *à la hibou* nadano w ogrodzie, jeszcze królowa ze wsi nie powróciła, a już z stolicy sowa się zrobiła.

À la hibou wszystkie damy, *à la hibou* wszystkie kramy, *à la hibou* fabryki, krosna, warsztaty, *à la hibou* sukna, cyce, bławaty, kornety, peruکی, zegarki, tabakiery, wstążki, chustki, wachlarze, szpady, laski, kalendarze, lokaje, hajduki, karety, koczce, portyery, obarzanki, nawet śledzie, masło, sery; wszystkie sowie znanie noszą, wszystkie *à la hibou* głoszą: co tylko jest sowiego, nadto niemasz nic lepszego. Jaki taki oczy mruży, narzeka, że mu widok słońca nie służy, śpi we dnie, w nocy

czuwa, sowa się pieczętuje, aby przez jaki związek do własności sowy zyskał łaskawe względy króla i królowej!

Tak kuchta, co na pańskim dworze mył rądle i sagany i ostatniego popychacza posługi sprawował, że miał łeb jak sowa rozkudłany i głos puchacza, na pierwszego faworyta się wykierował.

Widzi to Parnas zagorzały i on też sowiemi ryknie pochwały; dowcipne poety, mowne oratory sypią wiersze, rzną perory i pamiętniki; merkuryusze, dzienniki wywodzą obszerne sowie przymioty, własności, cnoty, równają Monarchinię z mądrości Boginią, dla sowy robią Minerwę z królowej.

Długo też sowieńka w modzie była? Oto póki królowa dudka nie zoczyła. Po dudku nastąpiły wkrótce ślimaki, po ślimakach żółwie, raki, pchły i świerszcze, słonie trąby, jeleń rogi; zgoła wszystkie dziwotwory trzeba uczcić darem mody; a gdy całą naturę w kółko okrążymy, to się znowu w tym tańcu *da capo* wrócimy

Śmieszek z r. 1834.

Literatura.

Utalentowany poeta B. de Ch. nadesłał nam następujące wiersze:

Pani!

Wdzięki Twe by uwielbić, poetą być trzeba by.

Mickiewiczem chybaby.

Literatura i krytyka.

POEZJA.

Gdybyście losy przysięgliście
Na mięso nasze starodawne,
Wtedy się przenosimy się
W Azyi stepy przesławne.

Do...

Próżno się magnatem mienisz
I udajesz lwa rycerza.
Swej natury nie odmienisz:
Żyd ci patrzy z za kołnierza.
Gdy Boruchy prawisz rano,
Zawsze na to wspomnij sobie:
Gdyby dziadka odkopano.
Znaleźliby pejsy w grobie.

Dzień 26 kwietnia.

(Poezja przez K. Z.) wiersz męski.

Gdy w nasz gród padł dziś huk,
Grad, trzask, wrzask, klask, huk, puk,
Gdy krwi plusk zlał nam bruk,
Gdy wał z dział w głąb siał strzał.
Gdy gród drżał, jam się śniał.

Świstek (Kraków) z r. 1848.

Epigrama.

Powiedz mi Panie Jacku ze spiczastym nosem
Czego chcesz, że na wszystkich spojerasz ukosem?
Kark zadzierasz do góry, w nos sapiasz spiczasty
Tak jakbyś roił sobie, żeś z Braminów kasty.
Wszystkich srodze niecujesz, zuchwały młokosie,
A sami cały masz rozum we spiczastym nosie.
Leziesz każdemu w oczy jak szerszeń. jak osa;
Ej strzeż się! ktoś ci przytnie spiczastego nosa.

Bałamut petersburski.

Jacek ze spiczastym nosem.
Z ostrą bródką, z okiem kosem.
Ogolony, chudy, spięty,
Goły jak turecki święty,
W zębach z piórkiem, z postem w brzuchu
Jacek codziennie dla ruchu.
Czy to w zimie, czy to w lecie.
Chodzi do letniego sadu:
Lub na Newskiej perspektywie
Szuka sławy — i obiadu.
Tak Jacek żyje szczęśliwie
I żyje na wielkim świecie.

Tamże.

Że masz przyjaciół, nie wierzę;
Słuchaj bracie, powiem szczerze:
Ciębie szukając oczyma,
Sercem wielbią twe dukaty.
Jak wiosna ożywia kwiaty,
A sroga niszczy je zima,
Tak przyjaciół kieszeń nasza
Pełna wabi, czeza odstrasza,
I ledwie setny z ich grona
Taki duszą, jakim z mowy:
Podobni są do melona:
Sto skosztujesz — jeden zdrowy.

Tamże.

Życzę mieć urząd, a pracy niewiele,
Życzę mieć władzę i prawne fortele;
Życzę nagrody i rangi odbierać,
Życzę mieć zręczność, gdy zechcą obdzierać;
Życzę mieć prawo w każdy kąt zachodzić,
Sądzić, przesądzać, pomagać i szkodzić;

Zdrożności, enoty pokrywać pozorem.
Wszystko mieć będziesz, bądź złym Prokurorem.

Tamże.

Do tancmistrza.

Mój ty miły tancmistrzu, rzuć postać nadętą;
Skacz, ale pisać książki, co za przedsięwzięcie?
Jeśli twój cały rozum zagnieździł się w pięcie,
Wywijaj więc kochanku i dokazuj piętą.

Tamże.

Kostera zgrany i spokojny.

Szuler pewny, Żmudzin rodem,
Spytał bankiera: „Co spodem?”
Potem grał tak nieszczęśliwie,
Że go żal było prawdziwie.
Co widząc jedna matrona,
Nad przygodą rozrzewniona,
Rzekła uprzejmie kosterze,
Że nad nim boleje szczyrze.
Na co on: „Nie boleję proszę;
„Ja gram w pożyczone grosze;
„Niech więc dyabli biorą ich,
„Ki mi wierzą, boleję tych“.

Tamże.

Przezorność.

Mająca gustu i dowcipu wiele
Dama, spisawszy życia swego dzieje,
Raz się chwaliła przed kimś, że w tem dziele
Sama rzetelność i prawda jaśnieje.
Ten ktoś znał dobrze wielu pań żywoty,
Znał i jej również: rzekł więc: „Rada zdrowa
„Skrychy kazała niektóre zaloty,
„Bo to się zaraz obudzi obmowa“.

— „Lekkoż o moim dowcipie i guście
„Jak widzę — rzekła — trzyma pan łaskawy?
„Wiedz, iż spisując rzetelnie me sprawy.
„Odmalowałam portret tylko... w biuście“.

Tamże.

Pan Tchórzalski bohater, ochoczy do wojny.
Zawsze czyta gazetę, zawsze niespokojny.
Że ktoś inny zdobył miasto lub fortecę;
„Czemuż nie ja? Już dosyć — rzeknie — otóż lecę
„Tam, gdzie mogę się wślawić wiekopomnym czynem,
„Okryć skronie, w pokoju zsiwiałe, wawrzynem“.
Los mu sprzyja. Jest w polu. — Strzał!... a już w swych progach;
Czyż nasz rycerz miał w grubych całe męstwo nogach.

Tamże.





J. Ign. Kraszewski

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI¹⁾

(ur. 1812 † 1887).

...

I.

» KOTLETY. «

POWIEŚĆ PRAWDZIWA.

Ani się gniewu lękam, ani dbam o łaski.

Trembecki.

Ponieważ tak jesteś łaskawy, kochany panie Bałamucie, że wszystko, co tylko ci przysyłają, chętnie przyjmujesz, sędzę, że nie odmówisz przyjęcia pary kotletów na śniadanie od jednego z twoich dobrych, choć nieznanych przyjaciół. Choć

¹⁾ Jest to pierwszy drukowany utwór Kraszewskiego. (Bałamut 1830, nr. 33 z 27 grudnia). Portret dalszyny z litografii pochodzącej mniej więcej z roku 1840.

to nie wielki podarunek, ale i tym gardzić nie należy. Lepsza jest zapewne pieczeń cielęca lub barania, ale wierz mi i kotlety mogą smakować. Kończąc tę odezwę, przystępuję do rzeczy i zaczynam od doniesienia, co to za jeden, który ci ten artykuł posyła.

Ja jestem sobie — jedno nie dla świata, dla siebie zaś wszystkim. Nazywam się z łaski Boskiej Kleofas Fakund Pasternak i należę do grona tych włóczęgów i postrzegaczów, którzy lubią patrzeć na ludzi, zbierać z nich wzorki i pisać o nich, aby się trochę sami z siebie pośmiali. Mieszkam w ciemnym zaułku na poddaszu, a jeśli opis mego mieszkania przyda się na co, łatwo go nakreślę. Idzie się do tego schronienia po czterdziestu kilku wschodach, ciemnych jak filozofia Kanta, a koszlawych i połamanych, jak tłumaczenia Żugarzewskiego. Krztusić byś się musiał, kochany panie, jak ów kot Krasickiego, gdybyś zajrzał do mnie; płaciłem bowiem komorne uczeiwej familijce żysiów nienajwymyślniejszych w ochędóstwie. Znajdziesz naprzód oczywisty brak podłogi i niektóre autentyczne dowody wilgoci na ścianach; dziury bardzo oryginalne w pułapie i okno do połowy papierem zaklejone, a troje drzwi, prowadzących do moich gospodarzy, odkrywają ci widok obrazów prawdziwie flamandzkich domostwa żydowskiego. Przed oknem zastanowiłby cię stolik, dosyć niechędłogi, zarzucony mnóstwem papierów, i katedra moja o trzech nogach. Ale chcę być krótkim i nie będę ci opisywał ani łoża mego, okrytego kocem ze starą skórzaną poduszką; ani kanapy, drylichem pociągniętej; ani półek, obciążonych staremi książkami bez okładek, między którymi Kandyd i Dyabeł kulawy pierwsze miejsce trzymają; ani mojej garderoby, zawieszonej naksztalt draperyi po ścianach; ani komina, ugarniowanego flaszkami, słoikami i garnuszkami, na który rzadko ogień zawita.

Po opisie mieszkania odrazu się domyślisz jak moja figura wygląda. Oto jestem sobie podługowaty, mam nogi do

wędrówek najzdutniejsze, bo nadzwyczaj cienkie; przytem szyję, na której spostrzeżesz wszystkie żyły i muszkuły. Włosy jeżą mi się wcale zgrabnie na głowie i dlatego też od lat piętnastu nie tykam ich grzebieniem; nos stosowny jest do całej figury i rzuca cię przywoity na twarz bladą żółto-zielonawego koloru, jak zwyczajnie u literata. A oczy, ach, panie Bałamencie, żebyś też widział moje oczy: co to za piękność! Oto wystaw sobie, że niedostatek brwi w całej sile pozwala połyskiwać dwom czarnym kołom, ale to tak czarnym jak węgiel. Żywość poruszeń ich porównałbym chyba do szybkich obrotów kart w ręku szulera, zamieniającego dwójkę w trójkę lub asa; a obok tego wystaw sobie oczy adwokata, lichwiarza i żyda, a będziesz miał cały własny oczu moich wyraz. Słowem, oczy moje są w najnowszym dzisiejszym guście. O garderobie tyle tylko powiem, że mam świąteczną i powszednią, parasol, kapelusz i jeszcze wiele rzeczy, które u mnie wiszą na ścianie. Koncząc zaś ten opis, dodaję, iż nie bez przyczyny go uczyniłem: miło znać człowieka wprzód, nim się jego pismo przeczyta. A gdy teraz, znając mnie powierzchownie, otworzysz Lawatera i Galla i z nich o mnie wyrok wydasz, mam nadzieję, iż powiesz, że co ja napiszę, to być musi doskonale. — Ale cóż to mi się wyszło? — własna pochwała! która, w infimie jeszcze słyszana, przywodzi mi na pamięć przysłowie: *propria laus sordet*. Niegodziwa pamięć! ona zawsze coś z kąta wywlecze, czego człowiek najmniej się spodziewa. Ale piszmy dalej.

Jednego zmroku, kiedy w naszym mieście zapalano latarnie, gdyż to było po pełni: kiedy w szynkach odzywała się harmonijna muzyka kieliszków, a szajne-katerynka przygrywała chrapliwym głosem: kiedy nareszcie drążki latały jak opętane, wyszedłem w moim płaszczu z parasolem dla powagi i w kapeluszu na wieczorną przechadzkę, w celu zajrzeć gdzie w okno, podsłuchać co gadają, lub zebrać skąd wzorek. Szedłem tedy pomijając oświecone drżącym światłem

kramiki, przeskoczyłem parę razy rynsztok, wzdęty i z szumem unoszący resztki doczesne pantofli i garnków, i wśliznąłem się na plac pod ratuszem. Tu widok mnóstwa zgromadzonych osób zachęcił mnie do śledzenia ich rozmów i czynności. Naprzód mi wpadło w oko obłęzenie worka starozakonnego izraelity przez dwóch asesorów, dręczących go niemiłosiernie o pożyczenie pieniędzy. Błade lica Moszki, a rumiane policzki asesorów, których surduty poblakowały na usłudze kraju, ka-zały mi się domyślać blizkiego szturmu i że izraelita układał się o warunki kapitulacyi. Niewiele tu i zrozumiałwszy i skorzystawszy, udałem się dalej, gdzie dwóch zacnych panów rozmawiało z sobą. Jeden otyły, wsparty na lasce z gałką połączoną, rumiany jak kucharz, z ogromnym kapeluszem i dewizkami półłocciowemi, mało mówił, ale tak wypaźnie, że się ni chwili nie wahał, że to być musi obrońca więcej dającego, czyli adwokat. Drugi chudszy, który zapewne nie miał czasu utyć na urzędzie, z ogromnemi bokobrodami, z rudawym wąsem, z szyją pływającą w ogromnej chustce, w kapeluszu zwiastującym zwolennika mody i fraku eleganta, więcej patrzył i słuchał niż mówił. Ale jakem tylko o eksdywizyi zasłyszał, uciekłem, bojąc się, aby ta zaraźliwa choroba na mój kapelusz i płaszcz nie padła.

Zbliżałem się nareszcie do końca placu, kiedy mi wpadł w oczy jeden z moich dobrych przyjaciół, pocziwy, niech go P. Bóg kocha, pan Epifani Szperka. Oparty o drzewo gryzł jabłko. Nie mogłem się nim nacieszyć, tak wyborną miał minę, i zaczynałem sądzić, że zapewne jak ów szczur, porzucawszy Woltera, musiał się gdzieś dobrać do skarbowej mąki; gdy poprawiwszy na moim garbatym nosie okularów, dostrzegłem, że mój przyjaciel miał frak z dekatyzowanego sukna, także spodnie, białą chustkę i jakąś kamizelkę. Zdumiony tym widokiem, chciałem pójść po wytłumaczenie tak cudownej przemiany do Owidiusza, kiedy mój kolega, wpatrując się we mnie, poznał mnie i zbliżył się, choć poufale

jak na człowieka nagle wzniesionego do dekatyzowanego fraka, ale jednak znacznie powolniej jak dawniej. To ten frak przekłty, pomyślałem sobie, tak go odmienił. Póki chodził w prostem odzieniu, póty inaczej głowę nosił; jak tylko dorwał fraka, tak już w niebo pluje. Tym to sposobem ja nieco porywczy w sądzeniu, jakby mi kto za to łapę wysmarował, źle myślałem o przyjacielu, który mnie tymczasem uściskał dość delikatnie i oznajmił, że dostał sukcesyjkę po bogatym stryju. Słyszając taką wiadomość podskoczyłem z radości, ale wtem zachmurzyło się czoło P. Szperki; myślał, że w tem jakie osobiste upatruję widoki. Gdy mi jednak wytłumaczył, że z jego tylko szczęścia czułem się szczęśliwym, dziedzie 500 złotych wspaniale na kotlety mnie zaprosił, czego, jako człowiek literackim obdarzony apetytem, nie odmówiłem.

Na kotlety? ozwie się może nie jeden czytelnik, a cóż w nich osobliwego? — O! były to istotnie osobliwsze kotlety: proszę cierpliwie do końca mię słuchać.

Ciągnęliśmy sobie wzajemnie, szarpiąc się przez cienny jakiś korytarzyk, w końcu którego z dziwaczną układnością mój Szperka trzykrotnie zapukał: usłyszeliśmy z drugiej strony za drzwiami głos sympatyczno-cienko-drżący. Mój przyjaciel odezwał się hasłem: otwórz Józio! — i jak przed Orfeuszem piekła, przed nim otwarły się podwoje tego domu tajemnic. Weszliśmy znowu do korytarza, a drzwi za nami prędko się zatrzasnęły. Postępowaliśmy tedy wśród egipskich ciemności; P. Epifani nucił pod nosem śpiewkę:

Hej no! piękna Rózio,
Nie droż się nam z buzią;

ja zaś nadstawiałem ucha na szczególniejszego rodzaju dźwięki, wychodzące z bocznego pokoju. Śmiechy i głośnie żywa rozmowa odbywała się wewnątrz, my zaś kierowaliśmy błędne nasze kroki w stronę, z której wychodziła. Ujrzelśmy naprzód w koło ogniska tłumy kucharek i kucharzy, mnóstwo pa-

tehn napelniało ten przybytek gastronomiczny słodkim dla nosa zapachem kotletów; ale mamże ci opisywać czytelniku widok, który mnie uderzył na wejściu do pokojów? Widzę, że tego po mnie wymagasz, słuchaj więc! Ujrzałem powiewającą sutannę obok sukni kobiecej, łysinę kleryka spoczywającą na łonie restauratorki. *Horrendum!* wykrzyknąłem zdziwiony, a P. Epifani milezenie mi nakazał, wchodząc do boeznej stancyjki, skądśmy mogli widzieć wszystko, nie będąc widziani. Chociaż ciekawość moją najbardziej zajmowały szarmanckie i wcale nie platoniczne westchnienia kleryka do restauratorki, nie mogłem się jednak wstrzymać, żeby nie obejrzeć pokoju, w którym byłem.

Była to ciupka z dwoma oknami, do połowy tajemniczą, merynosową firanką zasłanionemi. Parawan zasłaniał łóżko gospośi tak uprzejmej dla gości. Nad niem był krzyżyk i portret nieboszczyka męża, którego nigdy nie było na świecie, ale trzeba było tego portretu dla syna, urodzonego *juro caduco*, żeby też przecie widział, że miał kiedyś ojca. Dwie świece paliły się na stołach przygotowanych do jedzenia. Na jednym z nich łapczywie dojadł kotleta i kostkę oblizywał milionowy plenipotent, o którego majątku różni różnie gadają. W drugim końcu toczyła się rozmowa dwóch biegłych prawników, którą zakończyła butelka wina. W innem miejscu młodzik dopijając kawy trzymał za rękę dziewczynę, pod pozorem aby mu nie uknęła, chociaż jak mi Bóg miły, dziewczyna tyle chciała uciekać, ile i panicz. Przysunąłem się do kopersztychów i w prostocie ducha, pierwszy raz je zobaczywszy sądziłbym, że miejsce, w którym zostały umieszczone, musi być gabinetem anatomicznym; ale tam gdzie dają kotlety, cóż mogą robić te i tym podobne wyobrażenia. Zkolei spojrzałem znowu na rozczulonego kleryka; stały przed nim talerze i sztutce, w przyzwoitym porządku rozłożone; stąd niemylny domysł, że jego świątobliwość naczeco unizgów nie odbywa. Minę miał wesołą, błyskały mu oczy, polyskiwały policzki, uśmiech wdzierał różane

usta, słowem był szczęśliwy, ile nim być można przy boku ładnej dewotki, która równą ma skłonność do księży jak do nabożeństwa.

Wpatrywałem się długo w tę parę, ale widząc między nimi ciągle dobrą harmonię, obróciłem się w inną stronę. Plenipotent unizgał się już do służącej; adwokaci porzucili spór prawny i obrócili się ku nowo przybyłej Józi; młodzik żywo coś szeptał na ucho swojej dziewczynie; słowem wszystko było tak, jak bywało i dotąd bywa na świecie. Ach! pomyślałem sobie: otóż to kotlety! i z nieboszczykiem burmistrzem Cyceronem wykrzyknąć chciałem: o czasy! o obyczaje! o kotlety! — ale gdym moją perorę do kleryka chciał zastosować i ku niemu się obrócił, drzwi z jego strony się zamknęły i najpiękniejszy widok rozczulonego teologa zniknął mi z oczu. Ale i cały urok otaczający mnie zniknął powoli i ja oddaliłem się nareszcie z głową pełną myśli i kotletów.

Lecz że zazdrość w moim charakterze nie ma miejsca, to czem mię godny przyjaciel Szperka poczęstował, oddaję nawzajem Bałamutowi. Proszę ten podarunek tak dobrem przyjąć sercem, z jakim ja go daję, a nie uważać, że dłuższy wstęp jak rzecz sama; zależy to od zapachu i natężnienia, którym rozkazywać nie można.

Oczekując nowego zdarzenia do napisania znowu słów kilku, zostaję szczerem a dobrem sercem, mnie wielce mościwego pana a dobrodzieja Bałamuta.

z braterskim affektem

najniższym służą i przyjacielem

K. F. Pasternak.



II.

DZIAD I BABA.

Był sobie dziad i baba,
Bardzo starzy oboje,
Ona kaszląca, słaba,
On skurczony we dwoje.

Mieli chatkę maleńką,
Taką starą jak oni,
Jedno miała okienko.
I jeden był wchód do niej.

Żyli bardzo szczęśliwie,
I spokojnie jak w niebie,
Czemu ja się nie dziwię,
Bo przywykli do siebie.

Tylko smutno im było,
Że umierać musieli,
Że się kiedyś mogiła.
Długie życie rozdzieli.

I modlili się szczerze,
Aby Bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze,
Zabrała dwoje razem.

Razem? to być nie może,
Ktoś choć chwilą wprzód skona,
— „Byle nie ty nieboże!”
— „Byle tylko nie ona!”

— „Wprzód umrę — woła baba,
Jestem starsza od ciebie,
Co chwila bardziej słaba,
Zapłaczesz na pogrzebie.“

— „Ja wprzód moja miła,
Ja kaszlę bez ustanku,
I zimna mnie mogiła,
Przykryje łada ranku.“

— „Mnie wprzód! — Mnie kochanie!
— Mnie mówię! Dość że tego,
Dla ciebie płacz zostanie!“
— „A tobież nie, dlaczego?“

I tak dalej i dalej,
Jak zaczęli się kłócić,
Tak się z miejsca porwali,
Chłatkę mieli porzucić.

Aż do drzwi, puk, powoli:
— „Kto tam?“ — „Otwórzcie proszę,
Posłuszna waszej woli.
Śmierć jestem, skon przynoszę!“

— „Idź babo drzwi otworzyć!“
— „Ot to, idź sam! jam słaba,
Ja się pójdę położyć...“
Odpowiedziała baba.

— „Fi! śmierć na słocie stoi
I czeka tam nieboga!
Idź, otwórz z łaski swojej!“
— „Ty otwórz moją drogą.“

Baba za piecem zeicha,
Kryjówki sobie szuka,
Dziad pod ławę się wpycha...
A śmierć stoi i puka.

I byłaby lat dwieście,
Pode drzwiami tam stała.
Lecz znudzona, nareszcie
Kominem wleźć musiała.

III.

PAN I CZŁOWIEK.

Jechał pan ulicą na tegim rumaku.
A było błoto.
Ja sobie szedłem w szarym kubraku.
Bokiem, piechotą;
Aż słyszę, pędzi. Aj! z drogi, z drogi.
Gotów stratować!
A więc ja w nogi.
Biegłem się schować.
Lecz pan znajomy! Co to za łaska.
Od wszystkich stroni
A z bicia trzaska,
Woła mnie, goni.
Stałem.
Jedzie, — ja nisko,
Kapelusz zdjąłem;
On tuż, tuż, blisko,

Końskimi nogi,
Pędzi z łoskotem,
Staął, przywitał: — „Jak się masz drogi?“
I całkiem zbryzgał mnie błotem.
I wdajże się tu, wdaj się z panami!
Nie roztrątuje który, to pewnie popłami.





IGNACY CHODŹKO

(ur. 1795 † 1861).

❧ SAMÓWAR. ❧

Któż w Litwie nie zna starego Muchina! któryż dom nie ma go przynajmniej raz na rok gościem? od kogóż odlegli od od miast mieszkańcy, dostają wybornej lub miernej, w miarę jak chcą płacić herbaty? któż dostarczy ciepłego przed zimą tułuba? smacznego na post kawioru? słodkich dla paniczów i panienek konfitur? na które swoje coroczne małe gromadzą dochody. Zna on już wszędzie po imieniu każdego, każdego dawnym mianuje przyjacielem, każdemu ma coś do przypomnienia; dla wielu przywozi ukłony i nowiny o zdrowiu od daleko mieszkających krewnych lub przyjaciół; słowem on tu w Litwie ma pewno więcej znajomych i dłań uprzejmych, niżeli w swej rodzinnej stronie. — Ten tedy Muchin, w mroźny styczniowy poranek, w wigilią Trzech Króli, zajechał przed dom folwarczny rozległego zabudowania, którego dziedzie płacąc nieuważnej młodości długi, zbankrutował nakoniec; i opuściwszy staroświeckie pradziadów swoich gniazdo, popędził się w świat za fortuną, która mu z własnego domu uciekła.

• Muchin wie czego komu potrzeba; po serdecznem więc przywitaniu się z gospodarzem, gdy mu towary przynieść rozkazano, dobywał tułuby z doskonałych macie dla jegomości, błamy kotów i okopconych zajęcy dla imości, a płócienna, rypsy i nienajlepsze perkaliki dla pańienek. Ale na ten raz Muchin się oszukał: bo pan Baltazar Sularski, w ciągu roku, który przedzielił bytność tu kupca, z ekonoma został właścicielem części majątku rozdzielonego między dłużników rozrutnego dziedzica, któremu własne jego dochody pożyczając jak swoje, naliczył sobie należność, i za nią usadowił się wiecznem a wilezem prawem na folwarku, gdzie wprzód ekonomską zajmował gospodę. W przeszłym jeszcze roku Muchin nie już w pałacu, a wiele na folwarku utargowawszy, poznał na co się zanosz i przepowiedział zły koniec dziedzicowi, i dlatego prosto już teraz przed folwark zajechał. Wniósłszy do izby towary, spostrzegł w niej niejakię odmianną; była na nowo wybieloną, na miejscu zedła stała kanapa, którą on niegdyś w pokojach dziedzica widział; przed nią stolik czeczotkowy, kilka krzeseł koło stolika, na ścianach na miejscu pobożnych obrazków, cztery pory roku, Venus à la Titien i historyja syna marnotrawnego. Ha! pomyślał stary lis, coś tu inszego pokazać przyjdzie. Jakoż z oburzeniem odrzuciły imość i pańienki wszystko co przyniósł, a jegomość objaśnił zdumienie Muchina wykrzykując w pełni ukontentowanej miłości własnej: „Ja tu już pan! panie Muchin, ja pan! djabli wzięli mego pana! podkomorzyca: a teraz ja tu pan!” — *No pozdrawiam! pozdrawiam!* rzekł Muchin; napijemy się wódeczki, na zdrowie pańskie! to dobrze! to wysmieniecie! *ja etemu oczeń rad!* I imość kochanińka! i pańienki *teper barysznie!* *eto charaszo!* *eto oczeń charaszo!* — Tymczasem mruknął kilka słów niezrozumiałych towarzyszowi, a gdy ten zabierał wszystkie towary i wynosił, Muchin wyliczył długi regestr innych, przy każdym dodając zalety i nazwiska kupujących; gdy wspomniiał czaj i samowary, panna Salomeja, starsza córka ichmość gospodarzy, podsko-

czyła raźnie, jakby starego Muchina pocałować chciała! „Ach! samowary, papuniu, samowar i *czaj*: wszak to wszędzie piją herbatę z rana i wieczorem nawet, a my tylko jedni lipowym kwiatem i dziewanną dusić się musimy: papa dalibóg musisz kupić samowar. czy Pan Bóg papie nie dał. chwała Bogu, teraz i majątku? czy niema za co?” — „Ej! co tam bredzisz. ofuknął się jegomość, idź precz z tym twoim samowarem; ot napijemy się z pocziwym Muchinem żytniej herbaty, to lepiej będzie; do waćpana panie Muchin.” — Salomeja widząc, że idąc tak otwartą drogą nie trafi do celu, pociągnęła nieznacznie mamę za suknię, wyszła do alkierza, a za nią i mama: tam z płaczem przełożyła mamuni, że nigdy zamaż nie wyjdzie, „kiedy tak, rzekła. żyć będziemy jak dotąd, bo nikt nie bywa u nas. więc któż nas obaczy? a choćby kto i przyjechał. czy my po ludzku przyjniemy; ot pan assesor może i do prawdy ma się do mnie, bo nieraz powtarza, że mnie kocha; ale cóż? kiedy jak tu przyjedzie. to jegomość wita go pierwszym słowem: „Ja podatki opłaciłem” — traktuje potem prostą wódką, a dla koni nie dają obroku: i czy mało ktoby się zdarzył“... — Nu dak co? przerwała mama, chcąc dopomódz losowi córeczki, czegoż trzeba? — Trzeba mamó kupić samowar i herbaty. mieć czem przyjąć i potraktować gości! czy mama nie potrafi jak i drugie gospodynie zasiąść pięknie za stolikiem, nalewać herbatę i prowadzić rozmowę? czy mama nie widziała ludzi i świata?... — Da to prawda, czy mało gdzie ja była, i czy mało co widziała!! — Salomeja tym sposobem wzruszywszy w sercu mamy i miłość rodzicielską i miłość własną, była pewną swojego. — Niechże mama idzie, dodała całując jej rękę, i niech jegomość kupi samowar. — Da kupi, pewnie kupi, rzekła mama i obie wyszły z alkierza. — Pan Sniarski tymczasem potrójną odbywszy z flaszki kolejkę z Muchinem, dobił targu o tułub, i wnet się weni ustroiwszy przechadzał się rozkosznie po izbie, podejmując go u pasa obiema rękami w górę, bo był za długim na niską i krępą figurę je-

gomości. „A co duszko? widzisz w jakim ja sobie tułubie? powlekę go sukniem i dam kołnierz ze starej *miedźwiedzi* nieboszczyka podkomorzego, którą na licytacyi w czasie eksdywizyi kupilem, ot będę miał i *miedźwiedzie*“. — Da mniejsza o twoje miedźwiedzie! ot waszeć jegomość (bo pani Sularska dla której przez lat 30 mężuło był *waszecią*, trudno do jegomości przywyknąć mogła, i najczęściej etykietalne i nałogowe zwanie męża razem łączyła) ot waszeć jegomość kup lepiej *samowar* i *herbatę*! — Co znowu z samowarem? na co tobie duszko on potrzebny? ja piję z rana wódkę i ty czasami mnie pomagasz: no i kawę zgotujesz kiedy jaki mości pan przywlecze się; córki niech piją mleko, niechaj sobie i dziewannę z miodem... — Ot waszeć bałamucisz, przerwała imość. i po wszystkim: chcesz gdyby ciebie ludzie znali, chcesz córki zamaż powydawać, a nie chcesz żyć jak ludzie! — Papo wszak mówił, onegdaj, odezwała się pokornie Salomeja, że chce zostać sędzią granicznym. — Ale sędzia! a czy ten samowar robi mię sędzią? — Poparł całą swą wymową żądanie imości i panienki, Muchin; jeszcze razy ze trzy imość traktowała go wódeczką, a za każdym razem Muchin podwyższał cenę samowaru, obawiając się, aby udobruchawszy się, nie zapomniał się, i nie stracił na przedłużonym targu. Nakoniec jegomość *volens nolens* uległ rozkazom żony, prośbom córki i radom Muchina, który odebrawszy podwójną wartość samowaru, zaniósł go z poważną i pontyfikalną miną na stół, w kącie jakby umyślnie na przyjęcie dostojnego a błyszczącego gościa przygotowany. Funt herbaty dopełnił reszty kupi, i pan Sularski ostatnią z Muchinem z flaszki wychyliwszy kroplę, po kilkakrotnem zapewnieniu kupca, że nigdy nie minie tak *czestnych* gospodarzy, zostali wzajemnie z siebie kontenci.

Nie mogła się nacieszyć panna Salomeja z nowego naczynia! Ustawiała go rozmaicie na stoliku, przypatrywała mu się z siostrzyczkami i braciszkiem Mateuszkim, i z daleka i z bliska: rozbierała go na części, exenterowała wewnątrz,

ale zawsze w duchu przyznać musiała, że ani sama, ani nikt w domu nie wiedział jak postąpić, aby przygotować herbatę na samowarze. Nagle myśl ją wielka objęła! jutro imieniny papy!! jutro... i znowu skoczyła pędem i znowu pociągnęła mamę za suknię do alkierza.

Wiesz co mamó? — Nu dak co? — Jutro imieniny jegomości. Trzech Króli, Kasper, Melchior i Baltazar! — Aha! nu dak co? — Zrobim mamó siurpryzę! — Co to jest siurpryzę? — czy to pieczono czy gotowano? może wiele trzeba jajek i masła? a tu niema: a może jeszcze czego i z kramów? — Ale nie mamó! nie! — Waszeć Salomciu niepotrzebnie u pani sędziny nauczyła się pańskich fumów! my szlachta, na co nam to potrzebno! tak daj pokój tym syr... sur... jak tam gadasz! — Ale mamó to nie potrawa, to co innego! — Nu dak cóż! — To znaczy, że mimo wiedzy jegomościowej zaprosimy na jutro gości, wydamy herbatę z samowara, i obejdziemy imieniny papy; siurpryza znaczy to, że jegomość tego się nie spodziewa, i wiedzieć o tem nie powinien. — Nu dak co? dak trzeba powiedzieć jegomościu? — Zniecierpliwiona córka taką niewyrozumiałością mamy, „ale co imości dzieje się“, rzekła i zaczęła obszerniej i jak można najjaśniej tłumaczyć swoje plany; a że na końcu matka nie powtórzyła swojego: nu dak co? więc milczenie wzięwszy za zgodę i wyrozumienie, wyszła z alkierza panna Salomeja i do dalszych zabrała się na jutrzejszą fetę przysposobień.

W opustoszałym ginachu, pozostałym dziedzicowi od rozdzielonych obszernych wiosek, jakby na pomnik grobowy dostatniej jego przedtem fortuny, mieszkało jeszcze dwóch sług jego: stary Michał, kucharz jeszcze dziadowski, duszą i sercem przywiązany do rodziny panów swoich, których trzem pokoleniom wiernie służył. Płacząc on codzień nad zniszczeniem ostatniego swego pana, którego na rękę wypiaśtował, pilnował

ścian pałacu, i zazierał niekiedy do kuchni, rozmyślając sam o przeszłości z uczuciem takim, z jakim stary wojownik patrzy na pola, które niegdyś były placem jego tryumfów. Nienawidził on Sularskich, bo znał, że oni przyspieszyli ruinę panicza, i podzielał tę nienawiść ze współmieszkańcem swoim Józefem, niegdyś lokajem, kamerdynerem i faworytem panicza. Ten włócząc się z panem po miastach, dworach i miasteczkach, przejął obyczaje i manierę sługom wielkich panów właściwą, to jest grubiaństwo i zarozumiałość dla niższych, a usłużność i filuteryę dla wyższych stanów. Nie cierpiał także Sularskich, bo gdy dawniej odnosząc im często rozkazy pańskie połajał ekonoma, zniósł on to cierpliwie i jeszcze imię nieraz pana Józefa na śmietanę zaprosiła; a teraz Sularski kwitując za swoje, nieraz eleganta Józefem chłamek nazwać odważył się i stu bizunami grożąc dodawał: „odpowiem panu twojemu i zapłacę mu, bo taki on hołysz jak i ty“. Oba zaś służyli jak izraelici Messyasza, tak czekali powrotu swojego pana. Zaraz po eksdywizyi pojechał on do bogatego a bezdzietnego stryja swojego, którego jedynym był dziedzicem, z nadzieją możnego odeń wsparcia i powrotu z pieniędzmi do fortuny, a zatem ze sposobnością wyrugowania z niej nowych jej posiadaczy.

Wieczorem w dniu bytności Muchina w jednym z pokojów pałacu, stary Michał siedząc w milczeniu, wiązał siatkę, bardziej z nałogu niżeli z potrzeby, staw bowiem ryb pełny należał do pana Sularskiego; zażywał przytem często tabakę, kiwał głową i wzdychał kiedy niekiedy: Józef, w ostatek niegdyś sajetowego surduta, poprawiał ożogiem ogień w piecyku, palił fajkę z długiego pańskiego cybucha, i przewalając się na łóżku prawil Michałowi androny o swoich dowcipnych sztukach w Warszawie, w Wilnie i wszędzie gdzie bywał, wydarzonych; za każdym nowem jego kłamstwem, Michał kiwał głową i zażywał tabakę; a wtem weszła panna Salomeja do izby.

— Dobry wieczór Michale! dobry wieczór Józefie! — Nieodpowiadając na komplement Michała, a prosto zawsze zmierzający do interesu, a czego waćpanna chcesz, zapytał. — Przyszłam, mój kochany Michale, prosić u was jednej rzeczy! — Jakiej rzeczy? my z łaski waćpanstwa żadnej już rzeczy nie mamy: stoły, stołki, krzesła i kanapy, wszystko a wszystko zabraliście: siedzicie, jecie, śpicie na naszych rzeczach!!! Niech wam Pan Bóg... zatrzymał się stary... grzech przeklinać pomyślał: dokończył więc odmieniając przekleństwo na życzenie, niezupełnie wszakże życzliwym być mogące: niech wam Pan Bóg po sprawiedliwości dopomaga: czego waćpanna chcesz? — Panna Salomeja zaróżowała się ponsowo na tę apostrofę staruszka, jednak cierpliwie zniosłszy, „nie o to idzie kochany Michale, rzekła, ja nie brać od was nie chcę, ale przyszłam prosić, abyście mnie nauczili jednej rzeczy“. Grzeczniejszy Józef od Michała, wstał przecież z łóżka i zapytał: czegoż takiego chce panienka nauczyć się od nas? — Mój papa kupił dziś od Muchina samowar! — Ehe! już i samowar od Muchina: lepiejby kupił garnków od Ławryna, mruknął uszczypliwy Józef. Znowu rumieniec wstydu oblał piękną buzię Salomei, ale jakby nie słyszała gorzkiego konceptu, kończyła: — ja wcale tego nie chciałam, bo na co nam potrzebne, ale cóż? ojciec uparł się i kupił: otóż proszę kochany panie Józefie nauczyć mnie jak robić herbatę na samowarze. — Herbatę na samowarze? powtórzył niedbale pan Józef poprawiając znowu ożogiem w piecu, to wielki zachód! — Zdaje się, że nie tak bardzo, ot wszak tu jest ogień i żar, ja każę przynieść samowar, a Józef tak będziesz dobry, że mnie pokażesz jak co zrobić, będę starać się odslużyć tę łaskę panu Józefowi. A dlaczegoż koniecznie dziś? już późno, węgle nie wypalone, będzie czad! pochorujęm na głowy i nic więcej: niechaj którego tam dnia innego, to obaczymy. — Ale bo mój Józefie, ale bo widzisz... Panna Salomeja nie chciała powiedzieć przyczyny pośpiechu, lecz nie było innego sposobu zobowiązania Józefa, więc odwa-

żyła się nakoniec; bo widzisz mój kochany Józefie, jutro Trzech Króli. — Aha! jutro Trzech Króli. odezwał się Michał, wielkie święto! nieboszczyk pan stary, niech Bóg świeci nad duszą jego, zawsze w wigilię Trzech Króli pisał sam swoją ręką kredą jakieś święte litery na każdych drzwiach, i powiadał: tędy bieda nie wejdzie; i chwala Bogu, za jego czasów nie weszła. Ale po nim nikt liter nie pisał i... tu zażył mocno tabaki, pokiwał głową, westchnął głęboko, i znowu siatkę wiązał spokojnie. Dowcipna Salomeja wnet schwyciła za węgiel i rada, że się przypodoba staremu, — „ja kochany Michale, rzekła, tymczasem choć węglem napiszę na waszych drzwiach te trzy litery: właśnie tylko co ojciec napisał toż samo i u nas, a jutro przyjdę z kredą i przepiszę” — nieszpętną więc rączką ujawszy delikatnie, aby się nie umazać węgielek, napisała Salomeja na drzwiach wielkie K. M. B. Michał trzymając iglicę w niedowiązanem oku siatki, patrzył na piszącą. — Czekaj waćpanna, jeszcze nie wszystko rzekł: jegomość nieboszczyk kładł krzyżyki między literami. — Salomeja podjęła węgielek i położyła krzyżyki. — Nu teraz dobrze, daj Boże waćpannie zdrowie i męża, da Pan Bóg, kiedy nosów w górę zadzierać nie będziecie, jak zaczynacie. — Gierpliwa panienska znowu do Józefa się obróciła, i rozumiejąc, że zapomni o zaczętej powieści: więc, kochany Józefie, nauczysz mnie zaraz o co cię proszę? Ale Józef chciał wyczerpać do dna przyczyny i zamiary panny ekonomówny, domyślał się bowiem czegoś nadzwyczajnego, i postanowił ale dobrze ze zręczności skorzystać, albo odpłacić znakomitym figlem za niegrzeczne przegrózki Sularskiego. — A cóż panienska zaczęłaś mówić o jutrzejszych Trzech Królach i nie skończysz? dla-czegóż koniecznie jutro potrzeba herbaty z samowaru? czy będą goście jacy? — Otóż to widzisz, kochany Józefie, jutro imieniny papy. — Jakiej papy odezwał się znowu Michał, papa to chleb; a kiedyż to imieniny chleba? — Nie, Michale, to imieniny naszego ojca; wiesz, że jemu imię Baltazar, a teraz

to zwyczajnie ojca dzieci nazywają papą! — Dawniej, odpowie Michał, dzieci chleb nazywali papą, a ojca tatulą; ale to wszystko jedno, zawsze ojciec dzieci swoje chlebem karmi, więc i to papa i to papa. — Po tej moralnej uwadze znowu Michał siatkę wiązał. — Otóż mój kochany Józefie, może jutro ktoś zdarzy się do nas, toby ojciec był rad, gdyby dać herbatę z kupionego samowara. — A któż może się zdarzyć? chyba zaprosicie kogokolwiek sami. — Mama podobno ma prosić z kościoła na podwieczorek i na herbatę panią sędzinę z córkami; podobno będzie pan asesor i jeszcze tam kłokółwiek może. — A to co innego, to będą huczne imieniny pana Sularskiego; no! to sprawiedliwie, trzeba dać herbatę z samowara. — Więc Józefie ja pobiegnę po samowar. — Na co to potrzebne; jutro jak się zbiorą goście, panienka daj mi znać, ja przyjdę do piekarni, i tam wszystko należycie urządzą. — Ale bo mój kochany Józefie, jak czasem jutro w domu nie będziecie, a my naprosimy gości! — Kiedy ja panience daję słowo, że nigdzie nie oddalę się i będę czekał tu na miejscu, bądź panienka spokojna! — Zmiłuj się kochany Józefie! i sam herbaty się napijesz, i podwieczorkiem potraktujemy, i jeszcze postaram się chusteczki jakiej na szyję dla Józefa. — Nu dobrze, dobrze, idź waćpanna spać, a jutro wszystko pójdzie jak najwyśmieniej. — Niedowierzając pauna Salomeja szalbierskiemu uśmiechowi pana Józefa, jeszcze mu powtarzając prośby raz i drugi dygnęła. Po uroczystych nakoniec zaręczeniach poszła do domu, zostawiając Michała już drzemiącego, a Józefa zamyślonego nad wyborem swego jutrzejszego postępowania. Ważył on na jednej stronie zyski swoje: podwieczorek, herbata i chusteczka! na drugiej śmiech, wstyd i złość dla Sularskich; ważył, rozważał, miarkował. — i jak to najczęściej bywa na świecie w wyższych i niższych stanach, zło przeważało; zasnął więc wybierając tylko sposoby swej zemsty.

Nakryto pięknie stół, a zebrani liczni goście obsiedli go dokoła; imieninki Sularskiego wybornie obchodzono. Pani sędzina, prima donna tej fety, z trzema córeczkami rówieśnicami w wieku trzech panien Sularskich, w wybornym była humorze! Pan assesor, zalecający się na przemian to do starszej panny sędzianki, to do starszej panny bywsej ekonomówny, znajomej nam pauny Salomei, w wybornym był humorze; jego sekretarz, człek tłustych policzków i bogatego wąsa, poglądający z rozkoszą na sporą karafkę czerwonej cieczy w rezerwie na kominku stojącą, wróżąc jej smakowity wkróćce użytek, w wybornym był humorze; pan komornik byłej tu eksdywizyi, przybyły po resztę od kopca doliczanych solariów i odebrawszy je od pana Sularskiego z sowitowością, w wybornym był humorze. Sam jegomość dobrodziej, gospodarz i solenizant, w nową, czarną, suto taśmami oszamerowaną był odziany węgierkę, szeroka jedwabna zielona na szyi chustka w długich końcach spadała mu niedbale na piersi i łączyła się z łańcuszkiem od zegarka za nadrę wypełnitym, a tym sposobem grubopłaska figura jegomościa na dwie szerokie połowy bławatno-złocistą wzdłuż się przedzielała pręgą; grzeczni goście w niedostatku koniecznego dlań tytułu, nazywali go bez różnicy to skarbnikiem, to rotmistrzem — ustrojony więc i utytułowany pan Sularski w wybornym był humorze. Jejmość nakoniec, poglądając z rozkoszą na swoje trzy pociechy, rzeczywiście piękniejsze od trzech panien sędzianek, podchodziła do jegomościa i szeptać mu na ucho tę sprawiedliwą swej radości przyczynę, gładziła go pod brodę i ze szczególniejszem przymileniem pytała poinrukiwającego mężula: „Nu dak coś duszko? Nu dak co?“ a to oznaczało wyrażnie, że w wybornym była humorze. A tak cała zebrana czereda w najpiękniejszym usposobieniu około stolika, jakim to powiedział, osiadła.

Tymczasem Józef, dotrzymując wczorajszej obietnicy, za daniem mu hasła przystawił się na przeciwek i już od pół

godziny z młotkiem pracował około samowaru, dowodząc pannie Salomei, że zepsuty samowar kupiono, że go klinować i naprawiać musi. Samowar był wyśmienity i cały; na co zaś ten ladaco godził, skutek to potem okazał! lecz nie uprzedzajmy w opowiadaniu kolei ważnych dnia tego wypadków!!!

Dwoma przeciwnemi sobie elementami, wodą i ogniem napełniony samowar, wzniosł oburącz Józef i, powolny prośbie panny Salomei, zadarłszy jak najwyżej swój nos w górę, raczył wnieść do pokoju i postawić wśród gości na stoliku to nieszczęściem brzemienne naczynie. Natychmiast Salunia z niewymownym wdziękiem piękną swą rączką na wierzchołek kurzącego się komina czajnik wzniosła.

O dziewico! dlaczegoż tyle wiesz o sile pary, ile przed stu laty najwięksi filozofowie wiedzieli! dlaczegoż nie wiesz, że ona dziś pędzi okręta przez morza, pędzi wódkę w browarach! że hamowana rozrywa! ale dziewica siedzi najspokojniej przy panu asesorsze i nim w czajniku herbata naciągnie, słucha z miłym uśmiechem jego duserów.

Kipi war, syczy, niecierpliwie mocując przybitem wiekiem. „Czas nalewać herbatę“ — odezwała się pani sędzina. Panna Salomeja powstaje i chce ująć czajnik; pan sekretarz ujmuje za butelkę czerwonej cieczy... a wtem... zrywa się wieko samowara i, ulatując do góry, wywraca imbryk, który spada na głowę kochanego pieszczotki Mateuszka i gorącą go po twarzy i uszach oblewa herbatą; wierzch spadając, trafia na łysinę papuni, który jęczącym oj! oj! oj! zawtórował wrzaskom dziecięcia. Tymczasem nagle uwolniony war, prysnąwszy gwałtownie na oczy, twarze, nosy i gorse osiadłej około i zamoderowanej męskiego, żeńskiego i nijakiego rodzaju gawiedzi, jak lawa z krateru gorącymi potokami się rozlał; na dobitkę, w powszechnem zamieszaniu i wrzasku, ktoś trącił nieostrożnie modny na jednej nożce stolik — wywraca się samowar i raptem półwiadrem waru podlewa obró-

conych tyłem do stolika: panią sędzinę i pana komornika, a panu assessorowi, ocierającemu właśnie trzewiczki na sparrzonej nóżce panny Salomei. w gęstą czuprynę gorącego z żarem nasypuje popiołu. Tu zgiełk i krzyki przeszły wyobrażenie — wszyscy jednym pędem skoczyli do bokówki, uciekając od piekielnego ogniem i warem buchającego smoka; lecz assesor z kurzącą się czupryną wyleciał do sieni i krzyknął: palim się! Na te słowo, przerażeni w bokówce rzucają się gwałtem do okna; w mgnieniu oka wyparte z uszaków i pobite, otworzyły wolny przestwór, przez który, cisnąc się jedno przez drugiego. cała kompania nakoniec w wysokiej hurbie śniegu tuż pod scianą osiadła! Niech mi daruje przezacne towarzystwo w śniegu uwięzłe, gdy powiem, że nie jęczało, nie krzyczało, lecz naksztalt rui wilków, około Gromnic zebranych, różnemi głosy wyło: a co najgorsza, że jak prawie zawsze i wszędzie w złej doli niezgoda wszechyna się między nieszczęśliwymi, tak i tu pani sędzina poczęła lajać panią Sularską, po razy kilka ją „przekłątą ekonomową“ nazywając. Można było darować tak boleśnie podlanej sędzinej, i pani Sularska skłomną być się okazała do puszczenia płazem obelgi. bo tylko zawołała: „Nu dak co? że ekonomowa? nu dak co?“ Ale panna Salomeja, obok matki w hurbie siedząca, wcale niegrzecznym sposobem pomściła się za mamę, wykrzykując: „Ach! waćpani sędzina! osobliwość! Sędzina! osobliwość!“ — i byłoby dalej zaszło, lecz wybiegła czeladź, a na jej czele z zalanym pożarem na głowie assesor i sekretarz jego z butelką czerwonej cieczy w ręku, którą arcy-przytomnie z powszechnego uratował zniszczenia. Wydobyto niektórych, niektórzy sami wybrnęli i powracano do pokoju: nikt nie był bez szwanku, każdy oparzony lub opalony złorzeczył i przeklinał; imościanki, piszcząc i płacząc z bólu, pytały się wszelako jedna drugiej, czy zblakują oblane sukienki? — proszę tu ufać losowi! przed chwilą wszystkim było tak wesoło!

Sam jegomość złapał czającego się za piekarnią Józefa i całą winę nań zwałając, chciał pójść z nim w tuzy; rejterujący się Józef oskarżał pannę Salomeję: „Jam panienkę nauczył jak postępować z samowarem, cóż ja winienem?” Usprawiedliwiony Józef uciekł, a jegomość, wpadłszy z zakrwawioną łysiną do sieni, jednym zamachem dwa smagłe policzki wyciął po pięknej buzi Salomei; ledwo drugiego dokończył, gdy bolesny w plecy kułak dał mu uczuć, że córka ma mścicielkę w mamuni. Chciał więc i żonę aplaudować zapamiętały Sularski, lecz pan komornik stanął w obronie.

Owoż naprzekor wszystkim prawie powieściom kończącym się pospolicie weselem, moja kończy się *n i e w e s e l e m*, — bo katastrofa taka zniweczyła wszelkie nadzieje panny Salomei z oświadczeń pana assessora powzięte, a które świetnym obchodem imienin papy i wyniesieniem się nad dotychczasową ekonomiczną sferę ugruntować chciała. Chociaż bowiem po najrychlejszym odjeździe rozgniewanej sędziny i dalszej kompanii, pan assesor z sekretarzem i komornikiem, z powodu uratowanej czerwonej cieczy, zostali i oną z udobruchanym gospodarzem do ostatniej wysuszyli kropli; wszelako uległa sowitej konfuzji panna Salomeja, nie pokazała się więcej. — „Nu dak co? że ojciec ciebie szturchnął! nu dak cóż? dlatego to nie! ot tylko wstań i wyjdź zaraz” — mówiła do niej matka. — Na tę rozsądną radę Salomeja odwróciła się do ściany i mocniej stękać poczęła: a tymczasem i pan assesor wyjechał, zabrawszy z sobą samowar, który mu pan Sularski, jako przyczynę wszystkich kłopotów, z ukontentowaniem darował.

Gdzież oryginały? zapytasz czytelniku, dla którychby powiastka ta za obrok duchowny służyć mogła? komużby ją poświęcić i, że tak powiem, przypisać należało? — Ach! zejdź czytelniku do wielkich niegdyś hrabstw naszych, na nialutkie dziś przez eksdywizye porozdzielane części; zejdź do tych kilkoehatkowych panków, pragnących piąć się jak kilkodzie-

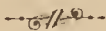
siętni; iluż tam Sularskich! ileż panien Salomejek znajdziesz!
im więc to poświęcam moją powiastkę, z wróżbą niechybną
w godle i z sensem moralnym w takim epilogu:

„Gdy cię los w niskim pomieścił stanie,
„Zbytkiem się nie unoś zdrożnym —
„Lepiej być dobrym Mospa nie,
„Niżeli śmiesznym Wielmożnym.



ALEKSANDER CHODŹKO

(ur. 1804 † 1891).



Na skały ułomku,
Gdzie czystych wód spadek,
Jest domek. W tym domku
Jest babka i dziadek,
Jest anioł dziewczyna
I pies jak gadzina.

O Boże wspaniały!
Raz uchyl mi świadka
I do swojej chwały
Weź babkę i dziadka,
Wnet strułbym gadzinę
I wziąłbym dziewczynę.





FRANCISZEK KOWALSKI¹⁾

(ur. 1799 † 1862).

—> KISZKA. <—

BALADA.

Był to sobie dziad i baba,
Baba Anna, dziad Barnaba:
Żyli zgodnie i pocziwie,
Ale bardzo nieszczęśliwie,
Bo pocziwość źle popłaca
I pocziwych los ugniata,
Pracowali, lecz ich praca
Zawsze poszła gdzieś do kata.

Siedząc sobie raz oboje,
Rozmyślali nędzę swoją:

¹⁾ Tłomacz Moliera, autor niegdyś bardzo popularnych, śpiewanych w obozach, „Piosnek żołnierskich“. Wydał prócz tego zbiór „Fraszek“, 2 tomy „Wspomnień“ i „Legendsy herbowe“ (wierszem). Z zawodu był pedagogiem. We „Fraszkach“ jego jest sporo humoru.

Ona płacze, on w żałobie
Tkliwie tuli ją ku sobie:
„Nie płacz żono moja droga,
Wszak przywykłaś do niedoli,
Prośmy raczej Pana Boga,
Aby odjął co nas boli.

„W wielkiej prawda żyjem nędzy,
Bo nie mamy nic pieniędzy:
Lecz sumienie nasze czyste
Jak to słońce promieniste:
Zdrowie i swoboda złota,
Która bogactw miejsce trzyma;
Gdyż występki, gdyż niecnota
Do serc naszych wstępu niema.

„My ubodzy, lecz poczciwi;
Chociaż los się nam sprzeciwi,
Choć nam Plutus głuchy, niemy,
Z czystem sercem dobrze śpiemy.
Mnie nie smuci dola taka:
Tyś nie dłużna, jam nie dłużny;
Bo ujrawszy gdzie żebraka,
Jeszcze dajem i jałmużny“.

„Moje serce — rzecz żona,
Mniej już trochę zasmucona —
My dajemy jak nam staje.
Lecz nam Pan Bóg nic nie daje!
Cóż więc z tego, że nie dłużna,
Że się tulim jak dwa śledzie:
Kiedy praca nasza próżna,
Kiedy nam się nic nie wiedzie“.

Chciała płakać z nim babina,
Gdy się ozwie głos z komina:
(Bo w ubogiej swej izbinie
Wraz siedzieli przy kominie)
„Dość tych żalów, tej zgryzoły.
Że nie macie kęsa chleba;
Wasza doła, wasze cnoty
Obudziły litość nieba.

„Rozweselcie się oboje,
Błysznią dla was szczęścia zdroje:
Ja wam mówię, niebios goniec,
Że mąk waszych przyszedł koniec;
Niebo was ma w swojej pieczy,
Chce dać szczęście waszej chacie,
Proście tylko o trzy rzeczy,
A natychmiast otrzymacie“.

„Ach Anusiu! głos anioła!
Cóż nie, płaczesz? czyś wesola?
Prośmyż, prośmy, co sił stanie.
Naprzód kışkę na śniadanie.
Jestem głodny moja luba!“
Wnet z komina aż do ziemi
Wisi kışka długa, gruba
I upada tuż przed niemi.

To już jedno. — „Co? w tej nędzy
Ty chcesz kışki, nie pieniędzy?
O! ciesz się nią radośnie,
Niech do nosa ci przyrośnie“.
„Jestem głodny moja luba!“
Wnet się ciężko i z ukosa
Dźwiga z ziemi kışka gruba
I przyrasta mu do nosa.

To już drugie. — „Aj! do licha! —
Krzyknie mąż — ta się uśmiecha;
Dawaj noża! rznij tę biędę.
Jaż mam taką znieść ohydę?“
„Żal mi ciebie, mój Barnabo“ —
Rzeczę żona smutnym głosem
I rznie kizkę. „Stój, stój babo!
Bo się kizska stała nosein“.

„Aj! dla Boga! cóż ja pocznę?
To nieszczęście me widoczne“.
Czując kizkę wciąż u nosa,
Łaje żonę zły jak osa,
Już dwie rzeczy wypełnione,
Jakaż trzecia im została?
Błaga niebios, łajac żonę,
By ta kizska odleciała.

Długa, gruba, nakształt drąga
Wnet się kizska z nosa ściąga.
O trzy rzeczy więc błagali
I trzy rzeczy otrzymali.
Wtem duch rzeknie i ulata:
„Żyćcież w cnotach jednakowi,
Pędźcie w szczęściu setne lata.
Adieu! Adieu! bądźcie zdrowi“.





STANISŁAW STARZYŃSKI¹⁾

I.

KOWAŁ

Rzeško, zwawo, stuku, puku,
Tak do pracy kowal wzywa,
I przy głośnym młota luku
Stary ojciec pieśń tę śpiewa:
Kierujcie się jak możecie,
Ale pamiętajcie o tem,
Że człek każdy na tym świecie
Jest kowadłem albo młotem.

Stuku, puku,
Stuku, puku.

¹⁾ Stał z Zamiechowa, bardzo popularny między r. 1830—1840
piosenkarz i tłumacz.

Błyszczący stal w ogniu — oczęta
Lubej milej błyszczą jeszcze,
Lecz bieda kogo ponęta
W zły niewiasty poda kleszcze.
Dzieci, wierzcie kowalowi,
Dyabeł wichrzy takim stadłem,
Gdzie na przekór rozumowi
Żona młotem, mąż kowadłem.

Stuku, puku,

Stuku, puku.

Jak bez ognia nasze miechy
Węgla w kuźni nie rozżarzą,
Tak bez cnót niema pociechy.
Bo swobodą cnoty darzą.

.
.

II.

ŚMIECH ZDROWIU SŁUŻY.

.
„Zjeżdżilem Niemcy, kraj włoski, hiszpański.
I piszę dzieło, nie powiem ci o czem...”
Rzekł do mnie Gabruś, kawaler maltański.
Tłomok, za jego uwiązany koczem.
Tyle skorzystał co on z tej wędrówki!
Jakaż nam sławę jego podróż wróży!
Śmiech pusty budzą te polskie półgłówki.
Więc się z nich śmiejmy, bo śmiech zdrowiu służy.
Śmiać się jest miło, lecz któż z nas śmiertelnych
Nie ściągnął na się złośliwego śmiechu;

Czyż raz mężuła wśród godów weselnych
Strwożył śmiech gacha w oddalonem echu!
Ja sam, Bóg odpuść, cierniem się uklęknę,
Po kwiat sięgając woniejącej róży,
W oczach łzy stały, lecz choć boleść czułem,
Śmiejmy się rzekłem, bo śmiech zdrowiu służy.

III.

BANELUKA.

Baneluka — mój dziadunio
Ciągłe w ustach miał to słowo,
Czy się bawił z mą babunią,
Czy się nudził książką nową,
Czy gazetę polską czytał,
Czy swego łajał hajduka,
Nawet czy się o co pytał,
Wprzód rzec musiał: baneluka.

Młódź narowy chwytac rada,
A nałóg naturę zowiem,
To przysłowie mego dziada
Stało się wnet mem przysłowiem.
Kto znał starca, kto z nim bawił,
Za jego mnie uzna wnuka;
Dziadku! tyś mi skarb zostawił
W tem przysłowiu: baneluka.

Ileż mi głupstw i kłopotów
Ten wyraz za młodu szczędził.
Gdym do grzechu zawsze gotów
Za rozkoszą klusem pędził;

On w miejsce anioła stróża,
Strzegąc od szwanku nieuka,
Wykrył, że ma ciernie róża
I że miłość baneluka.

Później sądząc, że mozołem
Przyrodzenia tajnie przedrę.
Mądrość chciałem mieć żywołem.
Przybytkiem mędrców katedrę.
Grube czaszki, które zdobią
I tonsura i peruka,
Brednie wasze nie przerobią,
Że i mądrość baneluka.

Patrz na męża, który z tronu
Strącon na ostrów bezludny,
I męczennik Albionu
Klął swych wrogów czyn obłudny:
Ci, co się nim spanoszyli.
Poszli w ślady Mameluka,
A on w cięższej skonu chwili
Rzekł: i wierność baneluka.

.

IV.

OBACZYM Y.

Co przeszło już się nie wróci.
Co dziś widzim także minie,
Ten szalony, kto się smuci
Lub na przekór fali płynie.

Nikt przyszłości nie odgadnie,
Proś go, błagaj, wyrok niemy:
Każdy ślepo stawkę kładnie,
A kto wygra? — obaczemy.

Ta przyszłość, którą człek goni,
Gdy przybędzie? Czem się stanie...
Obecnością — i odsłoni
Czcze nasze za nią wzdychanie.
Jest to widowisko stare,
Wszyscy je na pamięć wiemy,
I ziewając jak za karę,
Patrzym, mówiąc — obaczymy.

„Odkryj mi twoje serduszko,
Zrób mnie najszcześliwszym z ludzi!“
„Zobaczymy moja duszko!“
Tem mnie słowem Zosia ludzi.
Tem słowem kończy polityk,
Kiedy mu wierzyć nie chcemy;
Niem grozi mi wierszów krytyk,
I ja mówię: — obaczemy.

Obaczymy kto swe skronie
W niezwiędły odzieje wieniec
I w rodaków zbudzi łonie
Zapał, którym tchnie młodzieniec.
Któż? ja? ty? on? nie — lecz Adam —
Prym mu wszyscy przyznajemy,
Ja w tej śpiewce cześć mu składam,
Przyjmieź on ją — obaczemy.

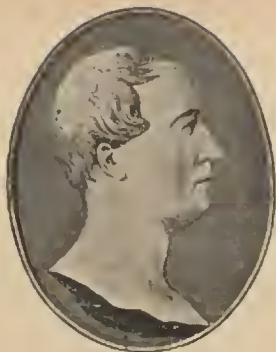
.
.

V.

UKŁAD.

Układ ze mną zrób dziewczko,
Z oczywistym swoim zyskiem:
Dam ci piosnkę za piosneczką,
Ty mi uścisk za uściskiem.
Przy układzie tym obstawaj,
A gdy małe widzisz zyski,
Ty mi piosnek nie oddawaj,
Ja ci oddam twe uściski.





JAN CZECZOT

(ur. 1790 † 1847).

I.

WODA I PARA.

Komu woda okręt niesie, para wóz popycha;
Nam od wody i od pary chudy trzos wysycha.
Rzekę wody w dzień wycadzim chińskie warząc ziele;
Stóg niejeden w dzień tytuniu dymem się rozściele.
Woda z dymem grosz swą siłą ostatni wywłoczy;
Pocim czoła nad herbatą, dym wyjada oczy.
Czas je przetrzeć i dym z wodą ująć pod swą władzą;
Niech gdy suszą nam kieszenie i grosz w nie prowadzą.
Niech przewróci bystra rzeka sztucznych kół tysiące,
A potem się w samowary przelewa gorące.
Niech ogromny dziwną mocą lekki dym rozrucha,
A wstrząsnąwszy tysiąc machin, wejdzie do cybucha.
Anglik wskazał cuda czynić i z wody i z pary;
Nie wielkiej już na naukę potrzeba ofiary.
Wstyd z fajkami nad herbatą zadymionym siedzieć;
O tem, co się dzieje w świecie, nic a nie wiedzieć.

II.

BIEDNY CZŁOWIECZEK.

Biedny bardzo ten człowieczek! co to do żołądka
Zleje kwaśnych, praśnych smaków, zimna, ciepła, wrzątka.
Supy, bifszyk, chrzan, musztardy, ryby, lody, szoda;
Wszystko co zawiera w sobie łąd, powietrze, woda.
I rozwiedzie winem, kawą, piwem i porterem;
Że się stanie brzuch wulkanem, głowa zaś kraterem.
A choć którzy wstrzemięźliwsi jedzą i oczyma,
Wypatrują co na stole, albo czego niéma;
Jednak dobrze rozważywszy zbytków tych rozpustę:
Chcemy zdrowi być i moźni? — jedzmy barszcz, kapustę!

III.

CO TO STARZY ZA WARYACI.

Co to starzy za waryaci,
Mówią bez przyczyny:
Że wiek młody źle się traci,
Siedząc u dziewczyny.

I pędzą mnie do roboty,
A nie wiedzą tego,
Że bez dziewcząt ja ochoty
Nie mam do niczego.

Gdy się chwilkę z nią pogrucha,
Chwilkę się pośmieje,

Serce nowym ogniem bucha.
W głowie rozednieje.

I świat smutną postać zrzuci.
Pracuję wesoly.
I piosnka się wdzięczniej nuci
Między przyjacioly.

Mówcież sobie, siwe dziady.
Co się wam zamarzy;
Posłuchamy waszej rady.
Jak będziemy starzy.



STEFAN WITWICKI

(† 1847).

— . . . —

I.

HULANKA.

Szynkareczko,
Szafareczko,
Bój się Boga, stój!
Tam się śmiejesz,
Tu miód lejesz
Wprost na kaftan mój.

Nie daruję,
Wycaluję...
Jakie oczko, brew!
Jaka biała
Szyjka cała...
Hej, spali mnie krew!

Cóż tak bracie
Wciąż dumacie?
Bierz tam smutki czart!
Pełno nędzy,
Ot pij przedzój...
Świat ten dyabła wart!

Piane nogi
Zbłądzą z drogi:

Co za wielki srom?
Krzykiem żony
Rozbudzony,
Trafisz gdzie twój dom.

Pij lub kijem
Się pobijem...
Biegnij dziewczę wczas;
By pogodzić,
Nie zaszkodzić,
Oblej miodem nas!

II.

SYSTEM FILOZOFICZNY

pewnego Podstarościego od Łukowa, który go wykładał autorowi,
zjechawszy się raz z nim przypadkiem na nocleg pod Węgrowem.

Życ najgłupsze to rzemiosło,
Czy nas licho tu przyniosło!
Gdzieś małżeństwo się zrobiło,
Tobie nie się ani śniło.
A oni cię bytem darzą,
Ochrzczą gwałtem i życie każą,
Róbże co chcesz, głowę susz...
Ani rusz!

Ten świat dziwna to zagadka!
Prawi ci coś ojciec, matka
O jakimś Adamie, Ewie.
Jakimś wężu, jakimś drzewie...

Gdzież sens? Cóż to wszystko znaczy?
Niechaj mi kto wytłomaczy!
Rób ty co chcesz, głowę susz...
Ani rusz!

Ot dalipan i bez sprzeczki,
Świat ten nie wart torby sieczki!
Próbuj szczęścia, zmieniaj stany?
Wszystko bajki! Próżne zmiany.
Choć ty tłucz o ścianę głową,
Zawsze bieda jednakowo!
Róbże co chcesz, głowę susz...
Ani rusz!

Smaczny kielich, w garły grzanka.
Ładny buziak i hulanka:
Chociaż temu ktoś tam przeczy.
Prawdę rzekłszy nie złe rzeczy!
Cóż, gdy tego ksiądz nasz, lala,
Ani liznąć nie pozwala.
Rób ty co chcesz, głowę susz...
Ani rusz!

Czy mam wiele, czy mam mało,
Na cóż mi się to przydało?
Ten człowiek to czyste drwiny!
Odbędzie tu swe godziny,
Coś porobi, coś pogada,
Pokręci się i przepada!
Rób co chcesz, głowę susz...
Ani rusz!

Słowem — przyszliśmy tu w goście,
Potrzebni jak dziura w moście.

I sam ten świat?... Na co? Po co?...
Darmo myśleć dniem i nocą.
Tęgi nam zabito ćwieczek
Do kroćset tysięcy beczek!
Rób co chcesz, głowę susz...
Ani rusz!

III.

ROZMOWA Z MICHAŁEM.

„Cóż Michale tam na dworze?“
— „Deszcz, że człowiek wyjść nie może,
Brzydko panie, zawierucha.
Wiatr szkaradny. Niech pan słucha.
Aż strach, jaka wciąż ulewa.“
— „Więc przyłóż na komin drzewa“.
— „Mam też suche. Niech pan siada.
Oj, tak deszcz okrutny pada“.
— „Dajno książkę tę ze stołu“.
— „Ta co z wierzchu, czy ta z dołu?“
— „Tę, którąś rozcinał zrana...
Ta, ta, daj ją“. — „Proszę pana.
Choć raz muszę się zapytać,
Co pan wciąż tak może czytać!
Ja to o tych książkach słyszę
Proszę pana, co w nich pisze?
Pani musi znać doskonale“.
— „Różne rzeczy, mój Michale.
Historie, różne dzieje,
Przez jakie świat szedł koleje.

Jakie były sławne ludy,
Jakie wiary były wprzód,
Opisują różne kraje,
Wojny, prawa, obyczaje,
Jacy wielcy ludzie byli,
Jacy króle gdzie rządzili,
Co, dlaczego tak się stało...“
— „Na co się to panie zdało!
Dość kłopotu na tym świecie
Myśleć, by człek ważył przecie,
Coto teraz zewsząd bięda:
A to na co to się przyda,
Jeszcze tam dochodzić głową,
Czy naprzykład to, czy owo,
Te tam dawne wojny, straty,
Jak tam było gdzieś przed laty“.
— „Popraw ogień“. — „Pan się śmieje,
A to prawda... Jak deszcz leje!
Wszystko zniszczy... To tak właśnie
Jak dziecko, co to nie zaśnie,
Aż mu bajkę gadaj wprzód,
Praw mu dziwolągi, cudy,
O królewnach tam mospanie,
O Trzech Braciach, o Sultanie,
Że tam ktoś miał skarby, zbytek...
Jakiż panie w tem pożytek?
Dziecko to tam się i bawi,
Matka głupia, to mu prawi“.
— „Jakto stary! Ty powszednie
Bajki, te kuchenne brednie,
Kładniesz w równi...“ — „Nie to panie,
Cóż tam moje proste zdanie!
My zwyczajnie na to ślepi,
Pan czyta to wie najłepiej.

Proszę pana, mnie się roi.
W nich chyba coś więcej stoi.
Jeżeli pan ma wolną chwilę:
Bo to panie ksiąg jest tyle,
Że liczba nie zrachowana.
Różnej formy, proszę pana“.
— „W książkach także jest wykrycie.
Jak trzeba prowadzić życie.
Że tylko prawdziwa cnota
Do szczęścia otwiera wrota.
Żeby ludzie byli zgodni; -
Że zawsze od wszelkiej zbrodni
Praca jest najlepszą tamą“.
— „Proszę pana, toć to samo,
Byle na mszę pójść w niedzielę.
Można słyszeć i w kościele.
A ksiądz człowiek też nie lada,
Różnych nauk dość posiada;
Niejednego, kto zbrodniczy.
Złaje, nawet i wykrzyczy.
Lecz cóż! Panu rzecz ta znana.
Ludzie ludźmi, proszę pana.
Gdy w kościele? to to słyszą.
A z kościoła? to znów grzészą.
— „Więc źle robią, mój Michale“.
— „Bardzo źle. Ja też nie chwale.
Powiedz mi pan z łaski swojej,
Jak w tych różnych pismach stoi.
Cóż też się na przyszłość stanie?“
— „Śmieszne czynisz zapytanie“.
— „Bo to panie najciekawsze.
Czy już tak ma być na zawsze —
Jak jest dotąd? Czy się przecie
Raz polepszy co na świecie?“

— „A polepszy, w jakiejś porze“.

— „Kiedyż panie to być może?“

— „Wtedy, gdy tak jak należy
Rozum z cnotą się sprzymierzy;
Kiedy nauk skarb otwarty...“

— „Proszę pana, wolne żarty!

Od kiedy to w takim trudzie

Tych się nauk uczą ludzie!

Od kiedy już księgi piszą

Co gdzie tylko widzą, słyszą,

W różnym panie tam języku,

To już właśnie, że bez liku!

Według tego, w każdym kraju

Jużby było dziś jak w raju.

A to panie zawsze bięda!

Choć grosz przyjdzie, to się wyda.

Wciąż drożyzna niesłychana...

To nie warto prosić pana.

Cośby się to ludziom snuło“.

— „No, idź już sobie, gaduło!“





RYSZARD BERWIŃSKI

(ur. 1819 † 1879).

WYJĄTEK Z „DON ŻUANA POZNAŃSKIEGO“.

. Pokój niewielki,
Z niskim i brudnym pułapem,
Piec, cztery kąty, w kątach butelki,
Na drzwiach pęk kluczy z harapem.

Stół — kilka krzeseł — na stole karty,
Przy nich omlotu rachunki,
I Mickiewicza „Dziadów“ tom czwarty,
I dwa numera pism Pszonki.

Tak mieszkał Juan i żył szczęśliwy
Dopóki nie znał miłości,
Miał noc spokojną — dzień nietęskliwy,
Czasem sąsiadów i gości.

Najczęściej nudy. — Dziś prędszym chodem
Zdradzał niepokój w swem łonie;
A choć mu rosa poranku chłodem
Oblała czoło i skronie,

Jednak po owym nierównym kroku,
Po tym nieładzie — po fali,
Co pierś rozdęła, a błyska w oku,
Znać, że ta głowa się pali.

A w piersi burza! — To siadł, to wstawa.
Zaledwie powstał, znów siedzi.
Ach! bo to z sercem nieładą sprawa,
A Juan z sercem się biedzi.

Biedzi się — dręczy; wreszcie na łóżko
(Tragicznej mówiąc: na łożę)
Upadł i głowę nakrył poduszką,
Nakrył, lecz zasnąć nie może.

Nie może zasnąć; — porwał się, spojrzal —
Na stole papier, atrament;
I wielki zamiar w duszy mu dojrzał
Zostać poetą — i lament

Serca napisać. — O śnie skrzydlaty!
Słodkich udręczeń i cierpień;
Maju młodości, bogatszy w kwiaty,
Niż w owoc późnych lat sierpień.

Któż ciebie nie zna — któż z twojej czary
Czarów miłości nie wyssał
I któż twe widma — rozkosze — mary,
Któż je wyśpiewał — wypisał!

Juan chce pisać; — łokieć na stole,
A czoło oparł na dłoni.
I oko w niebie utkwił sokole.
I za natchnieniem w lot goni —

Goni, a goniąc, przygryza pióra,
A przygryzając, pierś wzdyma,
Nakoniec zacznie tak: „O ty! która“ —
Zacznie i nagle się wstrzyma.

A gdy się wstrzymał — duma i myśli.
A gdy się dobrze namyślił —
Spojrzał — raz jeszcze rozważył ściślej —
I co napisał przekreślił.

A gdy przekreślił — łokieć na stole
I skroń znów oparł na dłoni,
I oko w niebie utkwił sokole,
I znów za rymem wnet goni —

Goni, a goniąc, przygryza pióra,
A przygryzając, pierś wzdyma.
I znów zaczyna tak: „O ty! która“ —
I znów się nagle zatrzyma.

A gdy się wstrzymał — duma i myśli,
A gdy się dobrze namyślił —
Spojrzał — raz jeszcze rozważył ściślej —
I co napisał przekreślił.





ANTONI EDWARD ODYNIEC

(ur. 1804 † 1885).

I.

ZAPUSTNY WTOREK.

(Wyjątek z „Lafiryndy“).

Nadszedł zapustny wtorek,
Zmrok, wieczór: — ona siadła,
Toalety dwóch córek
Wiszą z dwóch stron zwierciadła.

One stoją przy krześle,
Ona wzrokiem je mierzy,
Jak wódz biegły w ramię
Swych przed bitwą żołnierzy.

Panienki jak jagódki,
Prócz cer trochę niezdrowych: —

I matki uśmiech słodki
Błysł z damy lic surowych.

„No, *Mes demoiselles!* — rzekła —
„Macie już swych tancerzy;
„Hrabini mi przyrzekła;
„Twoim, Zosiu, *Comte Jerzy*:

„Twoim, *Comte Jean*, Emilko!
„Potem w kolej przeciwnie.
„Pamiętajcież mi tylko,
„By się trzymać niesztynnie!

„Myścież wciąż kto jesteście.
„Jaki wasz ród i stan;
„I że ja patrzę wreszcie“.
— „*Bien, ma chère Maman!*“

— „Zaraz w dół spuścić oczy,
„Gdy tancerz co przemawia;
„Bo to efekt uroczy.
„Gdy się panna obawia.

„Pozwalam się uśmiechać
„Z *bon mots* hrabiego *Jean*,
„I bróń Boże, nie wzdychać!“
— „*Bien, ma chère Maman!*“

„Z hrabią Jerzym rzecz inna.
„On zawsze mówi górnio.
„Kaźda go z was powinna
„Słuchać skromnie, pokornie.

„Po tańcu dygnąć wdzięcznie.
„Lecz gdyby w tańcu stan
„Zbyt objął — umknąć zręcznie!“
— „*Bien, ma chère Maman!*“

— „Gdy z was którą zawoła
„Sama pani hrabini,
„Twarz niech będzie wesola,
„Z uśmiechem usiąść przy niej.

„Nakłonić ku niej ucha,
„A gdy przemówi sama,
„Niech każda ze czią słucha,
„Bo to jest Wielka Dama.

„Synaini jej są oba,
„*Comte Jerzy i Comte Jean.*
„Róbcie niech was podoba!“
— „*Bien, ma chère Maman!*“

— „Gdyby z niższej młodzieży
„Zaczął do was kto gadać,
„Słuchać już też należy,
„Lecz nic nie odpowiadać!

„Ja wnet w pomoc przybędę
„Skrócić wasz przykry stan,
„I przerwać tę gawędę“.
— „*Merci, ma chère Maman!*“

„Teraz nie tracąc pory,
„Niech każda suknię mierzy.

„Bo zapowiadam z góry,
„Jak dwunasta uderzy,

„Tańca już ani kroku;
„Stryj Prałat tego żąda,
„I hrabini, wiem z boku,
„Krzywo na tych spogląda,

„Co tańczują lub jedzą,
„Gdy post dzwonią już z wieży;
„A chcę, niech ludzie wiedzą,
„Że z was każda w post wierzy.

„Jutro musin też rano
„Uwinąć się z kościołem.
„Prałat ma mszę czytaną
„I sam zawsze popiołem

„Chce posypać swe krewne;
„A od Ksieni Ireny
„Słyszakun, że to pewne
„Lekarstwo na migreny.

„No, — czekać mię w salonie!
„Idę ubierać głowę.
„Basiu! na ósmą konie
„Kaź, niech będą gotowe!“

II.

STRACHY¹⁾.

POWIEŚĆ.

Kein Gedicht so elend ist,
Dass nicht zu etwas nützlich wäre.

Na wierzchołku jednej góry
Stały zamku pyszne mury.
Dach czerwono malowany,
Duże okna, białe ściany.
Nad gankiem herb, domu chwała,
Bęben, sztandar i dwa działa,
W nim małżeńskiej znak jedności,
Cyfra Jego i Jejności
Wynysleniem wcale nowem
Strzela z rury; jednym słowem,
Wszystko pięknie i wspaniale,
Lecz na świecie nie bez ale.
Czego *sic fata tulere*,
Gmach ten miał dowody szczere.
Bo co do mnie, choć bogato,
Choć pięknie wyglądał z wierzchu,
Choćby męstwa był zapłata,
Nie radbym w nim być o zmierzchu,
Gdyż, jak powiadano cicho,
Było w zamku jakieś licho.
Nikt nie zgadnął, nikt nie wiedział
Co też tam za kaduk siedział,

¹⁾ Podług wydania z r. 1825 — później autor pozmieniał ustępy, przez co jednak nie poprawił utworu, a zatarł cechę epoki swej twórczości.

Ale że siedział, to pewna.
Czy to zaklęta królewna?
Czy upiór o dyablej mocy?
Czy czarownik, czy złe duchy?
Nie wiem. — dość że o północy
Drzwi skrzypią, brzęczą łańcuchy,
Wicher świśnie, piorun strzeli,
Wysoka osoba w bieli,
W nieznajomych strojach,
Chodzi po pokojach,
I aż zaczął śpiewać kury,
Różne płata awantury.
Zdawna jak zapamiętano
Już się w zamku ten strach kręcił,
Próżno księdza sprowadzano,
Próżno żegnał, próżno święcił;
Trudne bardzo z dyablem boje,
Pleban swoje, dyabeł swoje.
Nienajbardziej radzi z gości.
Pan i Pani pełni strachu,
Zostawiwszy dyablej mości
Usum fructum swego gmachu,
Sami w co prędszej ucieczce
Widząc ratunek jedynie,
Choć z biedą jak śledzie w beczce
Mieścili się w oficynie.
Mieli rozum, bo koniecznie.
Lepiej ciasno a bezpiecznie.

A tymczasem bies, pan placu,
Hulał sobie po pałacu.
Brojąc co mu się roilo.

Szczęściem tak się nadarzyło,
Że po dawnej znajomości
Przyjechał do Jegomości,

W konwikcie kolega dawny.
Jeden poeta sławny.
A poeta jakich mało;
Choć mógłbym, z jego pochwałą
Nie mam czasu zbyt się szerzyć;
Prawda, że mu towarzysze
Mówili, że on źle pisze,
Lecz on temu nie chciał wierzyć;
Bo i któż Zoilów słucha?
Owszem z przekonaniem mocnem
Sądził się w pokorze ducha
Najmniej Homerem północnym.
Bardzo słusznie — któż zaprzeczy?

Ale wracając do rzeczy:
Po półwiecznem niewidzeniu,
Skoro go ujrzał Jegomość,
W kordyálnem uściśnieniu
Dawna odżyła znajomość.

By gościa przyjąć sowicie
I uraczyć należycie
Flasza dębniaku wyjęta,
Co Sasów jeszcze pamięta.
A przy miodzie, mówią starzy,
Słodziej się gawędka gwarzy,
Rośnie ufność w przyjaciołach,
Przymus niknie, duch rzeźwieje;
Dalej że więc, to o szkołach,
Co się działo, co się dzieje,
Kto jakie przeszedł koleje,
Kto gdzie bywał? gadu, gadu,
Od poranku do obiadu,
Od obiadu do wieczora.
Wtem już i spóźniona pora,
Na deszcz się jęło zanosić;

Grzeczność każe na noc prosić,
A tu, ani weź niestety.

Niema podziąć gdzie poety!

Gospodarz, gdyby na igle,
Kręci się na wszystkie strony,
Tu grzeczność, tam hałas żony;
Aż potrzebą przynaglony,
Puścił się w końcu na figle.

Nie patrząc więc czy to pięknie
Będzie, gdy się gość przełęknie,
Słowa nie mówiąc o strachu,
Zaprasza na noc do gmachu.

Wieszcz, jak zwykle dobra dusza,
Bez namysłu śmiało rusza.

Lecz legomość widać jeszcze
Nie znał dobrze co to wieszcz,
Jak pochopni, jak ochoczy
Awanturom zajrzeć w oczy.

Śnać nie wiedział, jak to moi

Po Febie bracia stryjeczni

Wszyscy są arcy waleczni,

Żaden się dyabłów nie boi,

Chociaż się wydarza czasem.

Że ich w swoich rymach mieści.

Ale to tylko nawiąsem.

Mniejsza o to. — Ja tymczasem

Wracam do dalszej powieści.

Z którą już bez żadnej przerwy

Prościutko do końca idę:

Otóż, jak wam rzekłem pierwej.

Poeta *in bona fide*,

Nie wiedząc o bożym świecie,

Ni o zdradzie, ni o strachu,

Maszerował spać do gmachu.

Ale nie sam jeden przecie.
Z kimże takim? Z Jegomością.
Skądże jemu śmiałość taka?
Grzeczność wiodła nieboraka.
„Niech licho z taką grzecznością!“
Myślał, idąc jak na ścięcie;
Dusza schowała się w pięcie.
Zęby głośne larum dzwonią,
Wzrok schylony zakrył dłonią,
Snać się bojąc ujrzeć strachu.
Przyszli nakoniec do gmachu.
Niosąc na przypadek wszelki
Karabełę, pistolety,
A na wniesienie poety
Węgrzyna cztery butelki;
Przyszli, stolik postavili.
Cztery świece zapalili,
A usiadłszy przy koninie,
Poeta tak zaczął pierwszy.
„Wiesz, jak się w całej krainie
Rozlega echo mych wierszy?
Wiesz, jako w trudnych zawodach
Do laurowej bieżąc mety,
Sława ma na czterech odach
Wszystkie prześcigła poety?
Jak za tragedję sławną
Oklask parteru dostałem;
Lecz nie wiesz, właśnie niedawno
Drugą taką napisałem.
Dziś więc, gdy i czas po temu.
I mam do czytania wenę,
Racz jej słuchać; notabene,
Tobie to tylko jednemu
Daję ten dowód przyjaźni.

Słuchaj więc, a bez bojaźni
Powiesz mi zdanie otwarte;
Bo choć znam, co czego warte,
Choć mnie nigdy na me wady
Miłość własna nie zaślepi,
Sądziłbym jednak, że lepiej
Zasięgnąć twej mądrej rady".
Nie mu pan nie odpowiedział.
Bo nic nie słyszał, ni wiedział;
Strasznym zdjęty ambarasem
Nie do krytyk się sposobił,
On myślał, by z nim dziś czasem
Strach tragedyi nie zrobił.
Lecz wieszcz mając chęci szczére
Czytać, a przytem w pamięci,
Źe qui tacet consentire
Videtur: papier rozkręci
I lyknąwszy haust węgrzyna,
Czytać zaczyna.
I czyta, czyta z zapalem,
Sam sobie tylko przerywa:
„Uważ jaka scena tkliwa,
Jak tu namiętność wydałem!"

Nie skończył aktu połowy,
Drzwi skrzyply, brzękły okowy,
Wicher śwśnie, piorun strzeli,
Wysoka osoba w bieli,
W nieznajomym stroju
Wchodzi do pokoju,
I stanąwszy z cicha,
Słucha, patrzy i wzdycha!
Zimny dreszcz pana przebieży,
Wzrok ciemnieje, włos się jeży,
Lica pobladły jak chusta,

Otwarte oczy i usta,
Zimny pot na czoło bije,
Sam nie wie: umarł czy żyje?

A nasz poeta w ferworze,
Grzbietem zwrócon ku potworze,
Jakby wśród najgłębszej ciszy,
Oprócz siebie nie nie słyszy.

Bo jak głuszec, gdy tokuje,
Nie nie widzi, nie nie czuje,
Ani strzelca, ani strzału;
Tak poeta wśród zapalu,
Gdy swe wiersze deklamuje.

Stąd też bynajmniej nie ganim,
Że myśl utopiwszy w chwale,
Ani przed nim, ani za nim
Co się działo, nie dbał wcale;
A choć słyszał jęk i żale,
Rozumiał pełen radości,
Że to w jego tkliwej scenie
Tak żalosne rozrzewnienie
Napadło na Jegomości;
Więc dalej, rad z powodzenia,
Czyta bez zastanowienia.

A straszycło stojąc z cicha,
Ciągłe słucha, ciągle wzdycha,
Lecz, co nigdy nie bywało,
Już poziewać zaczynało.
Coraz, coraz częściej ziewa;
Jak zawsze było przywykło,
Czekać póki kur zaśpiewa,
Teraz jednym razem znikło.
I już go więcej nie było.
Możeby jeszcze wróciło,
Lecz Jegomość rad z odkrycia,

Przynętą hojnej pochwały,
Trzymał wieszczą tydzień cały
Do wiadomego użycia.
I jak antidotum strachu,
Co noc go wodząc do gmachu,
Drżemiąc chwalił, co ów czytał.
Nieraz jeszcze strach zawitał,
Aż nie mogąc dostać placu,
Mimo wszelkiego *decorum*,
W trzecim akcie znikł z pałacu,
In saecula saeculorum.

Moi czytelnicy mili.
Nie będziecie mi wierzyli,
Lecz by wam tej prawdy dowieść.
Gdy czasem na was którego
Napadnie coś podobnego.
Przeczytajcie mu tę powieść.





KONSTANTY GASZYŃSKI

(ur. 1809 † 1866).

GRA I KARCIARZE.

SATYRA.

Krwia i łzami pisane człowieczeństwa dzieje —
I kraj nasz nieraz ciężkie przechodził koleje!
Po stokroć, gdy szarańcze plon ziemi wyjadły,
Pojawiała się nędza, a z nią głód wybladły;
Czarna śmierci posłanka często dzuma wschodnia
Stosy trupów haraczem wybierała co dnia,
To znów sroższe niż dzuma i głód i szarańcze
Niszczyły polską ziemię najazdy polhańcze —
Zamieniali w perzynę żyzne nasze włości:
Turek i Szwed i inni nieproszeni goście!

Dzisiaj już nam nie grożą polhańskie zagony,
Butny Szwed siedzi cicho, bo sam zagrożony —
I morowem powietrzem już Bóg nas nie karze,
I szarańcza mniej częsta na laskim obszarze.

Lecz nowa oto klęska obrzydła i wściekła,
Na nieszczęśliwy ród nasz wypuszczona z piekła.
Niszczy majątki, zdrowia — chwije sumnieniami
I charakter narodu upadła i plami!
Tą klęską dzisiaj w Polsce jest gry smutny narów:
A karty zastąpiły głód, mór i Tatarów!

Prawda, że to nie całkiem nowy wynalazek:
Oddawna świat ubóstwiał karciany obrazek.
Już Opaliński miotał na kosterów lancę.
A Krasicki z przekąsem pisze o hapance!
Przecież gra mniej chłonęła pieniędzy i wczasu.
Była skromną zabawką do zabicia czasu —
Nie słyhać, by na kartę stawiał gracz szalony
Włosć po ojcach, chleb dzieci, albo posag żony.
By spłacić dług karciany, przezwan honorowym.
Nie szły do żydów srebra z klejnotem rodowym.
Złotówką, nie dukatem walczyli szermierze:
Ja sam z księdzem proboszczem grałem o pacierze!

Dawniej zimową porą, gdy w dom pana Jacka
Pan sąsiad Kalasanty zawitał z nienacka.
Było się na co patrzeć, gdy po pogadance
O siewie i o młockach, przy węgryzna szklance.
Co budzi afekt w sercu a troski rozprasza,
Zasiedli staruszkowie do partyi maryasza.

Po półzłotku do stawki — za symplę sześć groszy —
A dwanaście za dublę — lecz ileż rozkoszy
Na ich twarzach, a w ustach jaki uśmiech szczery.
Gdy który z nich brał ciągle tuzy i kozery —
A nadewszystko jakaż tryumfalna chwila.
Gdy w przedostatniej karcie wyciągnął pampila —
I zadawszy z czterdziestu, musnął was sierdzysty.
Dograł — i biorąc pułę, krzyknął: perdidisti!

Po dwugodzinnej walce zmiennej alternaty.
Okazało się w końcu dziesięć złotych straty.

Zwycięzca nie zrujnował sąsiedzkiego mienia,
Zwyciężony spał smaczno bez zgryzot sumienia:
Nie rwał włosów na głowie w koniecznym zapędzie
I nie klął się na Boga, że już grać nie będzie!

Dziś inne obyczaje — dzisiaj szlachta nasza
Gardzi już skromną stawką starego maryasza —
Drużbart i Kiks, praojców niewinne zabawy,
Zeszły z pańskich stolików na lokajskie ławy.
Już i Wist, gra poważna, stała się zbyt nudną,
Bo przy rozsądnym wiście zrujnować się trudno!
Trzeba gier postępowych na oświaty czasy:
Nastaly Preferanse. Szto sy, Gierylasy;
Dyabełek wybiegł z piekła i służy z ochotą.
Zgarniając plon niw naszych przekuty na złoto;
A Faraon, pochłonięty falami morskimi,
Wypłynął — i króluje w błogiej Piasta ziemi!

Patrzcie! w dzień uroczysty świętego Michała
Na dwór solenizanta szlachta się zjechała.
Bankiet suty gościnność przodków przypomina;
Piętrzą się stosy mięsiv. płyną strugi wina —
W licznej gromadzie gwarliwa wszczęła się rozmowa:
Nie brak żartów — lecz słyszeć i poważne słowa.
Tu starzec, do młodego zwrócony sąsiada,
O dawnych lepszych czasach z żalem opowiada:
Tam wojak, kreśląc palcem wąwóz Somo-Sierra,
Tnie szarżę po obrusie i działa zabiera.
Inny — późniejsze boje przypominał i wzdycha —
A młodzież słucha pilnie i coś szepce z cicha.
Wtem gospodarz powstawszy przy ostatniej misie,
Z pełną kulą w rękę huknął: kochajmy się!

Dotąd zwyczajem ojców szło patrona święto:
Lecz zaledwie talerze i nakrycia zdjęto,
Znalazł się zaraz szuler jeden, drugi, czwarty,

Co gada o partyjce i wyciąga w karty.
Tamten już siadł za stołem i głosem Judasza
Do banku Faraona amatorów sprasza:
A jak zdradliwy ptasznik sadzi w klatkę wabia
I nastawiane sidła jagodą ozdabia:
Tak pan Anzelm rubaszną dykteryjką znęca
I rozsypanem złotem do zguby zachęca.

Otoczył stół fortuny mężczyzn poczet cały.
Kobiety opuszczone w bawialni zostały.
Młódź nasza ponętniejszej dziś hołduje pani,
Uśmiech damy pikowej stokroć słodszy dla niej!
Rycerze, co do nowych turniejów się garną,
Dwie tylko noszą barwy: czerwoną i czarną!

Ktoś wyrzekł świętą prawdę — godną słów pacierza,
Że namiętność człowieka zamienia na zwierza.

Patrzcie, w oczach tych graczy jaki wzrok niezwykły:
Szlachetnych uczuć ślady z wszystkich twarzy znikły;
Zostały tylko na nich potępienia piętna,
Gniew wściekły, podstęp podły i cheiwość namiętna!
Rzadki tam był poniter, co uniknął szranku.
Ów całoroczny dochód już zostawił w banku —
Drugi, trzeci, dziesiąty, zgrany do szeląga,
Gra na słowo lub wokół pożyczki zaciąga.
Tamten, straciwszy pieniądz, ratuje się fantem:
Stawił złoty zegarek i pierścień z brylantem;
Duszę by własną rzucił w nurt bankowej rzeki,
Gdyby czart nie miał na niej pierwszej hipoteki!

Pół dnia i wieczór cały i noc całą grano:
A słońce, oko Boże, z za chmur wstając rano,
Zastało szlachtę polską nie z lancą na wartach,
Nie z modlitwą w kościele — lecz w izbie — przy kartach!

Znaczne sumy osiadły w bankierskiej kieszeni;
A gracze źli na siebie, wybladli, znużeni,

Rozjechali się wreszcie — robiąc plany drogą,
Jak niechybnym sposobem odegrać się mogą.

Nie od dziś w okolicy krąży już uwaga,
Że pan Anzelm zręcznością szczęściu dopomaga —
Że ciągnąc Faraona, ręka jego wprawna
Umie sfilować kartę, gdy grubo obstawna —
Że stasować na asa lub ułożyć lisa
Jest igraszką dla biegłych palców infamisa!
O tych sztukach sąsiedzi gwarzą pokryjomu,
A jednakże sztukmistrza przyjmują do domu —
Kochanym przyjacielem zowią go niejedni,
Z uwielbieniem słuchają sprośnych jego bredni;
A gdy ich pieniądz wsiąknął do trzосу Anzelma,
Mówią: „Miły to człowiek“ — choć myślą, że szelma!

O! takie pobłażanie straszną u nas winą:
Płochością wśród narodów obyczaję giną!
Strzeżmy cnoty praojców — niech uczciwa ręka
Skalanę dłoni lotra dotykać się lęka —
Niechaj nas nie wstrzymują towarzyskie względy,
Bo złe z dołu, czy z góry jest ochydą wszędy.
Obcym być nam powinien, kto honor swój plami —
By nas świat uszanował, szanujmyż się sami!

Z tych nawiasowych zboczeń powracam do treści.
Bo to jeszcze nie koniec mej smutnej powieści!
Dawniej, gdy się zebrało liczne gości grono,
Prawda, że nazbyt częstym kielichem grzeszono.

Lecz gdy wszyscy po ucie w bawialni zasięda,
Umiano czas umilać ciekawą gawędą:
O zjazdach trybunalskich, sejmikowych mowach,
O figielkach kaniowskich i nieświezkich łowach,
O bitwach, w których ojce przeważnie łamali
Zastępy Turków, Szwedów, Niemców i tak dalej.

Lecz odkąd zawitały w nasz kraj staroświecki

Obyczaje francuskie i rozum niemiecki.

Odkąd pokój bawialny przewano salonem,

Gawędzić jest prostactwem, a śmiać się zły m tonem!

Dziś przy weselnych godach albo w dzień imienia

Zaraz się dwór szlachecki w szulernię zamienia.

Gdzie nie dośpiał Faraon, Dyabelek się wkrada

I jak szarańcza złoto w kieszeniach wyjada —

Lub szalony Preferans, nakształt Tatarzyna,

Przez dwie doby rabuje, podpala i ścina!

Kto się nad tajnikami ludzkich sere zacieka,

Niechaj się na tych graczy popatrzy zdaleka.

Tutaj przy jednym stole, o! hańbo bez miary!

Nieraz dwu młodych synów i ojciec ich stary,

Zinieszeni z rozbestwionych zapaleńców zgrają,

Bez sumienia na czole obok siebie grają!

Ten stracił już majątek — pożyczką się łąta,

Stąd wyrwał kilka złotych a stamtąd dukata,

I kosztem poniżenia jałmużnę zebraną

Przynosi w drżącej dłoni na pastwę karcianą!

Tamten znów został sknerą, choć dawniej żył w zbytku.

Ujmuje własnej gębie strawy i napitku,

Skąpi obuwia dzieciom albo sukni żonie,

By zaoszczędzić grosza, który sztos pochłonie!

Inny, szatańską siłą nad przepaść zagnany,

Naruszył cudzy fundusz w depozyt mu dany;

Niepomny kary Bożej, ni ludzkiej pogardy

Wypuszcza szeląg wdowi na banków hazardy!

Ten odinowił stu złotych krewnemu, co w nędzy,

Skarżąc się na złe czasy i na brak pieniędzy,

A z pełnym workiem zasiadł wśród graczy kamratów

I w partyi preferansa przegrał sto dukatów.

Lecz i tych gier nie dosyć. Ledwie z końcem lata
Wejdzie do pustych stodół dań ziemi bogata,

Nasze panki, sprzedawszy zmłóconą pszenicę,
Pod pozorem kuracyi jadą za granicę.
Większa część z nich tak zdrowa jak ryby w ich stawach,
Myśli tylko o balach, koncertach, zabawach —
Jedyną ich chorobą jest do gry ochota.
Chcą kąpać się w krynicach bankowego złota,
I pieniądz, krwawym potem z niw polskich wydarty.
W Badenie i Homburgu przepuści na karty.

Lecz są prawdziwie chorzy i tych żal mi szczerze;
Oni do zbawczych źródeł jadą w dobrej wierze —
Ale wciągnięni zwolna przykładu pożoga,
Wkorzenionym nałogom oprzeć się nie mogą —
Niszczą głą sił nabytek zyskany lekami,
I niebaczni! szaleni! mordują się sami.

Doktor kazał pić wody, chłodzić się dyetą;
Aż tu pan na podagrę leczy się ruletą.
Z ręką drżącą do pokus, z krwią nabiegłym czołem,
Bierze łaźnie parowe nad zielonym stołem!
Inny, co miał ratować płuca zagrożone,
Całe dnie się kuruje — w Czarne i Czerwone! ¹⁾
Wbiegła w pierś zrujnowaną gry ognista żmija
I ostatki żywota swym jadem dobija —
I dobije — i, grób mu kopiąc, może śniuało
Pisać nad nim: „Tu leży samobójcy ciało“.

O! szlachetnego zdrowia ożyweza Bogini
Nie mieszka w Benazeta, ni w Blank a jaskini ²⁾,
Jej przy ciepłych powiewach pogodnego nieba
Ciszy, swobodnej myśli i spokoju trzeba.
Świat gorączkowych wzruszeń obcym dla niej światem,
Wrogiem każda chuć brzydka, a każda gra — katem!

¹⁾ Znana gra rouge et noir.

²⁾ Benazet w Badenie a Blank w Homburgu, dyrektorowie sławnych
szulerni europejskich.

Może ta mowa szczerą przebrzmi nie słuchana.
Lecz poeta w narodzie ma urząd kapłana:
Gdy mu sumienie każe, powinien z odwagą
Gromić ziomków i prawdę powiadać im naga!
Mniejsza, że źli i głupi powstaną nań z wrzawą,
Krzyżąc: „Do strofowania kto tobie dał prawo?“
Byle choć kilku mądrych i zacnych współbraci
Rzekło, dłoń mu ściskając: „Niech ci Bóg odplaci“.

.
.





LUDWIK KONDRATOWICZ

(WŁADYSŁAW SYROKOMLA)

(ur. 1822 † 1862).

I.

❧ CZARNO I BIAŁO ❧

Żyła sobie dewotka
Niedaleko od fary;
Miała pieska i kotka,
Obok sąsiad żył stary.
Była wielce z nich rada,
Bo i jakże inaczej?
Z kotka. z pieska, z sąsiada
Miała wiernych słuchaczy.
Czasem dojrzy jej oko
Wśród powieści i plotek.
Że usnęli głęboko
Sąsiad, piesek i kotek.
Lecz sąsiad sztuka bita
Zręcznie jej się wywinie,

Bo gdy czasem go spyta:
„Prawdaż panie Marcinie?“
To on, choć krzepko zaśnie,
Zawsze pokiwa głową
I mruknie w porę właśnie:
„Tak... tak pani Janowo!“

* * *

„Uważałeś jegomość?
Dziś asesor coś bladszy;
Musiał dostać wiadomość,
Że sąd ziemski źle patrzy...
Oj te ludzkie języki!
Gdyby zebrać je razem,
I za nałóg ich dziki
Wszystkie uciąć żelazem!
Jabym mówić gotowa,
Ale prawdę, a skromnie;
Na co mi ta obmowa?
Co to należy do mnie?
Jan o sobie pamięta,
Ekonom ludzi bije,
Pisarz klaska w karcieży,
Wójt z organistą pije. .
Bóg tam z nimi!... Bóg z nimi!..
Ja patrzę tylko siebie!
Każdy człowiek na ziemi,
Nie to, co święty w niebie.
Myślmy o własnej winie,
Nie sądziny zbyt surowo...
Prawdaż, panie Marcinie?“
„Tak... tak, pani Janowo!...“

* * *

„U nas plotki jak błoto
Wszystkich mażą bezwzględnie;
Słuchaj tylko co plotą,
To aż ucho ci wędnie!
Uważałeś?... na prawo...
Ktoś miał czepek w pół głowy...
Masz i plotkę ciekawą,
Bo już przedmiot gotowy!
Dobrzy sąsiedzi moi
Ogadali już może...
Że ta pani się stroi
Nie dla męża... broń Boże!
Że ma zalotny narów,
Że to na gachów siatka,
Że ktoś tam z za filarów
Patrzył na nią z ukradka!
Lecz to fałsze... potwarze!...
Ja widzę co niedziela:
On zawsze bywa w farze,
Lecz nie tam okiem strzela.
Może sądzisz po minie,
Że ja podrwiłam głowę?
Prawdaż, panie Marcinie?“
„Tak... tak, pani Janowo!“

* * *

„Już co zgadnę, to zgadnę!
Wierzę w domysłność moją;
A te plotki bezładne
Kością mi w gardle stoją!
Jam dosyć ich słyszała,
Lecz prawdy ni kropelki.
Naprzykład... suknia biała...
Niby to symbol wielki!

Niewinność... skromność... cnota...
Och! żeby nos im taki!
Śledziłam ją z za płota —
Chłopcom dawała znaki!
A oczy tak ogniste,
A kibić wymuszona:
O Panie Jezu Chryste!
Niby to święta ona!
Znamy się na świętości...
Dzisiaj i ja sensatka...
Och! powiem jegomości.
Wróćcie mi młodsze latka!
Każda, co się nawinie,
Przedemną się w kąć schowa.
Prawdaż, panie Marcinie?“
„Tak... tak, pani Janowa!“

*

*

*

„Tylko się chwalić nie chcę,
Lecz miałam szczęścia trocha!
Kogo spojrzeniem złechcę,
To zaraz mię pokocha!
Rzuciłam płóche żarty,
Postrzegłam jak te szpecą;
Rok... drugi... trzeci... czwarty...
Jam spoważniała nieco.
A młodzież?... gdzież ci młodzi?
Pierzchnął mój lud poddańczy!
Jeden dziś z kijkiem chodzi,
Drugi swe wnuki niańczy.
Zepsucie dziś na ziemi!
Dzisiejszy rój młodzieży,
Za szesnasto-letniemi,
Za wietrznicami bieży!

Pan Bóg wie czem zajęci,
Śmiechem pogardy płacą
Najlepsze nasze chęci:
Za cóż to? pytam, za co?
Bo młodość wkrótce minie,
Bo mi siwieje głowa...
Prawdaż, panie Marcinie?“
„Tak... tak, pani Janowa!“

* * *

„Kłamstwo!... jesteś sam stary!
Przyjdą czasy odmienne!
Ja dam na mszę do fary,
Pościć będę nowennę,
I ołtarzyk ponoszę;
Ujrzysz waćpani dobrodziej!
Że wyposzczę, wyproszę
Więcej statku dla młodzi!
Mimo wszystkie zalety,
Nikt nie spojrzy na młodą,
A stateczne kobiety
Rej na świecie powiodą.
Chociaż się lata roni,
Choć mija wiek człowieczy,
Ale święty Antoni,
Patron zgubionych rzeczy,
On mi młodość odszuka,
Wróci rumieniec licom,
Będzie sztuka!... ot sztuka!
Na złość młodym wietrznicom!
Nie ich... a mnie jedynie
Szarpać będą obmową!
Prawdaż, panie Marcinie?“
„Tak... tak, pani Janowo!“

II.

SEN I KABAŁA.

I.

Morfeuszu! sklej mi oczy,
Niechaj jaki kraj uroczy
Zobaczę!

Siedzi sobie ponad Nilem
Ptaszek zwany krokodylem
I płacze.

Bieży sobie ciche jagnię,
Co się wody napić pragnie,
I pyta:
„Krokodylku! co to znaczy?
„Na twym dziobku łza rozpaczy
„Tak świta?“

— „Synu owcy i barana!
„Twemu sercu litość znana,
„Daj uszko.
„W mej boleści ulżę może,
„Gdy do głębi ci otworzę
„Serduszko!“

I baranek dał skok chyży,
Ze współczuciem doń się zbliży,
I rzecze:
„Ulżyj sercu, co pod głazem,
„Pozwól, niechaj z tobą razem
„Zabęczę“.

I poufnie uszko schyla,
Aż się paszcza krokodyla
Zaśmieje.
Klapnął paszczą — bez zachodu
Pożarł baraniego rodu
Nadzieję!

II.

Stara babka sny tłómaczy:
„Powiedz, babko, co się znaczy
„Sen taki?“
Babka na stół kładzie karty
I zażywa po raz czwarty
Tabaki.

„Dzwonka!... czerwień!... sens się splata,
„Że nie z sercem idź do świata,
„Lecz z wiedzą;
„Zaniknij serce, niech się studzi,
„A unikaj czułych ludzi,
„Bo zjedzą.

„Tuz... król... kralka... dama... walet...
Kto chciał szukać z serca zalet,
Był skaran!
„Krew serdeczną wyssał tobie,
„I napiszą na twym grobie:
„Żeś baran!“



III.

NAGROBEK OBYWATELOWI.

D. O. M.

Bił chłopów pałką,
Poił gorzałką,
Miał sto chat z górą,
Jadł barszczyk z rurą,
Popijał piwo,
Zbierał grosiwo,
Czasem od święta
Ciął się w karciećta.
Miał arendarza,
Z którym rozważa:
Czy będą wojny?
Czy czas spokojny?
Zjadł na śniadanie

Udo baranie,
I witych w cieście
Kołdunów dwieście.
Tak z niestrawności
Doszedł wieczności,
I w ciemnym grobie
Spoczywa sobie.
Nim wieki zbiegą,
Tnie chrapickiego,
Aż głos anioła:
„Wstawaj!“ — zawoła —
„Bo już gotowa...
„Pieczeń wołowa!“

IV.

NIEDRUKOWANE RYMY OKOLICZNOŚCIOWE ¹⁾.

Odsyłając klacz Mamuzę i woźnicę Franka.

Mój Julianie!
W tym rydwanie
Z Mamuzą i Frankiem
Wczora cwałem

¹⁾ Z teki ś. p. Juliana Horaina.

Zajechałem
W Załuczu przed gankiem.

Wyliziałem, że należy
Być mi wczora zrana,
Ale szkapa nie tak bieży
Jak myśl rozdasana.
Nie dba o to, że mię niszczy
Niepokój widocznie;
To podskoczy, to zapiszczy,
To nieco wypocznie.

 A tu błoto,
 Wiatr ze słotą
 Czapkę z głowy zdziera,
 Tam kamienie,
 Tam strumienie,

 A tam et caetera...
Sam Ulisses, mędrzec taki,
 Jakem to gdzieś czytał,
A od Troi do Itaki
 W dziesięć lat zawitał.
Choć mu podróż niedaleka,
 Choć nie lały deszcze,
Choć małżonka wierna czeka,
 On marudzi jeszcze!

O małżonków wzorze tegi!
 Mądry Ulissiesie!
Gdy cię wreszcie kres włóczęgi
 Już do domu niesie...
Nie tak było ci przyjemnie,
 Jak mnie humor służy,
Kiedym stanął tuż przy Niemnie
 W domowej kałuży.

Chociem w sercu wiózł gorycze,
A na grzbiecie guza,
Z całej siły wesół krzyczę:
Niech żyje Mamuza!

Do panny Z., artystki teatru wileńskiego.

Mnie tu męczą kaszel, kater,
Mnie tu dręczą dzieci płacze,
A tam hrabia August P. *Łan*
Pewno do drzwi twych kołacze.

Pożar rodzi się z iskielek,
I na wierzbie bywa gruszka,
Strzeż się pani, bo P...
Niebezpieczny dla serduszka.

List do Stanisława M.

Miłościwy Stanisławie!
Dzisiaj całe miasto prawie
K' maskaradzie
Szaty kładzie.
Mąż, niewiasta,
Matki, córzy
Ślą do miasta —
Po ubiory.
Na koncepta suszą głowę:
Kleją nosy papierowe.
Stary i młody
Nakleja brody;
Jedni ubrani
Jako Hiszpani
Lub Bisurmani.
Żydy i chłopcy,

Lud z Europy,
Swojski i dziki
Naród z Afryki.
I z antypodów
Do twoich schodów
W ciżbie ochoczej
Hurmem się tłoczy.
Lecz co ja mówię!
Nawet ptaszkuje
Zawitać rade
Na maskaradę;
Nawet kogucie
Kipi uczucie,
Nawet kokosze
Czują rozkosze,
Kiedy się obok lubego ptaka
Po twym salonie płasa i gdaka.
A dopieroż pole widzę
Czułym szeptom i intrydze:
Ci tłumem biegą
Bliźniego swego
Wywieść na fryca;
Drugich zachwycą
W sam nos argusa
Splatać psikusa,
Z jakąś mężatką
Się otkać się gładko;
Z panną lub wdówką
Zamienić słówko;
Słowem każdy tu odżyje
Wedle swojej kondycyje.
Jeden wśród sali,
Drugi w bufecie
Swą biedę gniecie,

Kielich wychyla,
Trzeci kadryla
Płasa ochotnie,
Aż mu łeb spotnie.
Wszyscy przytomni
Omnes et omni
W dobrym humorze
Każdy jak może
Spędza ochotę
Za cztery złote.

Lecz nie każdy i nie wszędzie
Na złotówki się zdobędzie:

A tam odźwierny
Rozkazom wierny
Biedne hołysze
Nie wpuszcza słyszę.
Czy frak, czy maska
Nic nie ugłaska.
Nic nie przekona
Twardego łona.
Nikt jego duszy
Wierszem nie skruszy.
Ni dźwiękiem lutni,
Choć mu łeb utnij.

Wir zabawy dziś mię niesie.
Na te dziwy patrzeć chce się.

A tu za kąt
Moje intraty
Z góry parnasu
Nie miały czasu
Nadejść w tej chwili.
Transport spóźnili
Turkowie dziecy
Co na granicy —

A więc otwarcie
Wyznam, że mię w ten sposób Islamcy zuchwali
Na swego świętego kanonizowali,
Czyli mówiąc po prostu (bo na cóż wykręty)
Jestem dzisiaj tak goły, jak turecki święty.

Mości Stanisławie,
Ty dopomóż mi w tej sprawie,
Daj mi paszport ku zabawie;
Wydadz rozkaz niech margrabia
Dziwów ze mną nie wyrabia;
Kiedy wejdę jako hrabia,
Na mój widok w tejże chwili
Niech pokornie drzwi uchyli.
Więc zrozumiej mię tu panie,
Przyślij bilet przez chłopaka,
O to prosi ojciec Baka.

O bryce ¹⁾.

Gwałtu, ratujcie o wieley bogowie!
Powiedz Mamuzo, skąd ci ta ochota
Dać się kierować roztrzepanej głowie
I złamać bryczkę o wrota?

O piękne panie, o wróżki tych krain!
Wasza to wina i wasza to łaska,

¹⁾ Po kilku dniach gościny w pewnym obywatelskim domu, ś. p. Syrokomla, Wacław P. i Julian Horain opuszczali ową przyjemną gošcinę, udając się ku Nowogródkowi, gdzie zamierzali zwiedzić mogiłę Mendoga. Ostatni powoził, a krnąbrna Mamuza szła w zaprzęgu. Nie zbyt wprawny woźnica uczepiwszy o bramę, popsuł bryczkę tak, że musieli nazad powrócić i jeszcze parę dni w owym miłym domu przepędzić; z czego i gospodarstwo i goście zarówno byli zadowoleni, Syrokomla zaś, przedzieliwszy linią na dwie połowy tablicę do przerabiania zadań matematycznych, napisał na jednej połowie kredą następne ryiny, zostawiając drugą z wyzwaniem o odpowiedź.

Że zagapiony do okna Horain
Karetę łamie i trzaska.

Płochy woźnico, a bój się ty Boga!
Wiesz kogo wieziesz? wszak to wieszcz nad wieszczę,
Dzisiaj miał zwiedzić mogiłę Mendoga
Wieczorem jeszcze.

Biedny poeta w rozpacz i złości
Musi się cofnąć we słodkim zamiarze —
Czekaj woźnico, jest sąd potomności:
Apollo klęczeć ci każe.

Odpowiedź była taka:

Stój, stój, o wieszczu! wstrzymaj się w zapędzie
I zbyt pochlebną nie ciesz się nadzieją —
Muzy po tobie łezki nie wyleją.
Apollo smacznie spać będzie.

Dopókiś śpiewał gawędy, wybryki ¹⁾,
Póty Bóg lutni zwał cię swoim synem
I skronie twoje ozdabiał wawrzynem,
Pókiś nie dotknął mej bryki.

Dziś, gdy opiewasz tak błahy wypadek,
Jakim jest bryki złamanie,
Takimi rymy Apollo, mój panie... ²⁾

(Komentarz: ...)

¹⁾ Było to przed ogłoszeniem Dęboroga i innych poematów.

²⁾ Syrokomla, śmiejąc się, zmazał ostatni wiersz z tablicy, więc i my nie ośmielamy się go umieścić.

Nagrobek dla kurczęcia.

Dziecię niewinnej natury,
Córka koguta i kury,
Zaledwie z pieluch wyrosła,
Żadnego jajka nie zniosła,
Wylęła w indyckim puchu,
Złożyła zwłoki w mym brzuchu:
Zlituj się przechodniu miły!
Ucałuj we drzwi mogiły.





LUCYAN SIEMIENSKI

(ur. 1809 † 1878).

I.

CHORZY I BOGINI ZDROWIA.

Trzech pacjentów — co się często zdarza,
Przyszło się radzić lekarza;
A że lekarz bardzo wzięty,
Więc nieszczęsne pacyenty,
Nie zastawszy zdrowiodawcę,
Usiedli sobie na ławce.
— Witam! Witam! — Sługa! — Służka!
— Spotkać bardzo mi przyjemno.
Jakżeż zdrowie? — Ej, źle ze mną!
— Ba i ze mną. — O i ze mną!
— Nie opuszczam prawie łóżka.
I jak to chorzy mają w zwyczaju
O swych defektach baju i baju;
Każdy wylicza chorób symptoma:
Ten tego nie ma, a ten znów to ma,

A stokroć taką chorobę woli,
Jaką ma sąsiad; bo to rzecz znana,

Że cudza rana
Zawsze mniej boli.

W cierpkich przymówkach zazdrość przebija,
Nawet biedaków kasa ta żmija,

I doprowadza do zwady
Dobre sąsiady.

Bo fuknął któryś: — „I toż choroba,
Kiedy waśc jadasz co się podoba,
A choć pod skórą rak tam gdzieś wierci,
Fraszka; z tem można żyć aż do śmierci.

I waśc mój bracie
Próżno stękanie.

Cóż, że paroksyzm mocny napadnie,
Uderzy o ziem, stłucze szkaradnie,
Przecież nie ciągle i nie co doba

Trwa ta choroba.

Proszę porównać moje suchoty:

Płuca rwą się, kaszel dusi,

Oblewają zimne poty.

A harować człowiek musi

Bez siły i ochoty.

To dopiero stan rozpaczy!

Rak! konwulsye! — co to znaczy?!

Chętnie przyjmę to oboje;

Mieniajmy się, oddam moje“. —

— I ja moje. — I ja moje. —

Wszczęła sprzeczkę trójka chora;

A że w pokoju doktora,
Godło medycznej nauki,

Stała z marmuru bogini w kącie,

Grecka Hygiea, po naszymu Zdrowie,

Więc biedaczkę przeszło mrowie

Po tym afroncie,
Gdy usłyszała rzecz jej nieznana,
Jak za chorobę chorobę mieniano!
Jęknęła z żalu i łza jej pociekła
(Czasami płaczą kamienie)
I cicho rzekła:
— Jakież to straszne cierpienie
U tych tam ludzi, co na ławie siedzą,
Kiedy o mojem istnieniu nie wiedzą!
Nawet umarli szczęśliwsi, choć leżą
Snem nieprzespanyin w grobach;
Niż tacy żywi, co w Zdrowie nie wierzą
I przebierają w chorobach.

II.

KURA NA ŚMIECIU.

— „Kochana kuro! za czem to i po co
Grzebiesz w śmietniku zameczyska?
Tu w dzień nie znajdzie włożyć co do pyska.
A ty coś znaleźć chcesz nocą?“ —
Tak mówił brytan spuszczonej z obróży.
A kura na to: „Praca mnie nie nuży;
Ot szukam sobie na los, na trafunek,
Gdyż bardzo stare to śmiecie:
Tu wygrzebała prababka pierścioneł
I za to słyńie w gazecie“.
— „Szukajże sobie, bo ja nie mam czasu:
Idę, by wilka przepędzić do lasu.
Lisa z kurnika, złodziei od brogów“.
— „Przepędź też brysiu i archeologów!“

III.

MENAŻERYA.

W pewnem miasteczku, większem niż Słomniki,

Pokazywano menażeryę w budzie;

Z ciekawością biegli ludzie

Widzieć lwy, małpy, niedźwiedzie i żbiki,

Psy morskie, koty, cielęta,

Papugi w różnym kolorze,

I inne jeszcze zwierzęta —

Któż je tam spamiętać może?

Bardzo ten widok bawił z początku,

Kiedy właściciel karmił je lub droczył —

Lecz do małpeczki jednej, w samym kątku.

Każdy się tłoczył:

Tak była śmieszna i tak do człowieka

Podobna twarzą i ruchem,

Że i filozof, co wszystko docieka,

Nazwał ją upadłym duchem.

Co znowu pochwyciwszy gawieź na języki,

Utrzymywała: że to człowiek dziki.

Słuchał tych rozpraw figlarz zawołany

(W każdym mieście taki bywa)

I rzekł: „Co znowu? wszak to wykapany

Nasz burmistrz, tylko mu piwa

Postawcie spory antałek

I zapisany szpurgalek“.

— „Ach prawda! Burmistrz! on sam w miniaturze!“ —

Wtórzyła gawieź z czystem przekonaniem.

Bo to w gawieździ naturze

Na oślepiecie za zdaniem

Lada figlarza albo też filuta —

Na tem najwięcej mądrość jej osnuta.

Początek dany — a więc na ten sposób
Podkrywano podobieństwa nowe

Do różnych osób:

Zarośniętą jak lew głowę,

A nogi jak u żyrafy

Kto ma w mieście? Jużcie grafy,

Eleganty żurnalowe.

Ten szakał — to lichwiarz faktor,

Za lwami zwykle się włóczy;

A ten niedźwiedź, co tam mruczy,

To niby gazet redaktor;

Papuga — znana dewota,

Bo gadatliwa i szczypie;

Komendant ma znowu ślęcie

Wytrzeszczone jak u kota;

A lis — patron trybunału;

I tak dalej — aż pomału

Każdy w zwierzętach poznawał

Swego wroga lub sąsiada,

A gdy szukać nie przestawał,

Na własny portret napada.

„A, to zgroza!“ — ten ów krzyknie —

Z oburzeniem podziw niknie:

I ta przed chwilką chychocąca tłuszcza

Prawie się gwałtu dopuszcza

Na biednym Włochu, właścicielu budy,

Że takie rozwozi brudy,

Co szczypią honor posesyonatów.

Dać mu sto batów!

Byłaby pewnie przetrzepała Włocha

Ta zgraja płocha,

Gdyby nie starzec sędziwy,

Posłyszawszy wyrok krzywy,

Nie był się wnięszal jako rozjemca
Pomiędzy widzów i cudzoziemca.
Jakoż wysłuchał strony obojej,

I rzekł po chwili:

„Widzowie mili!

Uśłuchajcie rady mojej
I pójdźcie sobie jakoście przysli;
Ten Włoch nic nie miał na myśli:

Ze zwierzętami

Jeździ po świecie,

Czemuż się sami

W nich poznajecie?”

Mógłbym podobnej użyć odpowiedzi

Do tej gawiedzi,

Co w tych bajeczkach znachodzi przycinki

Bądź do drugich, bądź do siebie.

Ja tylko chłoszczę podle uczynki,

Godność obudzam w potrzebie.

Strzelając na wiatr, w nikogo nie mierzę —

Kto zaś do siebie to bierze,

Jeżeli nie jest junakiem,

Niech się tej rady uczepi:

Że mu lepiej siedzieć makiem,

A poprawić się najlepij.

IV.

Z „OKRUSZYN“.

Partacze.

O! tylko chwał partaczy w każdej sposobności;
Umieszczą cię, gdzie przyjdiesz, w rządzie pierwszych gości.

Oryginalność.

Ktoś rzekł: Do żadnej szkoły nie należę,
Nie naśladowę i w mistrzów nie wierzę.
Cóż mnie nauczą Greki lub Rzymianie?
Znajomość z nimi — to naśladowanie.
— Zgadłem twej myśli wysoki kierunek:
Chcesz głupcem zostać na własny rachunek.



WACŁAW SZYMANOWSKI

(ur. 1821 † 1887).



JAKO ŻYD BORUCH,

handlarz skórek zajęczych,

dostał basarunek od Sasów i basarunek od Leszczyńskich,

i jaki z tego wyprowadził sens moralny.

(Historyja trefna a prawdziwa wielce).

W owe to czasy, kiedy do korony
Per fas et nefas dwóch się panie darło:
Kiedy Szwed i Sas, każdy na wsze strony
Gospodarował i walczył na gardło,
W owe to czasy drogą od Tajkurów,
Co węzem płowym biegła koło wioski,
Toczył się wózek maleńki, żydowski,
A w nim żyd stary i parę bachurów.
Wózek lichota, same grochowiny,
Dziury mu w bokach świecą od starości,
A koń u wózka toż skóra i kości,
A żyd. jak zwykle żyd, potulny z miny,
W futrzanej czapce, za całe ubranie
Hałał z wytartej zeszyty opończy,
Kiwa się ciągle, snadź pacierze kończy,
Lub na bachurów zaszwargocze z cicha,



Co chude członki wyległszy na sianie,
Chrupią jak tartak, co woda popycha.

Choć droga gładka, jak mówią po mydle,
A do popasu milek jeszcze ze dwie,
Noga za nogą koń się wlecze ledwie,
Zwykle żydowskie na wpół zdechłe bydle,
Chociaż to instynkt lepszy ma od czleka;
To też na wolę żyd mu puścił wodze,
I wzrokiem powiódł ciekawym po drodze,
Bo tam na drodze coś czerni zdaleka.

Czerni się, czerni, coraz więcej wzrasta.
I tuman kurzu wreszcie się przerzednia;
To szlachta panie, a snadź sama przednia,
Bo mina u niej gęsta i szumiasta;
Przodem, na siwku, co w dziwnym podskoku
Bokiem podrywa najeżywszy grzywę,
Z czapką na bakier, z demeszką u boku
Jakieś chłopisko harcuje straszliwe.
Wąs jak u suma, a twarz ogorzała,
W oczach mu wyraz płomienieje dyabli,
Brwi nastroszone, a szrama od szabli
W lewo z policzka w czoło wybieżała;
A pięść u niego taka zamaszysta,
Że jak cię rąbnie to do nóg upadam:
Zanim powstaniesz zjadłbyś czartów trzysta;
To sam chorąży, pan Szynigielski Adam.

W żydzie krew ścierpła, lecz cóż robić w biédzie?
Odkręcił na bok i ku polu dąży,
A wtem „stój żydzie!“ krzyknął pan chorąży,
I cała szlachta wrzasnęła „stój żydzie!“

„Gdzie to waść jedzie? o tak wczesnej dobie?
Proszę sam do mnie, pogawędzim sobie“.
Żyd wylał z bryki; poznawszy po mowie
Że to nie żarty, nachylając karku,
Do nóg się skłoni: „Przejaśni panowie,
Ja biedny żydek powracam z jarmarku.
Jadę do domu“. „Hola! za to ręczę,
Że gdzieś przeciw nam podążasz z językiem“.
„Jak mi Bóg miły ja nie zmówny z nikim,
W Tajkurach skórki sprzedałem zajęcze
I wracam doma; jeśli kłamię słowo,
Niech mi jasności niebieskie zagasną“.
„Więc dobrze, gdy chcesz z rąk naszych wyjść zdrowo,
Mów za kim trzymasz wyraźnie i jasno“.
„Nu, za kim trzymam? za panami juści“.
„Żydowski język zawsze krzywo hasa.
Tać wiem, że wszyscy jesteście oszuści;
Twoja rzecz wyznać łapserdaku szczerze
Komu ślubujesz w twej pogańskiej wierze,
Kogo chcesz królem, czy Sasa czy Lasa?“¹⁾
Żyd zadygotał, twarz zbladła jak kreda,
Strach przejął kości i grzbiet zgiął we dwoje,
I gadać bieda, i nie gadać bieda,
Bo nie żartują te niewierne goje.
Chciałby coś mówić, lecz się jeno jąka.
Bo strach ognisty na języku ciąży;
Wtem niecierpliwy krzyknie pan chorąży:
„Panie Jacenty! dajno waść postronka.
Kiedy jest takiej milczącej natury,
To go mosanie powiesim tymczasem“.
Jak oparzony żyd skoczył do góry:

¹⁾ Partyzanci Augusta II. tak nazywali Leszczyńskiego, stąd znane przysłowie.

„Aj, daj pan pokój, ja trzymam za L a s e m“.
„Więc poganinie jesteś w partyi szwedzkiej,
Czekaj; rozłożyć to plemię hajducze,
Dwadzieścia batów, na honor szlachecki,
Ja cię tu króla nazwiska nauczę“.
I kawęczeniem nie bawiąc się długiem,
Wraz rozłożyli żyda bez kobierca,
A pan Jacenty, podchodząc z kańczugiem,
Wlepił dwudziestkę, ale to od serca,
Że to aż iskry sypały się panie.
Więc kiedy dzieło skończyło się owo,
Siadając na koń, tak na pożegnanie
Rzekł mu Sznigielski: „Będzie waści zdrowo
I pomnij sobie odtąd na raz drugi,
Że Sas panuje, a my jego sługi,
A kto nie wierzy, to kropim batogiem“.
Uchylił czapki i odjechał z Bogiem,
A za nim szlachta.

Żyd podniósł się z ziemi
I wzrokiem powiódł gniewliwym za niemi,
I mruknął z cicha: „Żebyście zmarniali,
Jak proch na polu, razem z waszym Sasem;
Tfy! szelmy goje!“ Ścisnął hałat pasem,
Poprawił pejsów i pojechał dalej.

Bachury spały, szkapa lazła stępą,
A żyd mamrotał na gojów pod nosem;
Na prawo drogi od pola ukosem
Niewielka drzewek czerniła się kępa,
A za nią grobla z piaskowych kamieni,
Baguiskiem z obu naciśnięta boków;
Grobla nic jeszcze, lecz o kilka kroków
Znów jacyś ludzie stoją uzbrojeni.
I chociaż minąć radzi myśl ostrożna,

Grobla tak wązka, że minąć nie można,
A i tak panie konisko zmęczone;
Bieda bo bieda, lecz żyd się pociesza:
„Może mię zbawi wielki Bóg Mojżesza,
Co wiódł mych ojców przez Morze Czerwone“.
Więc tedy błaga pokornie Jehowę:
„Panie! niech ku mnie twa łaska się nagnie,
Spraw, żeby sługi te Faraonowe
Co do jednego zatonęły w bagnie.
Lub niech ich piorun twój ognisty spali,
Bo to są goje niktzemni i podli“.
Tak się żyd panie po swojemu modli,
A bryka tandem ciągle idzie dalej.
I już na grobli i jezdnych spotyka.
Brzękły podkowry, zaszczęknęły kordy,
A koń schwytany za cugle u mordy,
Stanął jak wryty, a za nim i bryka,
I Boruch jakby wyciśnięty procą
Znalazł się nagle przy bryce na ziemi;
Tu jeden starszy snadź pomiędzy niemi
Zagadnie: „Żydzio! gdzie jedziesz i po co?“
„Nu, gdzie ja jadę? ja jadę do domu,
Wszak ja nie żaden tatar ani turek?
Ja biedny handlarz od zajęczych skórek
I nigdy w drogę nie wlażem nikomu“.
„A komu służysz, ty pogańskie dziecko?
Z jaką ty partyą: czy Saską czy Szwedzką?“
Złękniiony Boruch macnął się po grzbiecie,
Bo u tych także za pasem kańczugi.
„Nu, wszak panowie wszyscy dobrze wiecie,
Że królem polskim tylko August drugi“.
„A więc tak śpiewasz? ty pohane plemię;
Rozłóżć żyda, niechaj się wraz dowie,
Że kiedy naszą zamieszkuje ziemię,

To musi służyć naszemu królowi.
I znów batogi.

A bachury spały.

Dawno świadomy już o tem świat cały,
Że w żydzie tchórzna natura i słaba;
Skórę ma twardą, ale miękkie serce;
Boruch jako mógł okutał się w ścierce
I jechał dalej, a beczał jak baba,
I choć mu dyable dokuczili iście
Już nawet nie klął, bo piekło siarczyście.

Żydowska karczma przy drodze za lasem.
Przed nią jak mrowie szlachta wysypała;
Tartas i rwetes, tu widać popasem
Stoją pancerni, ba, chorągiew cała;
Żołdactwo łaje gospodarza z krzykiem
Albo bachurów szturga ku zabawie,
A przede drzwiami na kamiennej ławie
Siedzi chorąży razem z namiestnikiem:
Oba już z mocno zrumienioną twarzą
I popijają miód z dzbana a gwarzą:
„Więc pan Kijowski odstąpił już Szweda?
No, poznał *quidem* skąd wiatr panie dmucha
Jeszcze Löwenhaupt...” „At Löwenhaupt mucha,
Ale z Potockim zawsze będzie bieda.
Sparty jak kozioł *et tandem* przysięga.
Że nie odstąpi; niechaj szwedów łupią.
Kaduk ich zabierz, z obcym nie mitręga.
Lecz ze swoimi jakoś dyabło głupio;
Kord we krwi bratniej zawsze się bezceści:
Żeby to jako skąd zasięgnąć wieści
I... patrzno waszmość tam na drodze oto
Podróżną brykę wstrzymali żołdaki,
Może to do nas jest posłaniec jaki?...

Dajcie sam żyda... gadaj-no hołoto,
Kto ty zacz jeden. za kim i do kogo?“
A Boruch stanął z wyciągniętą szyją:
„Co to się pytać? niech panowie biją,
A potem przecie zapytać się mogą,
Wszak tu wam tylko o batogi idzie?“

Taki jest morał gawędy o żydzie!



WŁADYSŁAW SABOWSKI

(ur. 1837 † 1888).



I.

SPEKULACYA DZIADOWSKA.

Był sobie kościół, a pod kościołem
W rząd stali dziady,
Opodal baby zebrane kołem,
A każdy wchodził z odkrytem czołem,
Jak dla parady.

Och tak! parada!... A Pan Bóg widzi
Zła dola dziada!
Człek się za groszem nasiedzi, zbiédzi,
Ten da, ten nie da, tamten wyszydzi.
Ot i parada!

Kiedy Bóg człeku nieco poszczęści,
Da dobre ludzie,
To grosze lecą w obydwie pięści.
Ale bez grosza stoi dziad częściej.
Póki nie pójdzie.

Dawniej to było! dola dziadowska
Byłać to dola!
O grosz się, o chleb, człowiek nie stroska,
Jeść, pić ci dadzą, niech tylko wioska.
Ruszaj przez pola!

Dziad cuda robił!... pewnego razu
Grzini wieść o cudzie:
Dziad to przemówił w głos do obrazu!
Obraz nie odrzekł ani wyrazu!
Dziwią się ludzie...

Dawniej to księżna dziada kochała.
Czy tam królowa,
Jest o tem w księgach historia cała!
Szewcowa dziada odkochać chciała,
Adryjanowa.

Bogata pani nigdy do stoła
Nie szła bez dziada,
Dziad ją w pas ujął, usta tknął czoła,
A ona była taka wesola,
Dziadowi rada!

A dziś niesmaczny ten chleb z włóczęgi,
Z torby i kija!
Policyjanci wzrok mają tęgi,
Złapią — to koza, a w kozie cięgi,
I Kalwaryja!

Kto ich tam uczył takiej chytrości?
Każdy sposobny,
Kęsa swobody człeku zazdrości,
Dziady chce mieścić w Dobroczynności.
Pchać w dom wyrobny!

Tak gwarzą dziady; dolę nielekką,
Ten łyż, ten łaje,
Bo dziad dziś został pętelką hetką.
Ten chodzi z sakwą, ten z portmonetką.
Nikt nie nie daje!

Dziad Marcin z Piotrem radzą się społem.
Nad swoją dolą.

Nagle rzekł Marcin słowem wesołem:
„Co tu stać mamy pod niebem gołem,
Aż kości bolą?

„Ot, jutro jarmark w sąsiednim mieście,
Boże nas prowadź.

Ja wezmę wódki, wy wódki weźcie,
Wszakże do handlu zdolni jesteście,
Będziem handlować!“

„Zgoda — Piotr rzecze — na to się godzę!
Handel niech żyje!

Ale jak wódkę wypijem w drodze,
I pośniem w lesie pijani srodze,
Cóż się odkryje?

„Na wódkę pójda zebrane grosze,
Jarmark nas minie —

Ot lepiej chleba nakupmy w kosze,
W jarmark sprzedawać będziem potrosze,
Z wódką człek zginie!“

„Ej Piotrze! Piotrze! — Marcin odpowie —
Nie ucz Marcina!

Nie ucz Marcina, wszak znasz przysłowie...
Wiedz, że do handlu, gdy rozum w głowie,
Wódka jedyna!

„Mieszczanie z miasta, kmiecie z chałupy,
Górale z kosą.

Kupią prosiaka, czy ćwiartkę krupy,
Zaraz pić będą sute litkupy,
Zysk nam przyniosą.

„Przysięgniem tedy na szczęście duszy,
Wszak człek nie głupi,
Że swojej wódki żaden nie ruszy.
A gdy się nazbyt gardło osuszy,
To sobie kupi.

„A tak drugiemu korzyść przyniesie,
Skoro zapłaci.
I grosza szczedząc nie uśnie w lesie,
A na jarmarku dopełni w kiesie,
Co w drodze straci“.

„Zgoda! więc idziem?“ — „Idziemy Pietrze“
„Bracie tyś Juda.
Pogoda cudna, czyste powietrze,
Z tych chmurek niebo zaraz się przetrze.
Jarmark się uda!“

O handlu śnili przez noc, przez całą,
Kupili wódki,
Piotrowi grosza nie brakowało,
A Marcinowi trzy się zostało,
Rachunek krótki.

I skoro nadszedł świt, nie śniadając
Wyszli do miasta.
Czem było śniadać trojaka mając?
Wyszli, wtem drogę przebiegł im zając,
Przeszła niewiasta.

„Ehe! zła wróżba! — Piotr na to rzecze —
Coś mi się widzi,
Że na nie pójdą zamiary człecze,
Zając przebiega, baba się wlecze“.
Marcin zeń szydzi:

„I! co ta! głupstwo, rzecz to jednaka!...

Lecz coś mi ekliwo...

Co dbać na babę, co na szaraka.

Oł, kupię wódki, wszak mam trojaka,

Dawajcie żywo!...”

Wypił, odchrząknął, i zaraz rażniój

Idzie już w drogę,

A Piotra trojak w kobiałce drażni:

„Marcinie, dobrze mierz, po przyjaźni,

Ja łyknąć mogę”.

Trojak w kobiałce znów u Marcina,

A butle lepsze;

Marcin znów ekliwość swą przypomina,

A że na ekliwość wódka jedyna:

„Daj wódki Pietrze!”

Tak, co chwil kilka, co kroków parę.

Sprawą trojaka.

Ten wypił miarę, ten wypił miarę,

Podochociły dziadziska stare —

Idzie tabaka!

A po godzinie przy tej gorzałce

I przy tabace.

Piotr miał już w pałce, Marcin miał w pałce

I, choć li trojak krążył w kobiałce:

„Daj wódki!... płacę!...”

Iście za dyabłą sprawą tak pili.

Bies to ich niesie,

Wszakże trojakiem jednym płacili...

Gdy wódki zbrakło, nie myśląc chwili.

Posnęli w lesie.

I spali twardo. aż nad wieczorem
Marcin się budzi,
„Jakim tu, — myśli. — leżym taborem?
Kędy nas droga wiodła tym borem
Zdała od ludzi?”

Dumali z Piotrem: i przypomnieli,
Aż w północ prawie,
Jak ową wódką handlować mieli,
Jak się popili i jak posnęli
W lesie na trawie.

A zrozumiawszy wypadek głupi.
Rzekli: „oj dosyć!
Głupi kto wódki na handel kupi,
Chcesz się kto upić, w porę się upij,
W jarmark idź prosić.

„Bo to, co żydom korzyść przynosi,
Dziady zabija;
Głupi, kto z handlu korzyści głosi,
Dla dziada jedna, gdy o grosz prosi,
Spekulacyja“.

II.

KAPUSTA.

Kapusto! na polach rosnąca głowiasto,
I pilnie zjadana przez mszyce!
Wiedz o tem, że dzisiaj i wioskę i miasto
Opisem twych zalet zachwyce!



Tyś cudna jarzyna: twa nazwa: „kapusta“

Tak dobra do rymów chaosu.

Że serce się pali do nazwy, — jak usta

Smakosza do faski bigosu.

Cóż brukwie? cóż rzodkwie? cóż marchwie? z nich rymy

Jak smak ich niemiłe i głupie,

O! wierz mi, kapusto! na zapas tej zimy

Nie marchwi lecz ciebie nakupię!

I mięsa w cię wkraję, i mąką zapalę,

Cebuli przyłożę dość sporo,

A potem przy ogniu przykopcę, przysmalę;

Toż będę zajadał za czworo!

Lecz wyjdź mi na zdrowie, kochana kapusto!

Wynagródź wytrwałość mą w części,

I gdy cię przypadkiem przyrządzą zbyt tłusto,

Nie sprawiaj zbyt wielkich boleści.

Bo masz ty tę wadę, kapusto, masz wielką;

Prócz tego masz jedną, jedyną!

Po tobie trza cieszyć się piwem butelką.

A wcale nie można pić wina.

Och! możesz stworzona dla synów proroka.

Ten symptom z ich wiarą tak bliski!

Złe wino po tobie, lecz dobry blask oka,

I uścisk namiętnej huryski!

Więc dalej panowie, po dobrym bigosie,

I blondyn, i brunet, i łysy,

We fraku na grzbiecie, ze szkiełkiem na nosie,

Ruszajcie pomiędzy hurysy!...

I usta niech sławią, a oko niech śledzi,
Ich oczka, ich buzie, ich szyje,
A komu w rozmowie nie stać odpowiedzi
Niech mu się kapusta... przypomni.

III.

DO J. K.

Przyznam ci się, choć to grzech,
Że się kocham razem w trzech.
Kieszenią, sercem, urodą
One w moich smach rej wiodą.
Bo też cudne to zjawisko!
Agrypino! Dydo! Prysko!
Trójko Gracyj, trójko Park!
Panie losów mych i snów!
Macie mnie od stóp do głów,
Urok lic mych, słodycz warg!...
Kiedy z gęśli mojej młodej
Tysiąc rzewnych dźwięków płynie.
Dzielnej muzy wieszczę płody
Niosę w darze Agrypinie...
Kiedy znów z zakątków głowy
Jak tłum drogą dowieć idzie.
Czcząc wzrok bystry i włos płowy.
Przynoszę go w darze Dydzie; —
A kiedy sprawą kieszeni
Chwila zabawy zabłyśka.
Rozszaleni, zachwyceni
Bawimy się: ja i Pryska. —

Cóż jest miłszego dla świata
Nad cnej fortuny uściski?
Pryska jest bardzo bogata,
Jak tu nie kochać tej Pryski?...
Piękność i młodość rej wiodą
W tem życiu troski i biędy,
Dyda jest piękną i młodą,
Jak tu nie kochać tej Dydy?...
Z czułością będzie się snuło
To biedne życie najszybciej. —
Agrypcia bardzo jest czułą,
Jak tu nie kochać Agrypci?...
Którą wziąć? kto radę poda
Ten wdzięczność moją pozyska:
Bogata, czuła, czy młoda?
Agrypcia?... Dyda?... czy Pryska?...



FAUSTYN ŚWIDERSKI

(EX-BOCIAN)

I.

RACYA FIZYKA PANA BURMISTRZA.

Dyalog filozoficzny w jednej scenie.

OSOBY:

PAN BRYNDZA, burmistrz. — PANI BRYNDZOWA, jego żona. — MACIEJ WILK
i JAN KUZDA, mieszczanie.

Rzecz dzieje się w Wolbromie 1840 r. w kancelaryi p. Burmistrza. Pan burmistrz siedzi w karle przy stole, przed nim krucyfiks; pani burmistrzowa w fotelu przy oknie robi szkarpetkę; panowie Jan i Maciej stoją przy drzwiach.

PAN BURMISTRZ.

Cóż powiecie nowego Mości Dobrodzieju!
Szanowni panie Janie i panie Macieju?

PAN MACIEJ.

Wielmożny prezydencie! proszę łaski Pana,
Zostałem pokrzywdzony przez kumotra Jana —
Nietylko na majątku, ale na honorze —
Sam Wielmożny Prezydent, skargę sprawdzić może —
Oto — moja kapota podarta w otręby.
Jedno oko zsiniałe — wybite trzy zęb. —



PAN BURMISTRZ.

Masz racją mój Macieju! zupełną masz racją!
Będziesz miał sprawiedliwą zaraz satysfakcyą.
Znam twe czyste sumienie, poczciwość i cnotę —
Masz racją, jak powiadam — zapłaćże dwa złote!
(Pan Maciej kłaniając się płaci i wychodzi).

PAN BURMISTRZ *(do Pana Jana)*.

Zacóżto takie straszne wyprawileś rznięcie
Kmotrowi Maciejowi?

PAN JAN.

. Panie prezydencie!
Chciałem żyć w wiecznej zgodzie sąsiadując z Janem,
Nazywał mnie złodziejem, oszustem, gałganem.
Że ja do złych uczynków ludzi namawiałem,
Nie na to nie zważałem. wszystko mu cierpiałem —
Ale jak mi powiedział — że ja — Janek Kuzda!
Żem ja jest Jeometra. że ja Skoczybruzda,
Nie mogłem już wytrzymać, mój Wielmożny Panie!
I musiałem mu sprawić takie smarowanie —
Wybiłem mu trzy zęby — podarłem kapotę!

PAN BURMISTRZ.

Masz rację najśluszniejszą! zapłaćże dwa złote!
(Pan Jan kłaniając się płaci i wychodzi).

PANI BURMISTRZOWA.

Mężu!... co masz w swem sercu, co masz w swojej głowie?
Czy tak winni rozsądzać procesa Bryndzowie?
Czy taka w kompromisach jest pomoc i rada.
Od Bryndzów, co są szlachtą z dziada i pradziada?!
Spraw przed ciebie wnoszonych słuchałam już kilka.
Jak dzisiaj Jana Kuzdy i Macieja Wilka —
Robiąc dla ciebie mężu pod oknem szkarpetki,
Spraw takich, jak dzisiejsza, słyszałam już setki —

Czyś zwaryował kochanku — proszę uniżenie.
By za głupie dwa złote sprzedawać sumienie?
Czy taka już panuje w duszy twojej chciwość,
Że dwa złote kosztuje twoja sprawiedliwość?
Czy myśleć o dynisiy masz wielką ochotę?

PAN BURMISTRZ.

Masz rację moja żono! zapłaćże dwa złote.

(Zasłona spada. — Pan Bryndza daje za kulisami Janowi i Maciejowi 15 kopiejek na sznapsa, którzy zaraz potem dają sobie buzi — resztę pozostałą kopiejek 45 pan Bryndza daje swej małżonce na szpilki — pani Bryndzowa przyjmuje z uśmiechem).

II.

NOMINACYA NA KWESTARZA

z dawnych akt klasztornych.

Wiedzą to wszyscy, że Archanioł Michał
Precz wszystkich dyabłów z piekła powypychał.
I straszną z nimi zrobił egzekucyą.
Bo tam podnieśli lotry rewolucyą —
Że święty Michał jest twoim patronem.
A ty na ziemi żyjesz z dobrym tonem.
Jesteś pocciwy i z serca i rodu,
I Bernardynom nie dasz umrzeć z głodu,
Znasz się z ich pustym, biednym refektarzem,
Więc cię mianuję Michale kwestarzem.
Twój Ojciec Gwardyan, co mieszka w Przyrowie.
Ma dość kłopotów klasztornych na głowie;

Przeto z uwagi, że tak ciężkie czasy.
Kwestujże szynki, ozory, kielbasy,
Wino i piwo i wszelki napitek
Dla Bernardynów na duszny pożytek;
Objeżdżaj wkoło całą okolicę,
Masło i jaja bierz na jajecznicę,
Przywoż nam gęsi. choćby i łabędzie,
Kury i kaczki, co na placu będzie;
Bierz goldwassery, rumy i likiery.
Jak możesz Bracie napęlniaj inaniery,
Aby nie było próżnego kieliszka.
Inaczej paskiem świętego Franciszka
Mógłbyś oberwać — albo Bernardyny
Wyskubaliby resztki twojej łysiny.
Bądźże więc Ojcze ostrożny w tej mierze.
Bo strzeżonego zawsze Pan Bóg strzeże.

X. Kleofas,

Guardianus Bernardinorum in Przylów.

Manu propria.





AUGUST WILKOŃSKI

(ur. 1805 † 1852).

...

I.

LIST Z NOSKOWA.

Nosków, 1 kwietnia 1837 r.

Kochany Władziu!

W ostatnim liście doniosłem ci, że J. W. prezesowa z Kozery na imieninach u hrabiego w Dymnicach publiczny z majorem Ostrołęskim uczyniła zakład: że każdego człowieka, bez wyjątku, pozna z postaci i z rysów twarzy jakiego jest stanu, urodzenia i pochodzenia. Wielu z obecnych, i ja z nimi, natychmiasteśmy wygranej majorowi wieszowali; ale znaleźli się i stronnicy prezesowej. Ostatnim przodkował filozof od ciemnej gwiazdy, sławny odszczepieniec XIX. stulecia, baron Barłóguski, ten sam, który pracuje nad dziełem: „O użyciu wywarów na karm dla ludzi roboczych“, a nawet pan baron oświadczył, że do połowy zakładu należy. Po skończonej stypie, major i kilku z młodzieży na noc do mnie

pojechali. Długośmy radzili, kogoby obrać z plebejuszów, którzyby, naszym przeciwnikom nieznany, rolę patrycyusza trafnie odegrał. Aliści szczęśliwie przypomniał mi się niezaprzeczony plebejusz, niemniej przeto wytworny światowiec Szczepan***, syn trębacza od fary Poznańskiej, a po kądzieli wnuk rybaka z Kruszwicy: Szczepanek, z którym do gimnazjum i na uniwersytet chodziłem. Gdym go majorowi i szanownym sprzymierzonym wiernie opisał, wszyscy zgodzili się na to, ażeby pana Szczepana cichaczem jak najrychlej sprowadzić. Tejże samej nocy odesłałem list na pocztę do Wielkopolski. Przyrzekliśmy sobie milczenie, i nazajutrz każdy do swojej wyruszył zagrody, zobowiązując się stanowczo, że na pierwsze wezwanie stawić się nie omieszka. Upłynęło dni dziesięć, a ani Szczepanka, ani odpowiedzi nie było. Już zacząłem wątpić o pomyślnym skutku mej prośby, gdy wieczorem zaturkotało na dziedzińcu, i w tejże chwili wtoczył się do pokoju, szopami okryty, zaśnięzony, atletycznej postawy wąsaty i brodaty Szczepan, a za nim żydek z pocztowego miasteczka z maleńkim tłómaczkiem. Uściśnienia szkolnych przyjaciół były szczere. W godzinę rozpiśałem listy. Około południa sprzymierzeni przybyli; nie czekając na obiad rozpoczęliśmy posiedzenie. Szczepan przedewszystkiem oświadczył, że chętnie każdą odegra rolę, aby niecną przesadą upokorzyć. O szczegółach naszej wielkiej ostatecznej rady dowiesz się z czynów, które skreślę poniżej; tutaj przytoczę część mojej dodatkowej z Szczepanem rozmowy, iżbyś się o jego zdolność nie obawiał.

— Pamiętaj tylko Szczepanku, gdy przyjdziemy pomie-
dzy te wrony egipskie, że winienesz, mówiąc po polsku, uży-
wać często składni francuskiej i wyrazy polskie przeplataj
o ile można najwięcej cudzoziemskimi; takie papuzie maja-
czenie różnymi językami za najwyborniejszą posłuży ci ma-
skę; i nie szczędź tą razą drogiej mowy naszej; kalecz, mor-
duj każdy okres, każde słowo; skalaj każde ust roztwarcie.

Szczepan. To się samo przez się rozumie. Czy mnie masz za nowicjusza w salonach?

— Nie, nie, ale widzisz, ja wiem o ile ty lubisz mowę rodzinną, o ile nią czarująco władasz.

Szczepan. Jako syn ludu, zaprawdę nie wmieszam obcego do polskiej rozmowy wyrazu, ale gdy będę hrabią Ademarem *oh! oh! je vous assure que je ne saurai exprimer* moich uczuć inaczey jak po salonowemu. Alboż ty myślisz, że i u nas w Wielko-Polsce tego rodzaju paplotanie do dziś dnia w tak nazwanej wyższej koteryi najmodniejszem być przestało?... Niestety! francuzczyzna, jak dawniej tak i obecnie, jest u nich jedyną świątynią umysłowości; a dzieła i pisma czasowe w języku polskim dla średniejszej szlachty, dla mieszczan, ale nie dla nich drukują.

Z tych kilku ustępów przekonałeś się zapewne, że szczęśliwie wybrał Szczepanka; i istotnie serce jego dobrze uczuło i pojęło o co nam idzie.

W kilka dni potem chyża wieść z wioski do wioski, z dworca do dworca zaziąjanym telegrafem biegła, że do mnie wprost z Madrytu przyjechał Ademar hrabia Firlej; że ojciec Ademara przed 20 laty zginął pod pugnalami włoskich bandytów; że matka Ademara jest księżniczką hiszpańską de los Manos Espinada; że Ademar dlatego Madryt opuścił, ponieważ się w nim pokochała królowa, a na związek takowy Kortezy nateraz zezwolić nie chcieli i t. d. i t. d.

Pani Palecka, dziedziczka Mileżącej Wólki, mając sobie przez Stasia te wszystkie szczegóły w wielkim sekrecie powierzone, lękając się, aby się ktokolwiek z ust innych o tem nie dowiedział, z pościelą na objazd powiatowy wyjechała, i podobno że najlepszą ochwaciła formalkę, ale też za to przed ostatnim wtorkiem stanęła u prezesowej, do której na wielki bal całe sąsiedztwo i ja z mym gościem przez siostrzeńca pani prezesowej zaproszony byłem.

O godzinie 4-tej z południa, w największej paradzie,

zajechaliśmy przed pałac w Kozarach. Wszystkie dolne szyby, a nawet niektóre z górnych, mozajkowane były różnorodnemi twarzyczkami damskimi, wpośród których tu i owdzie najezzone mężczyzną wąsy komiczną stanowiły sprzeczność. Pod kolumnadą przyjął nas rodzony brat prezesowej, hrabia Szumillo, niegdyś szambelan Stanisława Augusta, dzisiaj rezydent w Kozarach i niezmordowany angielskiej gitary zwolennik, a francuskich aryetek zapalony miłośnik.

— Grzeczność łaskawego sąsiada miłą zawsze dla nas będzie powinnością — wyrzekł do mnie szambelan, a memu towarzyszowi tak się bardzo nisko uklonił, że o mało równowagi nie stracił.

Prezesowa, spostrzegając nas wchodzących, jak z procy wyleciała z fotelu i przyśpieszonym kołysaniem starała się pierwszej od nas do środka salonu dobieżeć; jakoż, w samym — środku miałem zaszczyt wygłosić:

— *Madame! j'ai l'honneur de vous presenter M. le comte F.*

Wyrazy *le comte F.* wymówiłem tak dobitnie, że całe towarzystwo, nie wyjmując, o zgrozo! i dam, z lekka powstało. Pani prezesowa, usunąwszy się pół kroczka wstecz, zrobiła wielce wspaniały dyg; towarzyszył mu uśmiech szczęścia. Pan hrabia F., nie ruszając się z miejsca, pchnął swoją postać naprzód, przybrał wyraz twarzy nader poważny, uprzejmem uszanowaniem okolił usta i pięknem narzeczem salonów paryzkich wyrzekł w języku francuskim, głosem umiarkowanym i słodkim:

— Pani! zaszczyt być przedstawionym pani prezesowej zwiększa się dla mnie familijnem uczuciem, bo nazwisko rodziców pani ozdabia genealogiczne przodków moich drzewo. — Prezesowa słysząc te wyrazy, wymówione wobec całego sąsiedztwa, ogłaszające że z F. jest spokrewnioną, łzami radości małeńkie zwilżyła oczy, a przymrużając je rozkosznie drżące zaimprovizowała westchnienie.

— Ach! ileżto razy moi rodzice wspominali... Co do mnie, ubogą jestem w wyrazy, aby moją radość wyśłowić, że tak godnego poznaję kuzynka.

— Pani! zaprawdę, ten dzień szczęścia mojego do najtkliwszych pamiątek policzę.

— Jak się miewa mama hrabiego, o której wysokich przymiotach tak wiele słyszałam. którą mieć szczęście pozna-
nia dawno jest mojem najgorętszem życzeniem.

— *Merci, mon maman* jest zdrową, zostawiłem ją w *Madrit*.

Odtąd Ademar mówił językiem plecionym, do którego czasem i włoskie i angielskie mieszał wyrazy.

— Pan hrabia dawno wyjechałeś z Madrytu?

— *Quelques jours après* rok nowy.

Całem towarzystwem otoczeni, w małej procesyi zbliżyliśmy się do kanapy; Ademara usadzono na wielkim fotelu; panie cisnęły się o zajęcie najbliższego miejsca przy panu hrabim F.; niewdzięczna prezesowa zapomniała do mnie wyrzec i słówka. Natomiast Paplecka z Milezającej Wólki, chwytając mnie grzecznie za rękę, odwiodła na stronę i spytała skwapliwie, jak długo hrabia F. w Polsce zabawi?
— Zależać to będzie od listów z Madrytu. — Czy matka hrabiego istotnie księżniczka? — Związkami pokrewieństwa z Burbonami złączona. — I pan znasz hrabiego? — Od lat 26-eiu małym jeszcze dziecięciem. — I pan hrabia znajomi się z panem? — Zaszczycą mnie swoją przyjaźnią; podróżowałem z nim przez lat kilkanaście.

— W których krajach? — We wszystkich częściach świata; od Chin do Lizbony zwiedziliśmy wszystkie miasta i miasteczka, niemal każdy zakątek, na którym historia świata swą czarującą położyła pieczęć. — Ja nie wiedziałam, że pan tyle podróżował; bardzo przepraszam.

— Zawsze panią uwielbiam.

Gdy się na Ademara obrócił, spostrzegłem, że wszyscy,

jak w cudowną tęczę, weni oczy wlepione mieli. Nawiasowo a najgrzeczniej właśnie go egzaminowała prezesowa co do jego stosunków majątkowych. Hrabia odpowiedział, że podróż jego do Polski ten tylko ma cel, aby o spadek ojczysty rozpocząć proces; co zaś do macierzystego majątku, dodał niedbale, „należy do *les plus brillants en Espagne*“.

Półgłos 1-szy: *Il est* czarujący! 2-gi: Jakie ułożenie! 3-ci: Co za edukacya! 4-ty: Żałuję, że nie przyjechał Ostrołęski — przekonalybyśmy go jak wyraźnie piętnuje się wysokie urodzenie. 5-ty: *Vous avez raison ma petite*; nieco głośniej odpowiedziała prezesowa: mój ojciec jest bardzo blisko spokrewniony z F. 6-ty: Ale on przez matkę daleko wyżej stanął. 7-my Paplecka: Tak. krew Burbonów w nim płynie. Czy on się też ożeni? 8-my: O! z pewnością; ale z kim?

— Rozumiem, że nie w Polsce. 4-ty: *Naturellement, si riche!* może sobie i za granicą poszukać księżniczki. 5-ty: Kto wie, może jego matka nie bez przyczyny bawi w Madrycie. 6-ty: O! jakby to było chlubnie dla naszego narodu, gdyby Firlej zasiadł na tronie Hiszpanii. 7-my Paplecka: Żeby mu to napomknąć, co też on na to powie?...

— 1-szy: *Mon ange*, niewypada; należy szanować tajemnice polityczne.

Następnie Paplecka zapominając, że już roczek czterdziesty jej życia przeminął, ze spuszczeniem na dół oczynia, nieśmiało hrabiemu uczyniła zapytanie, jak znalazł swoje rodaczki; czyli się zgadza z głosem całej Europy, że Polki przodkują płci pięknej całego świata.

— Mając szczęście konwersować do pani, *je ne blessarai la vérité*, kiedy oświadcę, że tych uczniów z całą Europą zawsze podzielę.

1-szy: Co za grzeczność!... 2-gi: Jakie słodkie wyrażenie! 3-ci: Jaka odpowiedź *a propos!* 4-ty: Co za usta! 5-ty: Jakie zęby! 6-ty: Co za nos! 7-my: Co za oczy! 8-my: Co za włosy!

Barłoguski. Cała postać zachwyca i zniewala razem. On jest istnym Apollina polskiego obrazem. Ale bo też to wszystko pochodzi z wysokiego urodzenia.

Zrazu na ucho wyrzeczone pochwały, niezadługo zamieniły się w głośnie uwielbiania, których hrabia F. słuchał bez zrozumienia; niekiedy tylko lekki ukłon świadczył, że był łaskaw przyjmować należną mu cześć.

Nie będę cię nudził opisywaniem całego mnóstwa szczegółów tych wszystkich hołdów, jakimi z ubliżeniem własnej godności wszyscy obsypali mniemanego Firleja. Barłoguski odzywał się do naszego Szczepana z taką uniżonością, że zdawało się jak gdyby pan baron u hrabiego o posadę podleśnego się starał. Prezesowa o mało, że całego słownika dla wyrazu „*mon cher* kuzynku“ nie zapomniiała, a syn trębacza, widząc ile ją swoim kuzynowstwem uszczęśliwił, co chwila także *ma respectable cousine* powtarzał. Wystaw sobie do jakiego stopnia pomieszało się w głowie Barłoguskiemu, że ile razy F. do niego przemówił, on zawsze z krzesła się zrywał i mimo grzecznych prośb siedzącego, dopóty usiąść nie chciał, dopóki F. wszczętej z nim rozmowy nie ukończył. Podczas wieczery przyjechał Ostrołęski. Prezesowa, przy przyjęciu pocałowania swej rączki szepnęła mu z cicha: „Majorze, *connaissez vous le comte F?* Otóżto z pierwszego wejścia poznasz wysokie urodzenie. *Savez vous*, on jest moim kuzynem, rodzi go hiszpańska księżniczka de los Manos Espinada“.

Major odpowiedział głośno: „Pomówimy o tem potem“. Prezesowa się zmieszala, i zwykłą kobiecie przenikliwością z tych kilku wyrazów majora domyślając się reszty, pełnym rozpacz i wzrokiem na innie rzuciła. Minu wszelkiej usilności, śmiechu wstrzymać nie mogłem. Prezesowa zbłądła, zsiniała, i nagle z zadziwieniem całego towarzystwa, udając wielką słabość, do przyległego oddaliła się pokoju. Roznoszono pasztet z dzikich gołębi z truflami, gdy się ten drugi akt rozpoczął.

Paplecka bezzwłocznie wracając od prezesowej, prosiła mnie, abym za nią pospieszył. Wyznaję ci, mój Władziu, że mnie trochę zimno przeszło; wypilem więc dla lepszej odwagi całą szklankę czerwonego wina, utarłem serwetą usta i udałem się do prezesowej. Prezesowa siedząc na kozetce, mając przed sobą trzy wielkie fłakony z trzeźwiącemi kordyałami, głosem drżącym i słabym prosiła, aby się do niej przybliżył, i po cichu do ucha spytała: „Panie Auguste, powiedz mi pod słowem honoru coto jest za F? czyli mnie tylko zabardzo nie skompromitowałeś?“ — „To jest, również cicho do ucha odpowiedziałem, Szczepan, syn trębacza od fary Poznańskiej“. Prezesowa wrzasła i na doprawdy zemdłała. Ile tylko było białogłów, wszystkie wbiegły na krzyk Papleckiej, mężczyźni powstali od obiadu, zrobiło się wielkie zamieszanie. Korzystając ze szczęśliwej chwili, już się z F. na dziedziniec wymykam, ale mnie w sieni Paplecka za poły schwyciła, prosząc błagalnie: Panie Auguste! przez litość, powiedz mi coś ty szepnął prezesowej?

— Zmiłuj się pani, puszczaj mnie; nie mogę: zdradziłbym... tajemnicę stanu.

Ciekawość Papleckiej nie знаła granic; klęka i woła: w imię Boga! wyjaw mi ten sekret, bo w twojem ręku zemdleję!

Lękając się nowego wypadku, nachyliłem się do ucha Papleckiej. „Pani możesz mnie zgubić! — Gdyby moja matka z grobu powstała, słowa nikomu nie powiem — Mniemany F., którego pani poznałaś, jest Lucyan Bonaparte“. Paplecka skamieniała, ja z F. skoczyliśmy do pojazdu. Wczoraj słyszałem, że Barłóguski i szambelan, za mniemaną obrazę prezesowej, pojedyńkiem się odgrażają. Co się dalej stanie, doniosę; obecnie pisanie moje kończę, bo wyjeżdżamy na proszony kawalerski obiadek do majora, od którego bliższych szczegółów o zakończeniu drugiego aktu dokładnie się dowiemy. Całunki i bratnie uściski. Szczerze cię kochający

Au. Wt.

II.

PRZYPADEK,

który na własne oczy widziałem; w istocie mały,
a wielkiego wstydu narobił.

Wstęp smutny. — Powiastka zwyczajna. — Zakończenie wielce dramatyczne
i niezaprzeczenie oryginalne. — Krótki sens moralny w dodatku.

Wstęp.

Jedna z upowszechnionych wad naszego kraju jest zbytńia ilość koni eugowych, przy szczupłej liczbie koni roboczych. Bardzo często widzimy dzierżawcę maleńkiej wioski, szumiącego czwórką lub piątką eugowych rumaków, a nie mającego więcej do gospodarstwa, jak dwie nędzne szkapy. Wprawdzie i eugowe bywają o tyle wychudzone, że im wszystkie żebra policzyć można, ale zawsze są to eugowe, to jest: zaprzężone w szuwaksowany rzemień z mosiężnemi sprzączkami na krakowskich chomontach, lub gdy jest pan dumniejszy, na angielskich szorach. Taki sam stosunek istnieje co do pojazdów: bryczki porządnej i wygodnej w wielu dworach szlacheckich nie znajdziesz, o półtoraczny, dobrze okuty wóz fernalski nie pytaj; natomiast pudło w resorach, gdyby przyszło czwartą część konającego majątku na to odłożyć, gdyby i za pożyczone pieniądze, być musi, albowiem każda edukowana i dobrego urodzenia córka obywatelska, wybierając się za męża, przedewszystkiem marzy o koczku, i nie mającemu nowego koczka i liberyi i koni eugowych nie oddałaby swej ręki, chociażby łączył w sobie wszystkie przymioty zanego człowieka.

Wyjątek w tej mierze zdarza się tylko przy desperacyi miłosnej i wtenczas mówią, że panna zrobiła poświęcenie. O dziedzicach nie rzeknę nic, bo jest-że u nas przykład, aby dziedzic dóbr ziemskich, niechby te dobra ziemskie tylko

3.000 złp. czystego dochodu przyniosły, aby, mówię, dziedziczeni się bryczką, aby dziedziczka dóbr 3.000 złp. przynoszących, bryczką jeździła?... A kto widział? tego u nas nigdy nikt nie żądał. Jest albowiem jak wół wyraźne prawo w kodeksie obywatelskim rzeczypospolitej babińskiej: „wszystkie dziedziczki dóbr ziemskich, jako cierpiące na jeneralne spazmy i familijne hemoroidy, winny się huśtać na resorach, a to pod utratą wszelkich fumów dziedziczki“. W Niemczech inaczej: tam ziemianin, mający 5.000 talarów czystego dochodu, długo się namyśla, czy kupić koczobryk, czy jeździć tak jak dawniej budką, lakierowanem płótnem krytą. — zwyczajnie: co kraj to obyczaj.

U nas zaś jest obyczaj: kocz! prawo babińskie po temu, a więc koniecznie: kocz! i chociażby na starość przyszło piechotą podróżować, z młodu najkonieczniej potrzebny jest kocz, bez żadnego względu na ilość posiadanego majątku, na niepewność dochodów, bez względu, co będzie i jak będzie: główna rzecz, aby żony i córki obywatelskie jeździły jeżeli nie oszkloną landarą, lub, co najmniejszą, karetą! to przynajmniej koczem, mówię wyraźnie, koczem.

Powiatka.

W dobrach jednego z wielkich niegdyś panów, służył przed 10-ciu laty ekonóm: imię jego Rafał, nazywał się Kukawką. Wedle powszechnego u nas zwyczaju, pobierał za usługę 300, ordynaryi twardego zboża korey 15, wierzchowca na pańskiej stajni i 2 krowy na pańskiej oborze: o nierogaciznie i drobiu nie wzmiankowano w kontrakcie: tylko ustnie pan komisarz oświadczył: resztę wolno waćpanu chować w proporcji.

Kiedy Rafał Kukawka obejmował urząd ekonoma w dobrach wielkiego pana, miał jedną kapotę z taśmami od wielkiego święta, kożuch na zimę szaraczkiem kryty, szarawary

skórką cielącą oblanowane, jeden garnitur z surowego płótna na lato, jedną parę juchitowego obuwia, nieco bielizny w dębowej skrzynce, kamizelkę pikową z cynowymi guzikami, granatowy kaszkiecik z rydelkiem, jedną brzytwę z paskiem, chustkę cycową na szyję (chustek do nosa, skarpetek i rękawiczek wówczas nie używał), siodło za 10 złp. drogo kupione, bat krótki na jałowcu, harapuik na sarniej nóżce oprawny.

W pięć lat później miał pan Kukawka kilkanaście sztuk bydła rogatego, dwa konie do zaprzęgu, jednego do wierzchu, 3 żrebce na zgoninach, sporą trzodę nierogacizny, drobiu pod dostatkiem, sprzętów gospodarskich przywoity zasób, bryczkę parokonną i jednokonną, wyżła, fuzyjkę, fajkę, tabakierkę, nieco mebelków w domu, kilka obrazków książąt niemieckich, kilkoro dzieci i żonę Małgorzatę. W 10 lat później pan Kukawka dzierżawił wioskę Skwarek, prowadził hurtowny handel okowitą i po wszystkich jarmarkach tytułowano go: „panie Kukasiński dobrodzieju!”

Kiedy się Kukawka w Kukasińskiego zamieniła i czy się to stało z pozwoleniem heroldyi, czy bez pozwolenia, tego opowiedzieć nie mogę; wiem tylko, że w r. 1840, jakoś na jesień, widziałem tłustego obywatela w biurze informacyjnem Kaczanowskiego, na Krakowskiem Przedmieściu, który się pilnie dopytywał, ażali już familijne dokumenta Kukasińskich nadeszły z Podola.

Rokn 1844, w powiecie N. N. w gubernii N. N. w dworskiej rezydencji dóbr ziemskich N. N., zastawny dzierżawca Wny Rafał Kukasiński, dnia 10-go grudnia, o godzinie 4-tej z południa, leżąc w merynosowym szlafroku na kanapie, palił ze stambułki gelbvirginię z dreikoeniżkiem mieszaną i następującą prowadził rozmowę z wielce szanowną małżonką swoją.

— Mniejsza o pieniądze, ale moja duszo, nasza dawniejsza egzystencya tak jest znana w sąsiedztwie, że ja przyznam ci się, duszko, wstydziłbym się jeździć koczem, zwłaszcza, że i ten Kaczanowski jeszcze mnie nie wylegitymował.

— Mnie się zdaje, żeby on cię i wylegitymował, żebyś ty do niego koczem zajechał.

— Tak gadasz, jak się znasz; w Warszawie koczem jeżdżą wszyscy doróźkarze i, jak zapłacisz złotówkę, możesz od rogatki do rogatki koczem paradować.

— Tem bardziej, kiedy w Warszawie za złotówkę wolno każdemu koczem jeździć, dlaczego my na wsi, mając 40.000 sumy hipotecznej, koczem jeździć nie mamy. Ale tobie to nie warto i rozsądnie poradzić. Zawsze ci jeszcze Kukawka z parokonną bryczką w głowie. Bywało się pod wozem, można być i na wozie.

— Poczekajmy jeszcze kochanie, może ja na św. Jan skończę z panem hrabią o kupno Paźdierza, wtenczas, zwłaszcza, że się w inne przeprowadzimy strony, dlaczegóżbym nie miał kupić kocz; a i koni tymczasem dobiorę maściстых i pomyślałoby się o nowych chomontach, o płaszczu szaraczkowym dla Mateusza, byłoby jakoś jedno z drugim.

— Ty zawsze, kiedy ja ciebie o co proszę, wyjeżdżasz ze swojemi obietnicami, a nigdy nie dla mnie uczynić nie chcesz. W całym sąsiedztwie wszyscy mają kocz, nawet żona tego bankruta Kozieglowskiego paradyje koczem, a ja, co przez całe życie pracowałam, będę jak głupia jeździła bryczką. Wiesz co? trzy miesiące nie byłam w kościele dla tej naszej żółtej bryczki. co ją już wszystkie dziady z całej parafii palcem wytykają, ale gdyby mi przyszło i na Boże Narodzenie nie być w kościele, żółtą bryczką nie pojadę!

— To ją każe Stefankowi pomałować na zielono.

— Dureń stary z ciebie i kwita; nie warto, żem wyszukała nazwisko Kukasiński, tobie było na zawsze pozostać Kukawką.

— No, no, moja jejmość, tych żartów za wiele, durniem nie byłem i nie będę, a jeżeli ci koniecznie tak pilno do kocz, niech cię rejment dyabłów weźmie, kupię ci i kocz, tylko mi nie skrzecz nad głową, bo ja w tym roku mam za swoje;

siano zgniło, pszenica na pniu porośla, owsa i jęczmienia jak na lekarstwo, kartofle przepadły, a jeszcze do tego propinacyę ścisnęli, ani na kredyt szynkować, ani tańcować po 10-tej nie wolno, handel okowitą ustał, wszystko idzie na opak.

— Ja sprzedałam dzisiaj okowity 30 garncy Herszkowi.

— Po czemu?

— Po złp. 3 groszy 5.

— Żebyś ty pięć lat konała, wszyscy już i po groszy dziesięć sprzedają.

— Ale ja dołam dwa dzbanki wody.

— I cóż, żyd nie poznał?

— Miał poznać, kiedy ja statki wysmarowałam alkora-nem, więc okowita, jak zawsze, pokazała jedenastą próbę.

— Nie alkoranem, tylko alkoholem, naucz się gadać jak należy.

— Jak będę miała kocz, to się i gadać nauczę.

Marynka, 8-letnia córeczka, w tę chwilę wciągnęła za ogon miauczącego kota i rozmowa państwa Kukasińskich zamieniła się w śmiech nad dowcipem Maryni.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia roku jak wyżej 1844, pan Kukasiński wstawszy równo ze dniem, wyłoiwszy skórę parobkowi, jął się do przemierzenia okowity w cztery kufy, które wieczorem zamierzył wyprawić do Grochowa pod Warszawą, i już słońce ku południowi zbliżało się, a pan Rafał jeszcze w gorzelni gospodarował, gdy trzecia dziewczka nadbiegła z zapytaniem, czy jegomość pojedzie do kościoła, czy nie pojedzie.

— Powiedz pani, że nie pojedę, bo mi się rachunek zmylił i muszę mierzyć na nowo.

— Pani prosi, żeby jegomość przyszedł powiedzieć, jak się drzwi koca otwierają, bo karbowy Walenty ukręcił tę złotą galkę.

— Żeby on szelma jasności Boskiej nie oglądał! kto kazał temu niedźwiedziowi łapą swoją majdrować przy kocz! Chamu, myślał zapewne, że to kłonica przy wozie.

Po tych słowach, ze złością wyrzeczonych, napisał pan Kukasiński na belce siódmą kreskę za ósmym krzyżykiem, wygnał dwóch parobków z piwnicy, wziął do ręki świeżą dębową klepkę z nieczestawionej jeszcze nowej kadki zaciernej, zamknął drzwi na klucz i spuściwszy tenże klucz do Portugalii, sążnistym krokiem ruszył do dworu.

Przed dworem stał w cztery formalne konie zaprzężony kocz żółty, na wysokich resorach suknem granatowem wybity, z wązkim koziółkiem bez fartucha, na giętych prętach bardzo wysoko wyniesionym. Koła, rozmiaru tych kół, które Łwans daje do sieczkarni, dwa żółte, dwa czerwone, a wszystkie cztery pomiędzy sobą równe, trzymające u dołu kolej tak nazwaną saską, u góry odbiegły od pękładu z każdej strony na 1 i pół łokcia, obręcze wyszlufowane wzmacniało 12 nowych, już na wsi zrobionych cybantów. Był to sprawunek za złp. 470, na święta wprost z Pocijowa do Skwarków sprowadzony.

Kiedy jegomość przyszedł do kocz, karbowy Walenty właśnie próbował kowalskimi obcęgami pochwycić sztyft w mosiężnej gałce ukręcony, a formal Maciej małym toporczakiem podważał drzwiczki, niby ku ulżeniu zardzewiałym zawiasom; jejność, otoczona dziewczkami, stała zafrasowana tuż przy fabrykantach.

— Jezu! Jezu! — krzyknął Walenty, gdy go jegomość ową świeżą dębową klepką przez plecy ściągnął.

— A szelmo! a złodzieju! a niegodziweze! naści patent na ślusarza od pojazdów.

Matusz, nie czekając kolejki, rzucił toporek na ziemię i jednym snem płot od ogrodu przesadził.

— Danu ja ci toporem drzwiczki od kocz otwierać —

krzyknął za Mateuszem jegomość i popuściwszy Walentego, obrócił się do żony.

— Więc ty nie mogłaś się doczekać, aż ja z gorzelni wrócę?

— Dziesiąta godzina wybiła, wszyscy ludzie idą do kościoła.

— A szelmy! taką mosiężną gałkę ukręcić i jakżeż teraz otworzyć bez gałki! ażeby was paraliż zaraził z waszem majsterstwem: to ta bestya niedźwiedzią łapą ukręciła. — I znów jegomość Walentego lunął świeżą klepką dębową raz, drugi i trzeci. Widząc więc Walenty, że mu nie wypada dłużej placu dotrzymać, z obcęgami w rękę dał drapaką i Mateusza na pastewniku dogonił.

— Tylko się mężu nie gniewaj, ja już przystawię stołek i tak wleżę bez otwierania dzwiczek.

— Patrzajcie, po stołku będzie wchodziła do kocza! także i przed kościołem po stołku będzie wychodziła z kocza? także mi mądra? Ale ona by już i po drabinie wlaźła, byleby tylko jechać w koczku. A toć-że masz przecie drugie drzwiczki.

— A prawda.

— Jagna, bieź jeno na pastewnik, tam pod stogiem stoją obadwaj majstrowie; powiedz Mateuszowi, jak nie powróci do koni, dam mu Narodzenie, aż mu skóra zsinieje.

Jagna pobiegła. Gdy Mateusz powrócił do koni i wielmożnego pana w kolana pocałował, wielmożny pan dał mu tylko kulaka w kark. Mateusz rad, że się tylko na kulaku skończyło, wygramolił się na koziołek i podane mu przez Jewkę lejce i bicz przyjął nie bez nowej trwogi, czy potrafi z tak wysokiego kocza szczęśliwie do kościoła zajechać.

— Słuchaj jeno Mateuszu — mówił udobruchany i widokiem ekwipażu rozradowany jegomość — zajeżdżając przed kościół, weźmiesz się na lewo i zrobisz około dzwonnicy zakręt, abyś stanął tą stroną, gdzie gałka nieukręcona.

— Dobrze, wielmożny panie, już ja wiem, zaraz od księżej stodoły złożę na lewo.

— Tylko przy księżej stodole ostrożnie, bo tam są doły po kartoflach.

— Ale mężu! któż mnie drzwiczki otworzy, jak zajedzie przed kościół?

— Nie możesz sama otworzyć?

— Ale jakżeż ja z tak głębokiego koczka wychylić się mogę? zresztą, może nie potrafię. Czy nie mógłby Grzesio stanąć za koczem.

— W czymże pojedzie, obdarty jak złodziej, usmolony jak koniniarz.

— Ja go kazałam umyć i mógłby się ubrać w te rzeczy, które to szynkarka wzięła od tego podróżnego pijaka.

— Jak tam chcesz, tak zrób.

W pięć minut potem, Grzesio, 15-letni chłopak, który w lecie żrebec pasał, a w zimie w piecach palił, w bucheiastym fraku, w dostatnich pantaleonach, z nieco zaprzestronnym kapeluszem na głowie, gdy jejmość wsiadała do koczka, stanął w tyle, uchwycił za ramię i z wielkim ukontentowaniem zawołał: ruszaj Mateuszu! Patrzył za odjeżdżającymi, wracający do gorzelni, zadowolniony jegomością, patrzyły z podziwem pozostałe dziewczki, patrzył się z pastewnika karbowy Walenty, na wsi kto tylko oczy miał w głowie, patrzył się to na Mateusza na wysokim koźle, to na żółty pukład na wysokich resorach, to na ogniście wystrojoną jejmość w pukładzie, to na przebranego Grzełę, którego mało kto poznać mógł.

Droga przez wieś i droga za wsią aż do samego kościoła we wsi sąsiedniej była piaszczystą; Grzesio mocno się trzymał za ramię, na nos spadający mu kapelusz łokciem na czoło podsuwał i jakoś było wszystko dobrze — w sercu zaś pani Kukasińskiej, odbierającej najniższe pokłony od idących do kościoła włościan, był raj żadnym językiem nie wysłowiony, a myśl o wrażeniu, jakie na sąsiadach uczyni, gdy koczem

z lokajem przed kościół zajedzie i gdy koczem z kościoła odjeżdżać będzie, piętrzyły się w piramidę dumy, przynajmniej tak wysoką, jak szczyty galicyjskich Tatrów.

Zakończenie.

Każdemu ze znających obrządki kościoła rzymsko-katolickiego wiadomo, że w pierwsze święto Bożego Narodzenia jeden ksiądz trzy msze święte odprawia. Otóż w parafii N. N. ksiądz proboszcz odprawivszy mszę drugą, szedł ku plebanii, a lud wytoczył się na cmentarz i witał się ze znajomymi, którzy schodzili się na trzecią mszę świętą. Kilka pań z córkami i kilka pań bez córek, kilku sędziwych obywateli, młodzież dorosła, młodzież ze szkół przybyła, czyli szanowne obywatelstwo parafii, o której mowa, także przystało na cmentarzu i powinszowania dosiego roku krzyżowały się w najlepsze, gdy wtem przy księżej stodole pałnął ktoś z bicia. Wszyscy spojrzeli ku stodole: miałem i ja oczy ku patrzeniu, patrzę więc i widzę cztery fornalskie koniki, widzę koziołek wysoki, a na nim znanego czytelnikom Mateusza, widzę żółty pukład na wysokich resorach, widzę w pukładzie szlachciankę z ogromnemi kokardami szafranowego koloru — to wszystko widzę, zarazem słyszę na cmentarzu znagła szerzący się śmiech i równocześnie wrzaski, hałas, wołania ze wszystkich stron: „patrzaj, patrzaj kumie, wejgo, wejgo!“ A gdy i panie zawrzasty: „pfi! pfi! pfe!“ ledwo mi oczy na wierzech nie wyłazły z ciekawości, z czego się lud pocziwy śmieje i na co panie wołają: pfi! pfe!

Istotnie jestem w kłopotcie jak to opisać, co i ja w końcu spostrzegłem — ależ, należy się na chwilę cofnąć w opowiadaniu.

Gdy Grzelę ubierano do służby lokajskiej, włożyli na niego frak, kamizelkę i odzienie, na które krawcy żądają łokei dwa; dano mu nawet chustkę na szyję; jak wiadomo, miał

kapelusz przestronny, miał i obuwie przyzwoite. jednakże o czemś zapomniano. Oto, Grzesio nie miał szelek i gdy Mateuszek, objeżdżając dzwonnice, silnie stuknął o kamień, przestronny kapelusz wpadł Grzesiowi przez nos aż na brodę, a dwa łokcie sukna, w najniebezpieczniejszej chwili zwolnione, opadły aż na pięty Grzesiowi, że zaś Grzesio pod dwoma łokciami sukna nie miał czterech łokci płótna, więc oryginał strony odwrotnej był u Grzesia najwidoczniejszy, a całość postawy i poruszeń biednego chłopca, wiatr igrający z połami fraka, dopełniły widoku, na który człowiek w godzinę śmierci swojej jeszczeby się roześmiać musiał.

Sens moralny.

Powyższe opowiadanie niechaj nietylko dla Kukasińskich, ale i dla wszystkich, co nad możność paradować pragną, nowym będzie dowodem, że chęć równania się bogatym, prędzej czy później smutne, częstokroć najsmutniejsze upokorzenie sprowadza — niechaj za zwierciadło ich głupstwa posłuży.



ARTUR BARTELS

(ur. 1818 † 1885).

❧ Z PRIOSNEK I SATYR ❧

I.

MAŁPY I LUDZIE.



Napróżno Darwin dowodzi,
Że człek od małpy pochodzi.
A co więcej, że jest pono
Małpą udoskonaloną.
Według mnie podobne zdanie
Krzywdzi małpę niesłychanie,
Bo z dwóch tych głupstw biorąc mniejsze,
Małpy pewno rozumniejsze.

Czy widział kto małpę kiedy,
Biorącą wśród swej czeredy,
Z racyi dłuższego ogona,
Tytuł: Jaśnie Oświecona!
Ma sama to przeświadczenie,
Że nie tam jest oświecenie.
Z dwóch głupstw wielkich biorąc mniejsze,
Czyż małpy nie rozumniejsze?

Albo jestże małpa proszę,
W takim stanie zbydlęciana.

By widzieć życia rozkosze
W opieku się bez pragnienia?
Wina, wódki, rumu, piwa,
Wiemy, że nie nadużywa;
Z dwojga głupich biorąc mniejsze.
Czyż małpy nie rozumniejsze?

Weźmy je z innego względu.
Kto widział sześć godzin z rzędu
Cztery małpy za stolikiem
Ziewające nad bezikiem:
Nawet patrząc z ukosa,
Kiedy ludzie grają w sztosą.
Z dwojga głupich biorąc mniejsze.
Czyż małpy nie rozumniejsze?

Tańczą chętnie, lecz do tańca
Biorą byle oberwańca,
I dotąd u nich nieznanem
Być w tańcu prezentowanym.
Żadna niema w sercu troski
By mieć suknię od Włodkowskiej.
Z dwojga głupich biorąc mniejsze.
Czyż małpy nie rozumniejsze?

Zadowolone swym stanem.
Widział kto ją szambelanem,
Nawet wątpię czyli kiedy.
Kamerjunkerem chce być z biedy?
Bo dla wielu tak pochlebny.
Klucz jej z tyłu niepotrzebny.
Z dwóch głupstw wielkich biorąc mniejsze.
Czyż małpy nie rozumniejsze?

Nie widziałem dotąd żadnej.
Któraby dla małpy ładnej,
Kupowała naszyjniki,
Lub brylantowe koleczyki:
Mówi bowiem: „moja żona
Takaż małpa jak i ona“.
Z dwojga głupich biorąc inniejsze,
Czyż małpy nie rozumniejsze?

Nie znam małpy eleganta,
Nie znam nawet spekulanta;
Małpa w swoim zdaniu szczerem.
Lituje się nad bankierem,
Mówiąc: „wolę jabłko zdrowe,
Jak największe komisowe“.
Z dwojga głupich biorąc mniejsze,
Czyż małpy nie rozsądniejsze?

Widok najmądrzejszych ludzi,
Śmiech najeczęściej w małpie budzi.
Wie bowiem, że człek uczony,
Zawsze głupszym jest od żony,
Która nauki olbrzyma,
Pod pantoflem swoim trzyma.
Z dwojga głupich biorąc mniejsze,
Czyż małpy nie rozsądniejsze?

Najwięcej śmieją się z tego,
Co zwań miłością bliźniego;
Kłamstwo, które biorąc ściśle,
Żadna małpa nie wymyśli;
To też jedynie w obłędzie
Wyżej małpy stoją ludzie.
Z dwóch głupstw wielkich biorąc mniejsze,
Małpy nawet sumienniejsze.

O modach wciąż nie gadają,
Po swojemu rozmawiają:
Źle każda małpa spoziera
Na francuza guwenera;
I największe u nich panie,
W domu biorą wychowanie.
Z dwóch głupstw wielkich biorąc mniejsze,
Czyż małpy nie rozsądniejsze?

Znał kto małpę zadłużoną,
Lub potrzebami ścieśnioną
Aż do tyła, żeby żyda,
W łapy cmokać, kiedy bięda?
Na los żadna nie narzeka,
Czysta każdej hipoteka;
Z dwojga głupich biorąc mniejsze
Czyż małpy nie rozsądniejsze?

W dowód najwyższej logiki.
Palcem nie tkną polityki;
W rozwagi skryte obozie
Nigdy nie siedziały w kozie;
Żaden rzął się nie ośmieli,
Zamknąć małpę w cytadeli.
Z dwojga głupich biorąc mniejsze
Czyż małpy nie roztropniejsze?

Kraj, w którym się urodziły.
Lubią z całej swojej siły
I małpa w największej biedzie,
Do Paryża nie pojedzie;
Woli swoją okolicę,
Jak te wszystkie zagranice.
Z dwojga głupich biorąc mniejsze,
Czyż małpy nie rozumniejsze?

Każda małpa spokój ceni:
Dla posagu się nie żeni,
Nikomu baki nie świeci,
Na małpy kieruje dzieci,
Nie tak jak nasi szlacheccie,
Co z nich robią lwów, i lwice.
Z dwojga głupich biorąc mniejsze,
Czyż małpy nie rozsądniesze?

O zdanie ludzkie niedbale,
Przekonania mają stałe:
Żadnej małpie ani w głowie,
Co tam świat ten o niej powie;
Wielkich panów nie udają.
Na dochodzie poprzestają.
Z dwojga głupich biorąc mniejsze,
Czyż małpy nie rozsądniesze?

Zgodnie w sprawach swoich radzą,
Wojen nigdy nie prowadzą;
Jednym w życiu jak świat światem
Kierują się systematem,
A że gazet nie czytają,
Żadnych też stronniectw nie mają.
Z dwóch głupstw wielkich biorąc mniejsze,
Czyż małpy nie rozumniejsze?

Biorąc te rzeczy logicznie,
Małpy nawet i fizycznie,
Przypatrzwszy się im bliżej
Nie stoją od człeka niżej.
Proszę z nas zdjąć tylko fioki,
Fraki, turniury, i koki.
A z dwóch brzydot biorąc mniejsze,
Małpy często i piękniejsze!

Jestem przekonania prawie,
Że Darwin chcąc swej rozprawie
Nadać charakter uczony,
Kupić małpę był zmuszony;
Małpa, zwierz nie tyle głupi.
Darwina pewno nie kupi.
Z dwóch głupstw wielkich biorąc mniejsze,
Małpy w wszystkim rozumniejsze!

II.

KLÓTNIA MOCIUMDZIEJA Z MOCIADZIKĄ.

— Wasan starzeć się zaczynasz,
To wcale nieprzyzwoicie.
Czy Asindziej przypominasz
Dawne nasze dobre życie?
Ja go zwałam: Bartłomieju,
Aść mnie przecudną Moniką.
Czy tak, Moci Dobrodzieju?
— Tak jest, Mocia Dobrodziko!

— Aść przystojnym był ułanem.
Ja byłam hożą dziewczyną;
Ty zgodnie ze swoim stanem
Lubiłeś karty i wino;
Wszak raz na hrabi Pociuju
Wygrałeś folwark sonico.
Czy tak, Moci Dobrodzieju?
— Tak jest, Mocia Dobrodziko!

— Zgrabnym Aśe byłeś tancerzem.
A jakimż trzpiotem do tego,
To bywało jak się zbierzem
Tańcujem do upadłego —
Pamiętasz mio amico
Anglez na balu w Oświeju?
— Pomnę, Mucia Dobrodziko!
— I ja pomnę, Moci Dzieju!
— Dawne czasy, Mucia Dziko!
— Dobre czasy, Moci Dzieju!

— Jak to my z tym czasem lecim,
Czy to Wacan obliczyłeś?
Wszakże to w osiemset trzecim
Afekt mi swój oświadczyłeś
Przed całą naszą publiką
W tydzień po świętym Andrzeju.
— Tak jest, Mucia Dobrodziko.
— Widzisz Wacan, Moci Dzieju!

— Mimo damskiej moderacyi
I nagabania wszelkiego.
Trzeba byłoby waryaacyi
Wyjść za wisusa takiego;
Dowiodłam nie brak oleju,
Widząc w tem własne ryzyko.
Poszłeś z kwitkiem, Moci Dzieju!
— Poszłem, Mucia Dobrodziko.
— Poszłeś z kwitkiem, Moci Dzieju
— Tak, niestety, Mucia dziko!

— Potem przepadłeś bez wieści
I długie minęły lata,

Bo lat z górą ze trzydzieści
Używałeś sobie świata.
Dziś powrócić masz myśl dziką
Do dawnego przywileju.
— Zgoła, Mocia Dobrodziko!
— Tak, tak, Moci Dobrodzieju!
— Kłamstwo, Mocia Dobrodziko.
— Prawda święta, Moci Dzieju!

— Przewąchałeś nosem worek,
Nieźle zgoła napelniony,
I porządną w mieście dworek,
I folwarczek opatrzoney —
Gore czapka na złodzieju
Byłoby na wdowę Cliquot.
Czy tak Moci Dobrodzieju?
— Kłamstwo, Mocia Dobrodziko!
— Tak, tak, Moci Dobrodzieju!
— Nie — nie prawda, Mocia dziko!

— Ależ ja wzajem Imości
Przypomnę niektóre grzechy:
Kto po śmierci Jegomości
W miłostkach szukał pociechy,
Kto, choć pości na oleju.
Lubi baliki z muzyką?
— Kłamstwo, Moci Dobrodzieju!
— Prawda szczera, Mocia Dziko!
— Głupiś, Moci Dobrodzieju!
— Mądraś wielce, Mocia dziko!

— Pozwól dokończyć nauki:
Kto w tym wieku się sznuruje,

Czarnej używa peruki,
Nawet brwi sobie farbuje?
A na twarzy róż na kleju
I chemia z całą fizyką.
— Głupiś. Moci Dobrodzieju!
— Mądraś wiece. Mucia Dziko!
— Precz mi z oczu. Moci Dzieju!
— Do nóg padam, Mucia Dziko!

III.

Z DOMU DZIURDZIULEWICZÓWNA.

Dumna mojem pochodzeniem,
Nie ustąpię też nikomu
Edukacją i znaczeniem,
Oraz koligacją domu.
Nie lepsza pewnie odemnie,
Choćby i Radziwiłówna,
Jestem. proszę nie kpić ze mnie,
Z domu Dziurdziulewiczówna!

Od dzieciństwam nie przywykła
Do żadnej zgoła roboty.
Jak to moda Niemkom zwykła;
Ale strzegłam mojej cnoty.
I usiłowaniem całym,
Mojej głowy myślą główną.
Było zostać duszą, ciałem
Prawą Dziurdziulewiczówną!

Tatko mój był niesłychanie
Mądry, i nie koniec na tem,
Bo raz dał takie śniadanie,
Że aż został deputatem.
Mówił do mnie: „To rzecz mała,
Nie dosé być deputatówną,
Trzeba, żebyś ton swój miała,
Jesteś Dziurdziulewiczówną!“

A za tatkiem moja mama,
Co mię też bardzo pieściła,
Jak była rozumna sama.
Tak mnie też i wyuczyła:
Żem szlacheianką dawnej daty,
Księżnom i grafiankom równą,
Że król Popiel był żonaty
Z jakąś Dziurdziulewiczówną!

Miałam lokajczuka Jana,
Wziętego prosto od sochy,
I panneczkę, co mnie zrana
Kładła na nogi pończochy:
A i guwernantkę miałam
Razem z panną Marszałkówną,
Ale uczyć się nie chciałam,
Będąc Dziurdziulewiczówną!

Umiem jednak, proszę spytać,
Rzeczy nietrudne pojęciu,
Weale nie źle pisać, czytać
I rachować do dziesięciu;
Niewiele mi w głowę wpadło,
Ale mnie to wszystko równo,
Mogę być głupią jak sadło,
Będąc Dziurdziulewiczówną!

Po francusku sobie mówię
Tak jak i największe panie,
I choć z kim. to się rozmówię,
I zagram na fortepianie;
Byłam panuą niemilezącą,
Jestem mężatką wymówną,
A zawsze swój takt mającą,
Słowem Dziurdziulewiczówną!

Co roku na imieniny,
Albo jakie wielkie święta,
Bal u ciocieczki Balbiny,
Albo wujka prezydenta.
To bywało na nich żadna
W tańcu już mnie nie wyrówna,
Tylko słyhać: „Jakaż ładna
Dzisiaj Dziurdziulewiczówna!“

Taka piękna parentela,
Wszystko, gdyby szczury w mące,
I posag nie bagatela.
Bo blisko cztery tysiące.
To też sąsiad za sąsiadem,
Jak te wyżyły, wszystko równo,
Lecą wietrząc tylko śladem
Za tą Dziurdziulewiczówną!

Popatrzawszy w lewo, w prawo,
Wybrałam sobie jednego
Kawalera z dobrą sławą,
A przytem i nie biednego:
Żadnych fochów ze mną niema,
Bo u mnie to rzecz jest główna:
Męża za łeb zawsze trzyma
Każda Dziurdziulewiczówna!

Żyjem z sobą już rok szósty,
Jest sens w domu i dostatek,
Mój Ignacy zdrów i tłusty,
Mamy już pięcioro dzieci;
Po dwunastu dosyć będzie,
Bo ze mnie kobieta słowna, —
Taką była zawsze, wszędzie
Każda Dziurdziulewiczówna!

Wiem, że chodzą o mnie gadki.
Jakoby jestem złością.
I że te małe sąsiadki
Mają mnie za sekutnicę.
Ale w oczy wszystkie grzeczne.
A mnie zresztą wszystko równo.
Niech wiedzą, jak niebezpieczne
Zajście z Dziurdziulewiczówną!

IV.

POD PANTOFLEM.

Pod pantoflem mój dziadunio,
Pod pantoflem mój tatunio.
Pod pantoflem trzech stryjaszków,
Pod pantoflem dwóch wujaszków.
Pod pantoflem, to nie plotki.
Nieboszczycy mojej ciotki,
Pod pantoflem wszyscy, wszędzie;
Mój też pod pantoflem będzie.

Pod pantoflem brat mój Oleś,
Pod pantoflem kuzyn Bolesć.
Pod pantoflem pan marszałek,
Nawet rotmistrz chociaż śmiałek,
I prezydent z deputatem,
I nie koniec jeszcze na tem.
Pod pantoflem obaj sędzie,
Mój też pod pantoflem będzie!

A dla czego? kto zapyta.
Oto prawda jest niezbita.
Którą następnie przełożę,
Że inaczej być nie może;
Bo u nas ludzi nie wiele,
Jak nie wół, to pewno cielę,
Jak nie baran, pewno jagnię,
A każdy pantofla pragnie!

Mój dziadunio był bibułą,
Tatko wielkim safandulą,
A reszta albo leniuchy,
Albo też opasibrzuchy,
Z wszystkich zaś ludzie się śmieją,
Że ledwo pisać umieją,
A że każdy ciężkim flakiem,
I mój pewnie będzie takim!

Będę zatem jak babunia,
Jak ciotunia, jak mamunia,
Jak są moje trzy stryjenki,
Jak bratowa i wujenki;
Bo nikt nie może bez żony
Być tu samopas puszczoney;
Wszystko to mając na względzie.
Mąż mój pod pantoflem będzie!

Choć nas ludzie zwą gąskami
Albo simplex indyczkami,
Zawsze kura domestica
Więcej warta od indyka
Albo cietrzewia na toku,
Których widzimy tu co kroku;
W ich więc policzony rzędzie,
Mąż mój pod pantoflem będzie!

Mówią, że są takie kraje,
Gdzie są inne obyczaje.
Chyba tam może mężowie
Więcej sensu mają w głowie,
Tylko to nie u nas wcale,
Gdzie to cymbał na cymbale,
I gdzie wszyscy z ciałem, duszą
Pod pantoflem siedzieć muszą!

V.

DZIOŃEK OBYWATELSKI.

— Pietrek! która godzina?

— Po jedenastej panie.

Nakrojona wędlina,

Zastawione śniadanie...

Co na dworze dziś rano?

— Deszczyk pada niewielki...

— Przepadło moje siano!

Dobądź z szafy butelki.

— Pietrek! która godzina?

— Kwadrans na pierwszą panie.

— Jeść mi się chceć zaczyna,

Dalipan niesłychanie.

Co na dworze? — pogoda?

— Deszczu ani kropelki...

— Niema deszczu, to szkoda!

Daj mi z tamtej butelki...

— Pietrek! która godzina?

— Druga... Waza na stole,

Dobry rosółek z lina...

— A cóż tam po rosole?

— Będzie pieczeń wołowa...

— Hum... hum... obiadek krótki,

Jakoś boli mię głowa,

Daj mi kieliszek wódki!

— Pietrek! która godzina?

— Blizko już szósta panie:

Z panem sędzią sędzina

Jadą... niechaj pan wstanie!

— Jadą? biegaj, proś siedzieć...

Ach! pocziwy Franciszek,

Przyjechał mnie odwiedzić,

Daj mi wódki kieliszek!

— Pietrek! która godzina?

— Po dziewiątej już panie.

Niedomaga sędzina,

Nocować tu zostanie...

— A jaka tam kolacya?

— Będzie potrawa z główki...

— Panie sędzio, jest racya

Wypić cynamonówki!

— Pietrek! która godzina?

Po północy już panie...

— Czy śpi pani sędzina?

— Ej, śpi dawno mośpanie!

— I nam spocząć już pora,

Ale panie Franciszku,

Canonica to hora,

Jeszcze choć po kieliszku!

— Pietrek! która godzina?

— Pierwsza, czyż pan nie widzi?

— A śpi pani sędzina?

— Śpi... niech pan też spać idzie.

— Idę, trafię bez kija.

Ale tak do poduszki.

Pietrek, *Ave Maria!*

Wytnę jeszcze staruszki.

Gratias plena Maria!

Jeszcze raz do poduszki!

VI.

WARYACI.

W mózgownicy człowieka jest celeczka mała
I do niej kurytarzyk też szczupły i ciasny;
Celka ta wypełniona jest waryacją całą.
Kurytarz pomieszkaniem jest miłości własnej.
Oddziela ich od siebie cieniutka przegroda,
A im bliżej przegrody, tem waryacya bliżej;
I umysł niech raz jeden w tę stronę się poda —
Jest na drodze waryacyi i... kłaniam najniżej.

Może być człowiek zacny, rozumny, pocziwy.
Skądinąd pełen zalet, i praktyczny znacznie;
Dość mu raz w kurytarzyk zabrać nieszczęśliwy,
Ni z tego, ni z owego w piętkę gonić zacnie,
A broń Boże! przewierci choćby małą szparkę
W tem wątem przepierzeniu, już nie koniec na tem,
Staje się, coraz głupstwa przebierając miarkę,
Z półgłówka całym głupcem. nareszcie waryatem.

Przekłeta miłość własna: znam matematyka,
Który, mając aż nadto nauki prawdziwej.
Wpadłszy do przekłętego raz kurytarzyka,
Dostał do wynalazków manii nieszczęśliwej:
Odkrywa nowe siły, wynajduje koła,
Jakich dotąd nie było, wymysla machiny,
W teorii dziwnie mądre, lecz w praktyce zgoła;
I zamiast sławy, dotąd zyskał ludzkie drwiny.

Znam bogatych szczęśliwych na drodze waryacyi
I bankructwa, pomimo dostatków obszernych,
Przez szaloną pretensję do administracyi,
Przemysłu, handlu, fabryk, projektów niezmiernych, —
Nie głupi, kilka rzeczy wcale nie źle umie,
I mógłby, chwając Boga, poprzestawać na tem.
Nie — chwytą się tej jednej, której nie rozumie,
I zamiast przemysłowcem jest tylko waryatem.

Drudzy przez miłość własną w tem szukają chluby,
Że są w stanie wydawać, jak nikt nie wydaje.
Naprawdę widzą sami, że lecą do zguby.
Że im na główne życia potrzeby nie staje.
Powstrzymać się nie mogą, a głównie im idzie.
Żeby o nich mówiono: „Ależ traci, traci!”
I gdy na głupi zbytek wydać się nie wstydzi,
Mięso wzięte na kuchnię najniechętniej płaci.

Innym załazi w głowę wdzięk autorskiej sławy.
Ten się archeologii, ten historii chwytą,
Zaniedbuje dom, żonę, najpilniejsze sprawy,
A pisze banialuki, których nikt nie czyta.
Rzecz główna, by gazeta o nim napisała.
(O co u nas, niestety, bynajmniej nie trudno)
Że Litwa tak mądrego dotąd nie wydała:
Jemu może z tem dobrze, ależ nam jest nudno!

Znam też zwaryowanego na wielkich intratach,
A jest to *punctum fixum* najgłupsze jak sądzę,
Żeby o nim mówiono choć w kilku powiatach:
„A niechże go pioruny, ot robi pieniądze!“
Dla tej czarownej sławy nie śpi, nie dopije,
Nie doje, nie zna domu, i dzieci, i żony.
Dniem i nocą na bryce boki sobie bije,
A w rezultacie codziennie bardziej zadłużony.

Albo ci zwaryowani na szczęściu w miłości,
Z pod sztandarów Amora weterani owi,
W polkach i galopadach nadpróchniałe kości
Codziennie na nowych balach roztrzęsać gotowi.
Pełen słodkiej uludy o nowych konkietach.
Wspomnieniami młodości dotąd się kołysze,
Niepomny, że w mężczyźnie, tak jak i w kobietach.
To, co było a nie jest, w rejestr się nie pisze.

Znam takich, co pracują całymi siłami.
I dochodzą do tego choć z pracą niezmierną.
Że są małej parafii oryginalniami,
W świecie zaś ledwie kopią i to dość mizerną.
Biedacy, gwałt zadając własnej swej naturze,
Ofiarami są tylko oryginalności.
Znam jednego, co z placu ustąpiłby kurze,
Z postawą, gestem, mową pełną wojskowości.

A jaż, mądry filozof, co te głupstwa piszę,
Czy nie mam mojej celki i kurytarzyka?
Mam, mam i nieraz dobrze, bardzo dobrze słyszę
Stukanie do przegródki, co waryacyi tyka;
Tylko mam tyle mocy, że chociaż mię nęci
Chętka zboczyć na chwilę w tę ponętną drogę,
Po namyśle powracam, lecz pomimo chęci
Co tam jest w mojej celce, powiedzieć nie mogę.

VII.

NASZ JĘZYK.

(Wyjątek).

Nasz język, który codziennie
Kształci się, lepiej obrabia.
Na prowincyi nieodmiennie
W coś dzikiego się przerabia.
Prócz z obczyzny pożyczonych
Mnóstwa słów, oraz wyrażeń,
Jaka masa przekształconych
Najzupełniej wyobrażeń.

Emulacya, która znaczy,
Współubieganie się pewne,
Zawsze się u nas tłumaczy,
Za jakieś uczucie gniewne;
Niech się gdzie dwóch kpów pokłóci.
Z racyą, czy bez żadnej racyi,
Całe sąsiedztwo zanuci:
Że „przyszło do emulacyi“.

Każden wie bez objaśnienia,
Co jest także polityka;
Jest to podług doświadczenia
Rzecz, co do kozy zamyka;
U nas niech się dwie imości
Poprzytykają o spódnicę,
Zaraz zauważą goście:
„Są z sobą... na polityce“.

Co jest statysta, przyznaję
Żem zgłębiać nie miał odwagi.
Ma to być, jak mi się zdaje,
Cecha w człowieku powagi.
U nas jak kto tylko nudny
Pedant, nawet w partyi wista,
Ciężki i w pożyciu trudny,
To już pewnie jest... statysta.

Wiem, co wieki wykazały,
Że na lat sto boska władza.
Jeden geniusz na świat cały
Lub dwa najwięcej wyradza;
U nas autorek mizerny.
Koncepista parafialny.
Lub poeta, jak ja mierny.
Zowie się już człek genialny.

Exaltacya, to wzniesienie
Ducha czleka w strefy wyższe,
To poezya, to inarzenie
Nadziemskie, niebios najbliższe.
U nas bierze się inaczej,
I niech imość jaka z rana
Lub pod wieczór często płacze,
Zowie się exaltowana.

Wyraz z łacińskiego wzięty,
Subiekcyja, znaczy poddanie,

Ale w użyciu przyjęty.
Przerobił się niesłuchanie.
Bo jak kto guza wynosi.
Z traktyerni w czasie elekcji.
Zaraz się fama roznosi:
„Doświadczył panie subiekcy“.

Gra się dobrze, gra się miernie,
Gra się źle na fortepianie,
Jak się słucha, ehętnie, biernie
Lub ze zgrozą, jakie granie.
U nas każdy żak zepsuty.
Z małym nauki zasobem,
Byle nie źle czytał nuty.
Koneertowym gra sposobem.

Instrument, czyli narzędzie.
Jest nazwaniem ogółowem,
Nietylko w muzycznym względzie,
Lecz w technicznym, naukowem;
Niechże tu najlepsza głowa
Coś pojmie, gdy w głos niżony
O jakim panu jest mowa:
„Kupił instrument dla żony“.

Filozof wszędzie oznaeza,
Człeka naukę czezącego,
Abstrakeyjnego badacza,
W każdym razie uezonego.
U nas najczęściej tak bywa,
Że człek eo golić się leni,
A nigdy rąk nie umywa.
Filozofem się być mieni.

A pochwythaneż wyrazy,
Z modnych języków — o Boże!
Cóż to za zwroty, za frazy, —
Przy słabym myśli wyborze:

Sam znalazł pewnego pana,
Który długą sprawę zdawał,
Że miał de Provence furmana,
A z komfortem wyżeł stawał.

Zamiast samę, mówić sam en.
W nadzwyczajnej u nas modzie,
Kochać bardzo swojom m a m e n,
Miłość synowską dowodzi.
Cienszkom sien pracom zajmować,
Boskiej sien lenkać obrazy,
Cnoten nad wszystko miłować,
Słyszyny na dzień sto razy.

W tym zbiorze dosyć już znacznym,
Do dziwnych liczę zagadek.
Jakim wypadkom dziwacznym
Podlega szósty przypadek;
Objął za szyję rękoma,
Przeszedł pół świata nogoma,
Wczoraj przyjechał sanio ma,
Odjechał dzisiaj koły ma.

Różne są zabaw rodzaje.
Różnego rodzaju ludzi.
Jak są rozmaite kraje.
Gdzie się ludzkość zwykle nudzi;
Mówią, że bawią się damy
Wachlarzem, albo łańcuszkiem,
Lecz my w kraju naszym mamy
Ludzi bawiących się łóżkiem.

.

Słyszac podobne wybryki.
Doświadczasz jakby uczucie,
Że w kraju naszym fabryki
Są na języka zepsucie.

VIII.

DROGA PRZYJAŹŃ, DROGI PRZYJACIEL.

Jak stosownie, że w kilku jakie znam językach,
(I nie wątpię, że we wszystkich jakie istnieć mogą)
W mowie ustnej, pisanej i w prostych okrzykach,
Przyjaźń jest uważana za rzecz nader drogą;
Ale mało kto dotąd chciał pomyśleć o tem,
(Choć się człkiem myślącym nie jeden być mieni)
Jak ta przyjaźń istotnie drogi m jest przedmiotem,
Nie tylko dla serc naszych, lecz i dla kieszeni.

Gdy mówisz, albo piszesz: „przyjacielu drogi“, —
Sam nie wiesz jakąś prawdę powiedział niezbita;
Bo czyś człowiek bogaty, czy całkiem ubogi,
Przezuleś duszą stratę gdzieś na dnie ukrytą,
Którą za sobą ciągnie ten przymiotnik miły.
Widzisz oczyma duszy cały szereg nędzy
Stąd płynącej, te kłamstwa, i ten nad twe siły
Wydatek władz moralnych, jeśli nie pieniędzy.

Masz bowiem czas, — przyjaciel go sobie zabiera,
Masz zdolności, — te także dla siebie zużyje,
Masz serce, — w tem jak w swoim wciąż dłubie i szpera,
Masz duszę, — i tę całą, aż do dna wypije;
A jeśli masz pieniądze, tak cię z nich obierze,
Że od wszystkich żebraków stawszy się uboższy,
Umierasz naostatek przekonany szczerze,
Że z wszystkich rzeczy drogieh, przyjaciel najdroższy.

Dodać jeszcze możemy, że tym cnotom dzięki,
Które, każąc nam wierzyć w wszystko, co kłamane,

Redukują posagi, z hojnej papów ręki
Do szóstej części tego, co miało być dane;
To prawidło się daje stosować dokładnie,
Do większej liczby teściów i małżonek pono,
I jeśli „drogi papo“, brzmi nadzwyczaj ładnie,
Niemniej sensem swym trafne jest: „najdroższa żono!“

Nie sąż więc dobrodziejstwem te zacne języki.
Które nam ułatwiają z ludzkością pożycie;
Z poszanowaniem prawdy, sensu i logiki.
Dają też wszelkie prawo kłamać przyzwoicie;
Gdybym mówił: kochany i najukochańszy,
Ominąłbym się z prawdą często w sposób srogi,
Unikam tego grzechu w sposób dużo tańszy,
Mówiąc z miłym uśmiechem: „przyjacielu drogi!“

IX.

K A B A Ł A.

Najzaśniejsza, kochana, pocziwa kabało,
Najniewinniejszych zabaw, i rozrywek wzorze,
Tyś chwil moich samotnych towarzyszką stałą —
I że cię bardzo kocham, któż się dziwić może! —
Ty mię zawsze ratujesz od nudnej rozmowy,
I towarzystwa bliźnich moich ciężko nudnych,
Od czezych plotek, i brzęku złośliwej obmowy,
Pod postacią facecyj płaskich, często brudnych.

Kładąc cię, własnym myślom swobodnie oddany.
Bujam sobie rozkosznie w fantazyi dziedzinie:

I czy żyję z przeszłością, czy przyszłości plany
Rozwijam, terażniejszość nieznacznie mi płynie.
Bez tych nieżnośnych targañ, któremi nas bndzi
Głupstwo, co chwila wyszłe z ust kochanej braci:
A głupstwo tem przykrzejsze, że nietylko nudzi,
Lecz najjinniejszą korzyścią czasu nie opłaci.

Co mi naprzykład z tego, że mi jakaś dama,
Po raz setny opowie czyny wiekopomne
I enoty nieboszczyka swojego Adama,
O których w dziesięć minut najpewniej zapomnę.
I to, że o tem nawet nikt z znajomych jego,
Nie pamięta, bo raczej powszechne jest zdanie,
Że to był człek rozumu nader powszedniego,
A i enoty zażywał dość uniarkowanie.

Albo, że po raz tysiąc ośmdziesiąt wtóry.
Opisze swojej Józi naprzód urodzenie
W A.... — potem wszystko co ten cud natury
Zrobił, zdziałał i stworzył na świata zdumienie.
Tu, i na Monte Pincio, tam i w świecie całym:
A zawsze: ja i Józia, my z Józią we dwoje.
To wszystko powiedziane owym tonem śmiałym.
Który znaczy: „Słuchajcie, bo to dzieło moje!...”

Ty mię także uwalniasz, kochany pasyansie,
Od słuchania szanownych naszych myślicieli.
Którzy się po beziku, albo preferansie,
Wzajemnie ten traktują, co gdzie usłyszeli.
Albo co który widział; otóż zbiór ciekawy
Uwag, twierdzeń, dowodzeń, zdań najopaczniejszych
Niedoczytanych nowin, z czego znów rozprawy.
W kwestyach dla ich umysłu najniedostępniejszych.

Ludzie co nie rozróżnią walea od sonaty,
O metodzie śpiewaczki rezonują śmiało;
W jednym kącie zebrane same dyplomaty,
W drugim reformatory, których też nie mało;
Wprawdzie żaden nie słucha, bo wszyscy gadają.
Ale z ruchów, postawy każdego widocznie
Wnieść można o tych panach, że się wszyscy mają
Mało za kompetentnych... każdy za wyrocznię.

I słusznie, wszak marszałków samych masz już pięciu.
Niejeden był podsędkiem, dwóch kuratorami
Szkół jakichś, a choć trudno cokolwiek pojęciu,
Jak się kraj mógł obchodzić takimi osłami.
Zawsze to matedory, licząc prezydenta,
Którego i dziś jeszcze poważane zdanie,
I którego dowodzi figurka nadęta,
Że sam się za mądrego ma też niesłychanie.

Nie maż prawa stentoru podnieść w każdym razie,
Gdy idzie o zbadanie wszech rzeczy przyczyny,
Sztabś rotmistrz co przesłużył lat sześć na Kaukazie?
Alboteż nauczyciel niższych klas łaciny,
Profesorem dziś zwany; *cognoscere rerum*
Causas, tam im jest łatwo, jak pod dobrą porą,
Wypić pół kwarty wódki po flakach z imbierem,
Lub bigosu z kapustą połknąć misę sporą.

To też tutaj dowodzą, że Paweł z Feliksem
Są lotrami, jak mało na świecie szerokim,
Tam dalej znowu Pawła zrobiono fenixem
Cnót wszystkich, a Feliksa ledwie nie prorokiem;
Tu o pani X. mowa, że rzadko jest dama
Więcej cnotą, nauką i rozumem głośna;

Zaledwieś w drugą stronę zwrócił się, też sama
Jest baba zła, kapryśna, głupia i niezdolna.

Pasyans mój układając, nie tego nie słyszę,
A choć słyszę nie słucham, nawet gdy jest mowa
Co Masia o Ignasiu do Monisi pisze,
I jak się Ewelinka wśród tego zachowa.
A jeśli mi się zdarzy dołożyć uwagi
Gdy mowa jest o kwiatkach trzech przy kapeluszu,
To w istocie dlatego, że rzecz takiej wagi,
Nie może być puszczona przecie mimo uszu.

Dzięki tobie pasyansie, gdy nasze babule
Po spowiedzi, komunii, trzech mszach i nieszporce,
Pokrzepione na duchu, seraficznie, czule,
Oszczekują się wzajem w chrześcijańskiej pokorze,
Ja nie wchodząc bynajmniej w rozbiór rzeczy całej.
Równie mało ciekawy, jak krytyk nieskory,
Podziwiam tylko szczerze pożytek niemały,
Jaki przynoszą spowiedź, trzy msze i nieszpory.

Aż nadto w głębi duszy cieszę się najszczerzej,
Że ludzie tak umieją kochać się i bawić
Niewinnie, niezłośliwie, zacie, w dobrej wierze,
Że tak właśnie potrzeba Pana Boga chwalić;
Że tak dobrze pojmują tę miłość bliźniego,
Pierwszą jak sami twierdzą chrześcijaństwa zasadę
A że sam ją inaczej rozumiem, dla tego
Nic nie mówię, poziewam ... i kabałę kładę.

X.

CIOCIA KLARA i CIOCIA BARBARA.

Dwie ciotunie ładnej Zosi: stara panna Klara,
I wdowa po czterech mężach, sędzina Barbara.
Otrzymawszy list od Zosi pewnego wieczora,
O doszłych jej zaręczynach za pana Melchiora,
Przyklasnąwszy wykrzyknęły! Patrzajcie nowina!
O to Zula! — Ależ Zula! — Oto zuch dziewczyna,
No Zula! — Tak jedźmy do niej, rzecze panna Klara!
Jedźmy zaraz! w ślad dodaje sędzina Barbara,

Przyjechały — dawaj ścisnąć i całować czule,
Tę najdroższą, tę najmilszą, tę jedyną Zulę.

O, jakież on? — a jakże on? — No cóż, czy bogaty?
— No gadajże — czy z wásami — a wiele intraty?
— Jakto było? — skądże jemu? — w jakiej mieszka stronie,
— A czy koczem czy karetą? — a jakie ma konie?
Sto tchem jednym jej zapytań robi panna Klara,
Sto dwanaście w ślad dodaje sędzina Barbara.

Dowiedziały się wszystkiego. — Blondyn, lat trzydzieście,
Folwark daje mu dzierżawy rubli tysiąc dwieście;
Drugi, w którym mieszkać będą, cały murowany,
Konie siwe, stangret Marcin — bardzo zakochany,
(Nie Marcin ale pan jego) — meble mahoniowe,
Fortepian będzie wiedeński — a obicia nowe.
— A czy mówi po francusku? pyta panna Klara,
— A był kiedy za granicą? dodaje Barbara.

Był, i mówi. — No, to dobrze, a charakter jaki?
— Anioł ciociu! — Bo to widzisz bywa czasem taki,

Że przed ślubem zda się anioł, a potem po ślubie
Czysty dyabeł. — Ty wiesz Zosiu jak ja ciebie lubię,
Jak cię kocham, więc powinnam z serca tobie radzić,
Jak masz z mężem postępować, i jak go prowadzić...
— A! tak, jak masz go prowadzić, rzecze panna Klara,
— Jak masz z mężem postępować, dodaje Barbara.

Naprzód powiem tobie: zawsze Zosieczko kochana,
Mąż powinien cię dwa razy pocałować zrana.
Na dobry dzień, po herbacie, tyleż po obiedzie;
Jak gdzie z pokoju wychodzi, albo dalej jedzie,
Pożegnać się z tobą musi, i popieścić trocha;
Jak raz tego nie dopełni, to już cię nie kocha.
— O tak, tak, nie kocha ciebie, rzecze panna Klara.
— Mówię, że już cię nie kocha — dodaje Barbara.

Potem jeszcze, słuchaj dobrze mnie Zosiu kochana,
Że on ciebie zdradzać zechce, bądź przygotowana,
Bo mężczyzna każdy taki, nie myśl że to żarty,
Takim był i mąż mój pierwszy, a takim i czwarty,
Węc należy mieć ogromny takt, i doświadczenie,
Nie rachuj na delikatność, ani ich sumienie,
— O tak, tak, nie rachuj na nie, rzecze ciocia Klara,
— To istoty bez sumienia — dodaje Barbara.

Zatem trzeba z nim rozumnienie, żeby zawsze wiedział,
Że go znasz, a pilnuj dobrze — żeby w domu siedział,
A bez ciebie ani za próg: — jedzie, ty z nim razem. —
Nigdy żadnego zboczenia nie przepuść mu płazem;
Spojrzy na jaką kobietę, wymów zaraz góry,
Żaden list niechaj nie przejdzie bez twojej cenzury.
— O tak, każdy list przeczytaj, rzecze ciocia Klara,
— Ani go się o to pytaj — dodaje Barbara.

Nigdy mu nie żałuj sceny, a przynajmniej scenki,
Jak go znajdziesz obok jakiej damy, lub panienki.
Żeby nigdy się nie bawił długo przy kobiecie.
I wiedział, że ty dla niego wszystkim na tym świecie;
Zrób mu scenę jak na termin do domu nie wróci,
Rób mu na dzień cztery sceny, jak się bałamuci;
— O! tak, rób scenę po scenie, rzecz panna Klara.
— Słowem, ani dnia bez sceny — dodaje Barbara.

Bo my zawsze nieszczęśliwe, i zawsze zdradzone,
Który z nich tak jak należy, kocha swoją żonę?
Każdy z nich taki bałamut, że niech Pan Bóg broni.
Ja ich przecież czterech miałam, to wiem jacy oni,
Każden z nich byłby mię zabił z zgryzoły i nudy,
Żeby sam (świeć jego duszy) nie był umarł wprzód.
— Wieczny więc mu odpoczynek, rzecz ciocia Klara.
— *In saecula saeculorum*, dodaje Barbara.

Ależ ciociu, ja przysięgnę przecież posłuszeństwo.
— Głupia jesteś moja Zosiu, dowiedz się: małżeństwo
Dla szczęścia i dla spokoju ludzi moja droga,
Zostało ustanowione przez samego Boga.
A jak szczęście albo spokój pytam się być może.
Jeśli mąż nie jest trzymany w potrzebnym rygorze?
— O tak, rygor przedewszystkiem — rzecz ciocia Klara,
— Rygor, rygor, nie nad rygor — dodaje Barbara.

— Czy i resztę wypowiedzieć? — Nie! na rany Boga;
Szczanuj skromność swą dziewczę, Basiu moja droga,
Albo zostaw to już matce, niech ona jej powie,
Lepiej niechaj się od matki, jak skąd inąd dowie,
— Masz rację siostruniu droga, więc na dziś Zosieczku,
Dosyć będzie, resztę mama mój ty aniołeczku...

- Wytlómaczy ci obszernie, rzecze panna Klara,
— Wytlómaczy akuratnie, dodaje Barbara.

Sens moralny, że wołałbym moją narzeczoną,
Przez dwa pułki kawalerji widzieć prowadzoną,
Jak przez jedną taką ciolkę zaprawioną w enocie,
A cóż mówić już u dyabła przez dwie takie ciocie,
I wołałbym z dwojga złego, jakim człowiek szczerzy,
Dostać trochę apopleksyi a nawet cholery,
Jak wziąć żonę edukacyi słodkiej panny Klary,
I wdowy po czterech mężach sędziny Barbary!

XI.

ANTOSIA Z PLACKICH DRAPİŃSKA PRIMO VOTO KURKUDOWSKA.

Z wszystkich dam w świecie mi znanych,
Trzyma prym z zalet umysłu,
I manier dystygowanych,
Powiadam to bez namysłu,
Jedna, a tą jest z pod Mińska,
Krótkich nóg, płaskiego noska.
Antosia z Plackich Drapińska,
Primo voto Kurkudowska!

Do areydziała takiego
Natura dłuta nie brała,
Ale z kłosa dębowego,
Coś siekierą wyrąbała:
Wyszła z tego jakaś chińska
Pagoda, czy małpa włoska,

Antosia z Plackich Drapińska.
Primo voto Kurkudowska!

Pochwał nigdy nie słyszała.
Ale sama, rękę za to.
Za cudo wdzięków się miała.
Bo była bardzo bogatą:
Miała folwark koło Pińska.
I w Mozyrskiem jakaś wioska.
Antosia z Plackich Drapińska.
Primo voto Kurdukowska!

Złapał się też głupiec na nią.
Zgryzła go w dwóch krótkich latach.
Lecz, że była wielką panią,
Nie zabrakło jej na swatach:
Poszły wietrzyć: Jagodzińska,
Kurkulina i Bębnowska.
I dziś jest z Plackich Drapińska.
Primo voto Kurkudowska!

Choćby i tego nie stało.
O! tak w lot na poczekanie,
Byle się jej tylko chciało.
Męża trzeciego dostanie;
Sprowadzi go choć z Nerczyńska.
Jeśli taka wola Boska.
Antosia z Plackich Drapińska.
Primo voto Kurkudowska.

Ale niechaj się już trzyma,
I na bok z wszelką mitręgą.
Żartów u Jejmości niema,
Jak chce czego, to chce tego;

Temperament abisyński.
Chodzą po świecie pogłoski,
U tej Antosi Drapińskiej.
Primo voto Kurkudowskiej.

Słowem panie to kobieta
Do wielkich rzeczy stworzona.
A niemniejsza też zaleta.
Że jest ogromnie uczona:
U niej książka czy łacińska,
Czy angielska czy żydowska,
Wszystko czyta ta Drapińska,
Primo voto Kurkudowska!

Osobistość to jest rzadka,
I ona to sama czuje,
Szesnaście z rzędu mężatka.
Na jej wzór się modeluje;
Wszystkich panien koło Mińska,
Jedyna w tem życiu troska.
By być taką jak Drapińska.
Primo voto Kurkudowska!

XII.

I D E A Ł Y.

Dwie młode panienki w ogródku siedziały,
I tak szepecząc zeicha z sobą rozmawiały:
„Maryniu kochana, powiedz mi tak szczerze,
Jak szczerze odmawiasz codzienie pacierze,
Jakie twe marzenia o szczęsnej przyszłości,
O przyszłym kochanku, o przyszłej miłości,

O tym, kto zawłada uczuciem twem całym.
I kto jest nareszcie twoim ideałem!*

— Ideał mój, Zosiu, jest piękny i młody
Blondyn, oczu jasnych, z wąsikiem bez brody,
Skromninki w układzie, wobec mnie nieśmiały.
A tylko w zdarzeniu dumny i zuchwały. —
Czuły, dźwięcznym głosem i oka wymową
Świadczący, że miłość dlań rzeczą jest nową,
Uczuciem pod wpływem mych uczuć dojrzałem...
Taki tylko może być mym ideałem.

— A ja znów inaczej, kochana Marylko.
Wprawdzie i ja także chcę młodego tylko.
Ale nie blondyna, ja brunetów wolę,
Lecz marzę brniela o spokojnem czole,
O duszy ognistej, zarówno czulego,
Jak pełnego życia, oraz namiętnego,
Któregoby miłość ciąglym była szaleń.
Taki meim marzeniem, taki ideałem.

— Gdzież mieszkać ty pragniesz? — Na wsi. — A ja w mieście.
Ale tylko dużem; w Paryżu, a wreszcie
Choćby i w Warszawie, byle teatr, bale,
Spacery, zabawy... Wsi nie lubię wcale!
— Ja zabaw nie pragnę, dla mnie dość schronienia,
I tej ciszy wiejskiej pełnej upojenia.
Wśród cudnej natury, pod niebem wspaniałem,
Byle obok niego, — byle z ideałem! —

W lat piętnaście potem panienki widziałem.
Każdą poosobno z swoim ideałem.
Ideał Maryni łysy jak kolano,
Kłócił się z małżonką, że go budzi rano;

Zosi zaś ideał krótki i brzuchaty
Gderał, że nie w porę dała mu herbaty,
Ona go nawzajem nazwała cymbałem. .
Trudna to doprawdy rzecz być ideałem!

XIII.

WSPOMNIENIA TKLIWEJ WDOWY O NIEBOSZCZYKU.

- Oj! kochany mój sędziulku, znałeś mego Jana,
Co to był za człowiek rzadki i dusza kochana!
Przez dwadzieścia lat pożycia, jednej przykrej chwili.
— Znałem, znałem, i widziałem... (ns.) ciągle się kłócili.
— Znałeś go!... jaki gospodarza, jaki to rozsądek,
A w domu i interesach, ach! jakież porządek;
Jak Salomon nieraz sprawy najtrudniejsze sądził...
— Oj, wiem pani Dobrodziejko... (ns.) że żył wszystkim
[rządził...
— A urzędnik jaki z niego, prawda? wyborowy,
Co to w nim za poświęcenie, uczynność, sąd zdrowy,
To też każdy uciśniony rady jego wzywał...
— Święta prawda... (ns.) nie czytając, wszystko podpisywał.
— A moralność jakaż piękna i rzetelność jaka!
Ręka zawsze w pogotowiu na pomoc biedaka.
A w pieniężnych interesach jakaż czystość święta. .
— Prawda... (ns.) wszystkim kredytorom pokręcił procenta...
— Nałogu choć na lekarstwo... Nieboszczyk kochanek
Jak ognia tak się wystrzegał zabaw i hulanek,

Czasem w wielkie jakie święto kieliszek staruski...

— Tak, tak... (us.) ale tylko codziennie gul, gul do poduszki...

— A jaka to w nim nauka i ogląda w świecie:

Przez trzy lata słuchał kursów w Uniwersytecie.

To też o czym tylko chciałeś, mogłeś z nim pogadać...

— Wiem, wiem... (us.) dwie kopy kołdunów na obiad mógł
[zjadać.

— A dla mnie jakież opiekun i małżonek z niego.

Zda się nie pożałowały i mleka ptasiego;

O! bo też i dla niego dziwnie byłem słaba...

— Świadkiem jestem... (us.) zawsze mówił: oto Heród baba!

— A i ojcem był najlepszym: syn nasz pan Franciszek

Dziś dziedzicem jest Kielbasicz — Jędrus Kapuciszek,

Wszystkich dokoła obdzielił, choć sam nie używał...

— Tak, tak... (us.) ale za to wszystkich zięciów pookpiwał.

— Oddany całkiem domowi, jak wół pracowity,

Nie dla niego wymyślili karty i kobiety.

Gdyby grzechu śmiertelnego bał się czasu straty...

— Prawda!... (us.) spał od obiadu do samej herbaty...

— Praca też go i dobiła... pracował nad siły,

Nadwyreżył tem swe zdrowie, nieboszczyk mój miły.

Umarł wtedy, gdy się cieszyć swą pracą sposobił...

— Tak jest, umarł!... (us.) i to jedno dobre w życiu zrobił...



KONIEC.



10974



SPIS RZECZY

zawartych w czterech tomach „Ksiąg humoru polskiego“.

Tom I. — Wiek XVI. i XVII.

	Str.
Przedmowa do w. XVI.	1
Klemens Janicki. Z epigramatów łacińskich w przekładzie Wł. Syrokomli	3
— Dyalog o niestałej różności odzieży u Polaków, w przekładzie Wł. Syrokomli	5
Mikołaj Rej. Z „Przypowieści przypadłych“	12
— Z „Wizerunku człowieka poczciwego“	20
Łukasz Górnicki. Z „Dworzanina“	27
Jan Kochanowski. Z „Fraszek“	41
— Broda	48
— Apoplegmat	51
— Z „Wieczery w gościnie“ (Foricoenia) w przekładzie Wł. Syrokomli	57
Bartosz Paprocki. Z broszury „Dziesięcioro przykazań inężowo“	61
Marcin Bielski. Ze „Sejmu niewieścigo“	66
Sebastyan Klonowicz. Z „Worka Judaszowego“	71
Marcin Błażowski. Ze „Setnika przypowieści uciężnych“	83
Kacper Miaskowski. Mięsopest polski	88
Z broszury „Sejm piekielny“	93
Peregrinacya Maćkowa (z broszury „Peregrinacya dziadowska“).	99
Wiersz o fortelach y obyczaiach białogłowskich	114
Tańce i pieśni (z broszury „Pieśni, tańce i podwany“).	118

	str.
Jan Dzwonowski. Statut t. j. Artykuły Prawne	125
Stanisław Serafin Jagodyński. Z „Grosza“	131
— Z „Dworzanek“	136
Z broszury: „Facecye Polskie Abo Żartowne a trefne Powieści Bie- siadne“	138
Krzysztof Opaliński. Ze „Satyr albo Przestróg“	174
Jan Achacy Kmita. Morocozmea Babińskie	199
Rzeczpospolita Babińska (objaśnienie).	198
Urzędników Babińskich Registr	210
Jan Gawiński. Z „Dworzanek“	227
— Sielanka XI. Rozmowa żartoważna	233
Andrzej Morsztyn. Z „Fraszek i Liryków“	243
Wespazyan Kochowski. Z „Liryków polskich“	248
— Z „Fraszek“	258
Wacław Potocki. Z „Jovialitates“	270
— Z rękopisów „Moralia“ i „Ogród“	281
Daniel Bratkowski. Ze „Świata po części przejrzanego“	295
Z rękopisów wieku XVI. i XVII.: a) Westchnienie panięskie, b) Quae- rella panięska, c) Pacierz panięski, d) Pacierz męzki, e) Pieśń panny chcącej pójść za mąż	300
Salomon Rysiński. Z „Przypowieści polskich“	305
Przysłowia, przypowieści i zdania humorystyczne z wieku XVI. i XVII.	308
Przysłowia humorystyczne od nazwisk szlacheckich pochodzące z XVI. i XVII. wieku	315
Anegdoty z wieku XV., XVI. i XVII.	322
Anegdoty o błaznach (Bieńce, Jasku, Stańczyku i Słowikowskiu) . .	332
Żarty Piotra Smolika	338

Tom II. — Wiek XVIII.

Przedmowa ogólna do całego wydawnictwa	5
Wstęp do wieku XVIII.	10
Jan Stanisław Jabłonowski Z „Nowego Ezopa polskiego“	11
Elżbieta Drużbacka. Skarga kilku dam	20
— Punkta dla poprawienia zepsutych obyczajów polskich	25
Monitor warszawski (wstęp i objaśnienie)	30

Wyjątki z „Monitora“: <i>a)</i> List próżniaka do Monitora, <i>b)</i> O zabobonach, <i>c)</i> Wyjątek z opisanja polski przez Chłńczyka, <i>d)</i> O pijarstwie, <i>e)</i> Podróż z Warszawy, (o przesądach), <i>f)</i> Tydzień modnego kawalera, <i>g)</i> Dama niemodna, <i>h)</i> Niezagiści i Aprzeciści, <i>i)</i> Dyaryusz danuy, <i>k)</i> O pojedynkach, <i>l)</i> O wszędobylskich, <i>m)</i> Wszystkich nie zadowolisz, <i>n)</i> Napuszystość w wymowie	33
X. Franciszek Bohomolec. Wstęp wydawcy	78
— Pochwała Michała	80
— Suplika do J. O. X. Generała Ziem Podolskich	82
— Do bizuna	83
— Pieśń Kurdeszowa	86
— Z komedyi „Figlaćki“	88
— Z komedyi „Pijacy“	100
— Z komedyi „Paryżanin“	121
— Monitor. Komedia w jednym akcie	129
Żarty kawalerów Akademii szlacheckiej	151
Wyjątki z „Zabaw przyjemnych i pożytecznych“: <i>a)</i> Suplika poetów do Apollina, <i>b)</i> Modlitwa do złotka, przez Feliksa Gaudzińskiego, <i>c)</i> Auro conciliatur amor, przez Krzyszłofa Urbanowskiego, <i>d)</i> Chory o śpiewaniu J. Haraburdy, <i>e)</i> Chłop z barankiem i <i>f)</i> wyjątek ze Satyry „Świerzbiczka pisanja“	154
X. Gracyan Piotrowski Ze „Satyra“: <i>a)</i> Na gazeciarczów, <i>b)</i> Na młodego sęzkiej funkcji napierającego się, <i>c)</i> Na grubiaństwo, <i>d)</i> Na importuna	165
Adam Naruszewicz. Z „Bajek“	181
— Ze „Satyr“: <i>a)</i> Głupstwo, <i>b)</i> Chudy literat, <i>c)</i> Reduty	188
— Z „Liryków“	209
Ignacy Krasicki. Ze „Satyr“: <i>a)</i> Pijaństwo, <i>b)</i> Żoda modna, <i>c)</i> Klatki, <i>d)</i> Małżeństwo	219
— Z „Listów“: Podróż pańska	234
— Z „Wierszy różnych“	238
— Z „Wierszy z prozą“	240
— Myszeis (w streszczeniu)	245
— Monachomachia (w streszczeniu)	235
Stanisław Trembecki. <i>a)</i> Pani i dziewczki, <i>b)</i> Anakreontyk, <i>c)</i> Skoropis do W. Miera, <i>d)</i> Do Jasia o fryzowaniu, <i>e)</i> Wróbel	271
Kajetan Węgiński. <i>a)</i> Wróble i kościół, <i>b)</i> Do wierszopisów, <i>c)</i> Podział czulego z młodym, <i>d)</i> Nagrobek Bielawskiemu	277
— Organy. Poema heroikomiczne	282
Franciszek Zabłocki. Oddalenie się z Warszawy literata (satyra)	309

	Str.
Franciszek Zabłocki. Z komedyi „Fireyk w zalotach“	315
— Z „Buliku gospodarskiego“	323
— Pieśń Zofii z „Żółtej szlafinicy“	324
— Z komedyi „Sarmatyzm“	325
Jakób Jasiński. Sprzeczki (poemat żartobliwy)	330
— Jaś i Zosia	335

Tom III. — Wiek XIX.

J. U. Niemcewicz Z „Bajek“	7
— Z „Powieści poetycznych“: <i>a)</i> Panna Guzdralska, <i>b)</i> Trzewiki, <i>c)</i> Nowy sąd Parysa	19
Rajmund Korsak. Wyjątki z poematu „Bibejda“	33
— Przedmowa do „Uwag o śmierci niechybnej“ ks. Baki	46
Leon Borowski. Przedmowa do „Uwag o śmierci niechybnej“ ks. Baki	53
— Porównanie życia Szurłowskiego i Baki na wzór Plutarcha	61
— Opisanie publicznych i prywatnych bibliotek w miasteczku Perszelach w parafii taworajskiej	74
— Odezwa Perkunasa, dawnego prezydenta w Towarzystwie szubrawskiem, przez szubrawca Pergrubiusa (L. Borowskiego) miana	82
Szubrawcy i „Wiadomości Brukowe“, objaśnienie wydawcy	84
Wyjątki z „Wiadomości Brukowych“: I. Utwory nieznanych autorów: <i>a)</i> Obiad Jurysty podczas wielkiego postu, <i>b)</i> z Łoteczka, <i>c)</i> Prawda dowodzona przez jednego adwokata na sądach granicznych, <i>d)</i> Dyaryusz podróży do Warszawy, <i>e)</i> Nagrobek ekonomowi, <i>f)</i> Ogłoszenie, <i>g)</i> Wiadomości z za Niemna, <i>h)</i> O defekcie trudnym do wyleczenia, <i>i)</i> Historia o dzwonach Oliolińskich, <i>k)</i> Dziennik życia Eligiusza Drzemajły, <i>l)</i> Ogłoszenie o nowej Pensyi, <i>m)</i> Dalszy ciąg podróży Szwecz-puścynisa (o edukacyi), <i>n)</i> O przynależności swobód i wolności żydkom naszym	87
II. Utwory znanych autorów:	
1) Jędrzej Śniadecki. Sentymentalne Towarzystwo	142
— Postrzeżenia włóczęgi Gulliwera: <i>a)</i> Odezwa do redaktora „Wiadomości Brukowych“, <i>b)</i> O wyspie i nowie Kukuryków. <i>c)</i> Co	

	Str.
się dzieje na wyspie Peroradzie? <i>d)</i> O państwie Laputy i ko-	
niec postrzeżeń włóczęgi Gulliwer	157
2) Ignacy Szydłowski. Fraszki i epigramata	178
— Mowy pana Gulbi, witajnika drugiego rzędu w Towarzystwie	
szubrawskiem	185
— Wstęp do dziejów Towarzystwa szubrawskiego	198
— Mowa Szubrawcy pana Gulbi	199
3) Michał Baliński. Przypadki Pamfila ze Żmudzi	206
— Podróż do wyspy Nipu	213
— Mixtum chaos, czyli historia szubrawstwa, chronologicznie	
ułożona	218
— Madrygal Imiępana Auszlawis	221
Pochwała pijaństwa	223
Alojzy Żółkowski. Wyjątki z „Momusa“	231
Ferdynand Chotomski. Wyjątki z „Enejdy“ trawestowanej	246
— Drobne wiersze	283
Franciszek Morawski. <i>a)</i> Do milczącego Jaxy, <i>b)</i> Odpowiedź Godeb-	
skiemu	289
— Bajki	291
— Fraszki	303
Jan Nepomucen Kamiński. Przypadek na odpuszcie	305
— Skutki przestachu	315
Hipolit Błotnicki. <i>a)</i> Pochwała tabaki, <i>b)</i> Sen, <i>c)</i> Początek fanfaronów	
319	
Henryk Biesiekierski. Satyrki: <i>a)</i> Podróż, <i>b)</i> Konieczność	325
Kantorbery Tymowski. Oda do brzucha	329

Tom IV. — Wiek IX.

Przedmowa do tomu IV.	7
Adam Mickiewicz. <i>a)</i> Pani Twardowska, <i>b)</i> Zaloty, <i>c)</i> Golono strzy-	
żono, <i>d)</i> Pchła i rabin, <i>e)</i> Przyjaciele	11
Aleksander Fredro. <i>a)</i> Szewc i dyabeł (bajęda), <i>b)</i> Stara dykteryjka,	
<i>c)</i> Z „Satyr i Epigramatów“	22
Epigramatycy. (Objaśnienie wydawcy)	55
I. Antoni Pełka. Ucinki	57
II. Kretowicz. Ucinki	68

	Str. 70
III. Ignacy Piotr Legatowicz. Epigramata	
IV. Epigramata K. M. Bardskiego, K. Brodzińskiego. Ks. F. Bernatowicza, W. Chłędowskiego, F. Głrzanowskiego, N. Czeezela, J. Dulskiego, C. Godebskiego, J. Grąbezewskiego, F. Gułta, J. Horaina, St. Jaszowskiego, A. Kaezkowskiego, B. Kicińskiego, S. Konopackiego, Łopacińskiego, E. Machwita, J. Massalskiego, Matuszewskiego, L. Mięczyńskiego, J. E. Minasowicza, J. Mogilnickiego, J. I. Molla, A. Moniuszki, N. Muśnickiego, T. Nowosielskiego, J. Onoszki, J. K. Pajgerta, K. Pawłowskiego, A. Plichy, T. Porazińskiego, L. Potockiego, K. Słotwińskiego, Grotta-Spasowskiego, L. Szabla, W. Szaefiera, F. Sokoł-Szalinia, K. Tymowskiego, Zambrzyckiego i T. Żebrowskiego	73
V. Epigrammata nieznanymi autorów	88
Antoni Górecki. a) Z „Bajek“, b) Z „Fraszek i Epigrammatów“	102
Konstanty Majeranowski. a) Z opery: „Wesele na Poczecie“, b) Sąd w Pacanowie	113
Utwory nieznanymi autorów (1820—1848) wyjęte z czasopism: Śmieszek, Tandeciarz krakowski, Rozmaitości krakowskie, Brukowiec (emigr.), Baba (emigr.), Kurjer krakowski, Świstek, Bałamut (petersburski)	128
J. I. Kraszewski. a) Kotlety, b) Dziad i baba, c) Pan i człowiek	165
Ignacy Chodźko. Samowar	176
Aleksander Chodźko. Na skały ułomku	189
Franciszek Kowalski. Kiszka. Ballada	190
Stanisław Starzyński. a) Kowal, b) Śmiech zdrowiu służy, c) Banerka, d) Obaczmy, e) Układ	194
Jan Czezoł. a) Woda i para, b) Biedny człowieczek, c) Co to starzy za waryaci	200
Stefan Witwicki. a) Hulanka, b) System filozoficzny, c) Rozmowa z Michałem	203
Ryszard Berwiński. Z Don Juana poznańskiego	210
Antoni Edward Odynieć. a) Zapustny wtorek, b) Strachy	213
Konstanty Gaszyński. Gra i karcieże (satyra)	225
Władysław Syrokomla. a) Czarno i białe, b) Sen i kabala, c) Nagrobek obywatelowi, d) Niedrukowane rymy okolicznościowe	233
Julian Horain. Odpowiedź Syrokomla	246
Lucyan Siemieński. Z „Bajek“ i „Okruszyn“	248
Wacław Szymanowski. Jako żyd Boruch, handlarz skórek zajęczych, dostał basarunek	255
Władysław Sabowski. a) Spekulacyja dziadowska, b) Kapusta, c) do J. K.	262

Faustyn Świderski.	<i>a)</i> Racya fizyka pana burmistrza, <i>b)</i> Nominacya na kwatera z dawnych akt klasztornych	271
August Wilkoński.	<i>a)</i> List z Norkowa, <i>b)</i> Przypadek, który na własne oczy widziałem; w istocie mały, a wielkiego wstydu narobił	275
Artur Bartels.	Z „Piosnek i satyr“: <i>a)</i> Małpy i ludzie, <i>b)</i> Kłótnia Mociundzieja z Mociadziką, <i>c)</i> Z domu Dziurdziulewiczówna, <i>d)</i> Pod pantoflem, <i>e)</i> Dzionek obywatelski, <i>f)</i> Waryaci, <i>g)</i> Nasz Język (wyjętek), <i>h)</i> Droga przyjaźni, drogi przyjaciel, <i>i)</i> Kabala, <i>k)</i> Cio-cia Klara i ciocia Barbara, <i>l)</i> Antosia z Plackich Drapińska primo voto Kurkudowska, <i>m)</i> Idealy, <i>n)</i> Wspomnienia tkliwej wdowy o nieboszczyku	293

K. 647.
MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA



~~P. 24562~~









Radomskie
Towarzystwo
Wycieczek
Dobroczynno-Konnych



